

De. 1. 1.
OGÓLNEGO ZBIORU TOM 157.

BIBLIOTEKA
WARSZAWSKA.

PISMO POŚWIĘCONE
NAUKOM, SZTUKOM I PRZEMYSŁOWI.

1880.

SERYA V.

Luty.

TOM I. — ZESZYT II.

WARSZAWA.

Skład i Eksp. Główn. w Księg. GEBETHNERA i WOLFFA.

— 22 —
Ukończono druk dnia 4 lutego 1880 r.

T R E Ś Ć.

	stron.
I. Cycero, jako filozof i moralista. Przez Kazimierza Kaszewskiego.	181
II. Przegląd literatury beletrystycznej za rok 1879. Przez Walerję Marrené.	202
III. Kalewala. Epos narodowe Finnów. Przez Feliksa Jezierskiego.	225
IV. Ciotka Wawrzyńcówna. Przyczynek do charakterystyki ludu czeskiego. Przez Karolinę Świetłą. Przełożył Bronisław Grabowski.	251
V. Z dziedziny przyrodoznawstwa. Przez T. Skomorowskiego.	268
VI. Głosy prasy zagranicznej o naszym piśmiennictwie.	282
VII. Kronika paryzka, literacka, naukowa i artystyczna.—Uroczystość w Akademii francuskiej: mowy Henri Martin i Ksawerego Marmier.—Rozprawa profesora Fustel de Coulanges <i>O własności w Sparcie</i> .— <i>Pamiętniki pani de Rémusat</i> , z czasów pierwszego cesarstwa.— <i>Pamiętniki Meternicha</i> .— <i>Les Rois en exil</i> , powieść Alfonsa Daudet.—Poeta Sully Prudhomme.—Przekład dzieł Schopenhauera: <i>Ustęp o kobiecie</i> .—Przedmowa A. Dumasa do nowego wydania prac dramatycznych.— <i>Anna Kerwiller</i> , dramat Legouvégo.— <i>Melidona</i> , powieść Edwarda Schure.—Wykopaliska na polach Maratonu.— <i>Mieszkania ludzkie w różnych epokach</i> , p. Karola Lucas.— <i>Robotnicy w Europie</i> , p. Le Play.—Biblioteka narodowa w Paryżu.— <i>Ojciec zadżumionych</i> , przekład p. W. Gasztowtta.—Uroczystość Mickiewicza: <i>Pan Tadeusz</i> .— <i>Monseigneur Vladimir Czacki</i> , życiorys nuncjusza.—Prace bibliograficzne p. Gustawa Pawłowskiego.—Koncerta panien Balewskich.—Otwarcie kursu profesora Chodźko. Lekcja wstępna.— <i>Jubileusz Kraszewskiego</i>	287
VIII. Korrespondencya do redakcyi Biblioteki Warszawskiej. Przez Antoniego Bronikowskiego.	315
IX. PRZEGLĄD PIŚMIENICTWA KRAJOWEGO I ZAGRANICZNEGO.	
Herman Hettner. Historia literatury angielskiej od czasu przywrócenia królestwa aż do drugiej połowy XVIII wieku, od roku 1660—1770. Przekład podług 3-go wydania niemieckiego przez Piotra Chmielowskiego i Edwarda Grabowskiego. Nakład i druk Lewentala. Nowy Świat 39, 1879. Przez F. Jezierskiego.	317
Algebra. Przez G. H. Niewęłowskiego, profesora matematyki w Paryżu. Część pierwsza zawierająca algebrę elementarną. Pa-	
<i>(Dalszy ciąg, patrz na 3-jej stronie okładki).</i>	



De II. 1.

CYCERO,

JAKO FILOZOF I MORALISTA.

(Pisma filozoficzne Marka Antoniusza Cyncerona, przełożył E. Rykaczewski. Część I i II, rok 1874 i 1879. Poznań, nakładem Biblioteki kórnickiej).

PRZEZ

Kazimierza Kaszewskiego.

Czy istniała jaka rodzima filozofia rzymska? Dzieje powszechne tej nauki na to pytanie odpowiadają przecząco. Nie istniała ona podobnie, jak nie było poezyi i sztuki wpośród społeczności oddanej przedewszystkiém polityce, administracyi i ekonomii. Najsłynniejsi, jeżeli nie jedyni filozofowie rzymscy: Lukrecyusz, Cycero i Seneka byli uczniami szkół greckich, ich kompilatorami. Pierwszy, jeszcze w pełni formy republikańskiej, przyswoił myśli rzymskiej czysto materialistyczne pojęcia Epikura, a właściwie Demokryta; drugi, u schyłku republiki, wyznawał stoicyzm. Przychodzili oni do pojęć gotowych, sami nie stworzywszy ani jednego. Byli to rzecznicy wybranego systematu; rysownicy prawdziwi i utalentowani, którzy na daném tle kreślili nowe, a czasem bardzo zgręczne i wdzięczne arabeski własne. Kiedy więc mówimy: *Pisma filozoficzne Cyncerona*, nie możemy rozumiéć, że tam znajdziemy jaki system jego wynalazku, to tylko wykład systematów innych, eklektyzm, oświadczający się za pewną teorią. Cycero, względem szkoły platońskiej, ma się tak, jak np. nasz Kremer względem szkoły niemieckiej, mianowicie do doktryny Hegla, jak francuzki Cousin względem Kanta.

Jeżeli Cyncerona nazywamy platonistą, musimy uczynić to z pewnym wyjaśnieniem. Platonizm, począwszy od swego wielkiego założyciela, obradującego w tak zwanéj Akademii, uległ zczasem różnym modyfikacyom, do tego stopnia, że niektórzy dziejopisowie filozofii liczą aż sześć akademii ¹⁾. Jakkolwiek zatém Cycero wszędzie uwielbia Platona, niemniej jednak daje on ucho wszystkiemu, co się mówiło w Akademjach młodszych i zostaje pod wpływem najwziętszego z reformatorów platonizmu, Karneadesa, który urodzony w r. 213 przed

¹⁾ *Dissertatio de philosophia academica*, z r. 1692 przez Fouchera. *Commentatio exhibens academiarum juniorum de probabilitate disputationes*, w Gettyndze.



Chrystusem, przez pewien czas przebywał w Rzymie i zyskiwał tam oklaski. Filozof ten, więcej sprytny niż głęboki, za pomocą pewnego argumentu logicznego, zwanego sorytem, podsadzał się pod inne systematy dla ich obalenia; mówił zręcznie za i przeciw temu samemu przedmiotowi, zacierał różnice między prawdą i fałszem; mierzył rozległość prawdopodobieństwa: słowem, wprowadzał sceptycyzm co do wszystkich pojęć ustalonych. I takiego mistrza kierunek odbił się i na myśli filozoficznej Cyncerona, który wreszcie zajęty głównie pracami około polityki i trybuny sądowej, tylko w chwilach wypoczynku, dla oderwania się od druzgoczących duszę spraw publicznych w czasach największego rozstroju Rzeczypospolitej, uciekał się do filozofii, jako do źródła ukojenia i pociechy.

Pierwotnie, Plato zdaje się być mistrzem jego jedynym. Zrazu tłumaczył go tylko zamłodu; później napisał zupełnie według jego wzoru, traktaty swe o państwie i o prawach, tytułów nawet nie zmieniając. Więcej już samodzielna jest jego rozprawa p. t.: *Hortensius*, stanowiąca zachętę do filozofii. W *Rozprawach akademickich* rozpoznaje on zasadę i znamiona pewności, gwoli temu założeniu wprowadzając na drogę sporu filozoficznego stronników téj nowéj akademii z jéj przeciwnikami. I w témto dziele najwięcej może odbija się ten wpływ sceptycyzmu Karneadesa, o ile wnosić można z końcowych rozdziałów rozprawy, reasumujących wszystkie poprzednie debaty. Jakóż, jeden z rozmówców powiada (ks. II, roz. 46): „Ty, skoro uczujesz jakieś wrażenie, zaraz się zgadzasz, twierdzisz, pochwalasz, a to coś uczuł, za prawdziwe, pewne, pojęte, poznane, zrozumiane, niezachwiane, niewzruszone, poczytujesz i od tego żadnym sposobem odwieść się i odciągnąć nie dajesz: ja zaś myślę, że niemasz nic, o czém, gdybym z pewnością twierdził, często nie musiał o fałszu twierdzić, albowiem fałsz od prawdy żadnym się znakiem nie różni, ile że w dyalektyce podawane sądy o tym sposoby, istném są urojeniem.” Tu przytacza tenże sam rozmówca rozmaite kryteria pewności i prawdy, jakie rozmaici filozofowie greccy przyjmowali, wykazując tym sposobem zadziwiającą niezgodność pojęć, największych powag filozoficznych o tym przedmiocie. Pozostaje zatem niepewność tylko i prawdopodobieństwo, czyli pewność względna. Opinią taką wzmacnia pewien wzgląd praktyczny, zawierający się w tych słowach (ks. II, roz. 47): „Tę naukę potwierdza ostrożność przodków naszych, którzy chcieli: naprzód, ażeby każdy przysięgał w sądzie „podług swego sumienia;” powtóre, żeby ten tylko był winien „kto oszukiwał,” wiedząc, że oszukuje, dlatego, że wiele jest w życiu błędów, pochodzących z niewiadomości; potrzebie, żeby składający świadectwo mówili „zdaje mi się,” choćby świadczył o tém, co na własne oczy widział; żeby nakoniec sędziowie przysięgli wydawali taki wyrok: „zdaje się, że to się stało,” nie zaś: „to się stało 1).”

1) Wszystkie cytaty tu przytoczane, w wybieramy z przekładu samego Rykaczewskiego.

Ponieważ autor tak przemawiającemu daje głos ostatni i na tém rozprawa się urywa, przeto słuszném jest opinią taką przypisać i samemu autorowi, co widocznie świadczy za zdaniem naszym o sceptycyzmie Cycerona, przejętym od Karneadesa.

Jedyne to jest dzieło, w którém filozof rzymski traktuje obszernie kwestyą logiki, pozostając przy probabilizmie Nowej Akademii. Wszystkie inne jego dzieła dotyczą pojęcia o bóstwie (*de Natura deorum, de Divinatione, de Fato*), o duszy, o wolnej woli, o szczęściu, a nadewszystko o obowiązku, czyli o warunkach zachowania godności ludzkiej w związku ze wszystkimi pojęciami poprzedniami, co wypełnia treść wielkich i znakomitych jego traktatów, jakimi są: *de Finibus bonorum et malorum, Tusculana, de Officiis*, tudzież kilka rozpraw pomniejszych, jak: *de Senectute, de Amicitia, Consolatio*. Oprócz traktatu *de Officiis*, w którym autor wykłada rzecz o obowiązkach wprost od siebie, wszystkie inne mają formę dyalogów, co już wynikło z samego sposobu, jakim się przedmiot w głowie autora przedstawiał.

Powiedzieliśmy już, że Cycero nie był myślicielem samodzielnym; wszystkie więc teorie swe, zapożyczając od wielkich szkół greckich, od Perypatetyków, Akademików, Stoików i Epikurejczyków, przez stosownie dobranych reprezentantów, przedstawia rozwój i podstawy pojęć historycznie; w zbijaniu nawet zdań przeciwnych swojemu pogładowi nie idzie za myślą własną, ale krytykę czerpie z systematów gotowych, zdawna pewnym innym systematom przeciwnych, oryginalność własną ograniczając do rozjaśnienia kilku podrzędnych szczegółów, dotyczących moralności. Jakże zaś jest jego samego stanowisko w téj kontrowersyi pojęć i zdań, niezawsze odgadnąć snadno. Sceptycyzm jego, tak wyraźnie zaznaczony w *Badaniach akademickich*, ciągnie się wszędzie: nigdzie nie widać stanowczości dogmatycznej. W najdogmatyczniejszém ze swych dzieł, w traktacie *O obowiązkach*, jeszcze powiada on (ks. II, roz. 2): „Inni filozofowie utrzymują, że jedno jest pewne, drugie niepewne; ja zaś jedno *podobném*, drugie *niepodobném* do prawdy nazywam, i taka tylko między nami różnica. Cóżby mi zabronić miało iść za tém, co mi się widzi być podobném do prawdy, a co jój przeciwne odrzucić? albo dla czego bym miał tak wiele o sobie trzymać, iżbym nie unikał rozmyślniej w twierdzeniu śmiałości, która mądrymu człowiekowi bynajmniej nie przystoi?”

Cóżkolwiekby, jeśli w Cyceronie dopatrzeć nie można oryginalności i stanowczości, widać w nim wszelako pewną skłonność i predylekcyą. Epikura potępia on z potężną siłą wymowy za jego ateuszostwo i moralność, opartą na rozkoszy; szkołę Stoików gani za przesadne wyobrażenie o potędze człowieka, za jego jakoby samoubóstwienie, za moralność, polegającą na nieczułości; ale gotów jest przystąpić do niektórych pojęć téj szkoły, której nie może wielkości i bezinteresowności odmówić. Wybór téż, czyli eklektyzm Cycerona, ściąga się istotnie do tych systematów, które okazują najwięcej wyniosłości duchowej i idealizmu ludzkiego; najbardziej mu zawsze imponują Arysto-

teles i Plato, a że i pomiędzy nimi napotyka jeszcze różnice ważne, radby ich pogodzić, i w swój chwiejności, za najprawdopodobniejsze, (bo na prawdziwość absolutną, jak widzimy, trudno mu się zgodzić), uznaje uczucia tych rozmaitych filozofów, których systemata najbardziej oddalają się od egoizmu, zmysłowości i wszelkich pobudek niższych, służyć mających za wskazówkę życia. Przez takie trzebieenie i wybieranie w całym inwentarzu filozoficznym, dochodzi on nareszcie do pewnej doktryny, którą za jego osobistą poczytać można, w ścisłym znaczeniu nie za własną, lecz za przywłaszczoną, jak wreszcie praktykował i w życiu.

Za Platonem i Sokratesem, a przeciwko Demokrytowi tudzież innym fizykom, w porządku, jakiemu ulega świat widzi on myśl i Opatrzność Bożą; deistą jest w całym znaczeniu, choć się jeszcze zbyt jawnie za jednością Bóstwa nie oświadcza. Lubo jego pojęcia, tak teologiczne jak moralne, rozrzucone są po wszystkich pismach, trzy wszelako jego traktaty, to jest: *De natura deorum*, *De divinatione* i *De fato*, wyłącznie poświęcone są kwestyi teologicznej. W nichto Cycero głównie roztrząsa rzecz o istnieniu i opatrzności bogów, o znakach prawdziwych lub fałszywych, przez które bogowie odsłaniają ludziom rzeczy ukryte, tudzież o pogodzeniu konieczności z wolną wolą człowieka. Jego wiara w bogów jest tak szczerą, jego przekonanie o ich interwencji w sprawach ludzkich jest tak głębokim, że nietylko objawia się w pismach, ale również udziela się życiu. Kiedy wyszedł ów wielki spisec socjalistyczny w Rzymie, wahał się jak ma postąpić ze spiskowcami. „Skutkiem łagodnego charakteru, powiada Plutarch w jego życiorysie (nagł. 19), z obawy przytém, aby go nie posądzono, że się zbyt czynnie upaja władzą, uciemieźając ludzi przedniejszych urodzeniem i mających potężnych przyjaciół w mieście, chciał on uniknąć kary nadzwyczajnej, a odpowiedniej tak wielkim zbrodniarzom; z drugiej strony lękał się grożącego od nich niebezpieczeństwa, gdyby obszedł się z nimi zbyt miękko.” Z téj przykrój i uciążliwój niepełności dopiero wyprowadził go cud. Kobięty w domu jego, pod przewodnictwem żony Terencyi, odprawiały uroczystość Cybeli i wtedy ukazał im się znak. Gdy ogień użyty do objaty zdawał się już gasnąć, nagle zpod popiołu i spalonej kory wzbil się na ołtarzu wielki i jasny płomień. Inne niewiasty zestraszły się tém, ale westalki oświadczyły żonie Cycerona, ażeby natychmiast udała się do męża i kazała mu wykonać dla dobra ojczyzny to co zamyslił, „bo oto bogini darzy go takim wielkim światłem ku zbawieniu i chwale” ¹⁾. Co tu tak naiwnie opowiada Plutarch, równie bogoboyny jak Cycero, mogło być tylko zręcznym i umyślnym wybiegiem, użytym dla wywołania stanowczości i obudzenia energii w słabym mężu przez Terencyą, o której sam Cycero, za świadectwem tegoż biografa, odzywał się, że „więcej od niej

¹⁾ Plutarch: *Życie Cycerona*, 20.

otrzymywał pomocy w sprawach politycznych, niż wiadomości o sprawach domowych;" ale niemniej charakterystycznie cechuje jego deizm i wiarę w Opatrzność aż do bezpośredniej interwencji, jakkolwiek bądź pojmovanej.

Ta bogobojność Cyncerona nie mało też wpływa na przyjęcie pewnych pojęć psychologicznych i moralnych, których analizie poświęconą jest reszta pism jego ¹⁾. Duszę uważa on za niecielesną, za istność nakształt entelechii Arystotelesa albo monady Leibnitza, czyli za *formę* wszelkiego ciała zorganizowanego, a posiadającego życie *in potentia* swego ustroju. Ilekroć o duszy rozprawia on słowami swych rozmówców, a widać że się przechyla na stronę jednego z nich, lub kiedy zdarza mu się mówić o tym przedmiocie samemu od siebie, zawsze nam się wydaje, jakoby zostawał pod natchnieniem dziewiątej i jedenastej księgi metafizyki Arystotelesa. Ale chociaż pojęcie o duszy tego mistrza nad mistrze ogranicza się raczej do form żywotności ustrojów, do zasady ruchu mechanicznego ciał organicznych, przez co wyobrażałoby tylko siłę w rozróżnieniu od materji, a następnie w skupieniu z nią jednolitóm; Cyncero idzie dalej. Za Platonem przypisuje on jej boskość, a choćby miał, jak powiada, omylić się z nim razem, przeznacza dla duszy ludzkiej życie przyszłe, szczęśliwe lub dolegliwe, w miarę postępowania tutejszego. W konsekwencji też z tą ostatnią zasadą, pomimo uznania praw z góry nakreślonych przez Boga dla ludzkości, obsta je on za wolną wolą człowieka, bez której, rozumie się, nie byłoby odpowiedzialności. W etyce swój, wychodzi z zasady ogólnego prawa moralnego, którym nie co innego jest, tylko rozum wiekuisty i wola niewzruszona Boga. W praktyce życia, w czynach, nie nadwężając wyższości, jaką ma w jego oczach piękno nad pożytkiem, głosi on przynajmniej konieczne jednego z drugim.

Wszystko to, jak przyzna każdy obeznany z systematami szkół greckich, nie wyrażone nawet z siłą i ekspresją stanowczego przekonania na zasadach dyalektyki racjonalnej, nie jest ani w całości, ani w części jego własnym pomysłem. I nie chodziło też Cynceronowi w tym razie o chwałę oryginalności, ale o pożytek ogółu. Nie ukrywa on nigdy swego ubóstwa w duchu, nie pozuje na pomysłowość, nie ukrywa źródeł swęj wiedzy, by blaskiem pożyczanym zajaśnić: dla niego dosyć chwały, jeżeli potrafi za mistrzami powtórzyć, co mu się czasami niedosyć nawet szczęśliwie udało, i według własnego rozumu wybór pomiędzy ich zdaniem uczynić. W polityce nieumiarkowanie próżny i chełpliwy, w nauce o tyleż okazuje się skromnym i bezzadrosnym, za co też słuszne ma dlań uznanie Plutarch, mówiąc w rozdziale 24: „Dalekim on był od zazdroszczenia drugim, nader chętnie, owszem, udzielał pochwały poprzednikom swym i spółczesnym... O Arystotelesie powiedział on, że jest rzeką płynącą złotem; o rozmowach Platona, że gdyby Jowisz używał mowy, nie inaczejby się wyrażał. Teo-

¹⁾ *De finibus bonorum et malorum; Tusculana; De officiis i. t. d.*

frasta nazywał on swoją rozkoszą; a zapytany, którą mowę Demostenesa uważa za najpiękniejszą, odpowiedział: „najdłuższą!” Nie możemy nic dodać do tego świadectwa nad to, żeśmy to samo w pismach jego filozoficznych na każdej stronnicy spostrzegli.

Zadaniem więc jego filozofii nie było stworzenie systematu, ale rzecz zgoła inna.

Nasamprzód w wieku, kiedy Rzym po długim zaniedbaniu niwy umysłowej przyszedł nareszcie przy pomocy Greków do własnych ksiąg i do teatru; kiedy miał poetę własnego jak Ennius, komedyopisarzy jak Plaut i Terencyusz; kiedy zjawił się zwłaszcza taki potężny poeta-filozof jak Lukrecyusz: wtedy ten umysł niepospolity, ten krasomówca znakomity, ten obywatel wielki, Cycero, pomyślał, że potrzebą cywilizacyjną dla jego ojczyzny jest obeznać się z tém, co ówczesnie nazywano *mądrością*, a co było myśleniem nad rozwiązaniem najwyższych zagadek świata i człowieka, co wyszukiwało wskazówek dla życia odpowiedniego godności ludzkiej. Zdawało mu się, że uczyni przysługę ziomkom, wprowadzając ich w ten majestatyczny świat myśli, jaki stworzyli Grecy i stał się on, mówiąc językiem dzisiejszym, profesorem obiektywnym i krytycznym dziejów filozofii. Tak to i jemu samemu się wydaje, gdy mówi do syna ¹⁾: „Do czego, jak mi się widzi, niemałą pomoc przyniosłem moim spółziomkom, tak, iż nie tylko greckich nauk nieświadomi, ale nawet uczeni myślą, iż nieco postąpili i w sztuce mówienia i w filozoficzném o rzeczach sądzeniu.” Z takiego też stanowiska uważane jego prace, były dla Rzymu zjawiskiem nowém, a pełném zasługi, która wzrosła jeszcze z czasem u potomnych.

Powtóre, ten wiek, w którym twórczość umysłowa zaczęła się pojawiać w Rzymie, był zarazem wiekiem zepsucia obyczajów obywatelskich, które gwałtownym posuwało się pędem. Trzeba było ratować Rzeczpospolitą przed tym nowym wrogiem, straszniejszym od Parta i Germanina. Konsul, pamiętny zachęt, jakimi dawny senat pobudzał konsulów, *ne quid respublica detrimenti capiat*, przed tém niebezpieczeństwem, przeciwko temu zniszczeniu działalność swą rozwinął. Jest ślad w Plutarchu (nagł. 24), że retora Gorgiasza, który był snadź rozwiązłym Epikurejczykiem, gromi za to, iż mu psuje syna oddanego mu na naukę, „że mu chłopca zachęca do przyjemnostek i pijatyki.” Zabrania synowi obcować z takim mistrzem. List do Gorgiasza, jak zapewnia Plutarch, napisany był z *uniesieniem*, co się Ciceronowi dwa razy tylko w życiu zdarzyło. Dowód to, że o ile był próżnym, o tyle obstawał za czystością obyczajów. Lękał się zapewne, ażeby świeżo wyszłe dzieło Lukrecyusza, nawskróś epikurejskie i ateistyczne, budujące świat i życie z atomów, do reszty nie rozluźniło obyczajów. I dlatego rzucił się on do kreślenia z wielką troskliwością zasad moralności, opartej na deizmie i na wiekuistém prawie rozumóm. Ta jego moralność, o ideałach prześlicznych, rozrzuconą jest

¹⁾ *De officiis*, ks. I, roz. 1.

wszędzie, tak w mowach, jak w listach i pismach filozoficznych, ale nigdzie nie skupia i rozwija się lepiej, jak w dziele jego *O obowiązkach*. Lubo i tu, jak i wszędy indziej, nie stwarza on nic sam z siebie, ale moralność swą bierze to od Perypatetyków, to od Akademików, to od Stoików, czerpiąc zewsząd co uważa za najwznośniejsze. W dziele tém jednak uwzględnia on zarazem fakta moralne a samodzielne starożytnego Rzymu. Tam on jest najściślejszym systematykiem i, że tak powiem, najoryginalniejszym myślicielem. Dlatego téż zamierzylśmy podać tu to jego dzieło w możliwém streszczeniu, a przy względzie na inne jego traktaty, łączność z niem mające; co nam da zarazem choćby dalekie wyobrazenie o jego sposobie traktowania rzeczy filozoficznych.

Dzieło to pisał on dla nauki syna. Niema więc już w niem kontrowersyi, ale czysta dogmatyka, jakiej wymaga powaga nauczyciela. Lubo téż wszędzie indziej Cyncero jest raczej Nowym Akademikiem, a więc sceptycznym, niepewnym, i zamiast pewności, odwołującym się do prawdopodobieństwa, tu rozstaje się on z metodą Karneadesa, wyrodzonego platonisty. Na wstępie występuje Cyncero przeciw wszystkim szkołom, które, zarówno z Epikurem, oddzielają dobro od cnoty, a łączą je z interesem, bo te obowiązek znają tylko z imienia. Jeżeli Epikur ma słuszność, to w takim razie, zdaniem Cyncerona, niema już przyjaźni, ani sprawiedliwości, ani poświęcenia: jak może być silnym i mężnym ten, dla kogo ból jest największém złem? jak może być hartownym, kto rozkosz uważa za najwyższe dobro? Dla Cyncerona powagę jedyną w sprawie obowiązku te tylko mają szkoły, które na czele spraw ludzkich stawiają uczciwość. A więc, szkoła Stoików: onato bowiem z największą siłą i świetnością głosiła zasadę, że dobro poszukiwaném być ma dla samego siebie, oraz że pożyteczném to tylko jest, co uczciwe. Ale Cyncero, wierny swemu duchowi eklektyzmu, nie trzyma się szkoły samego Zenona, a idzie raczej za Stoikami późniejszymi, którzy złagodzili surowość doktryny i więcej ją do natury i potrzeb ludzkich zastosowali. Nie jest jego ideałem ów mędrzec Zenona, niemający ani opinii, ani namiętności, który wie wszystko wiedzą pewną, szczęśliwy wpośród udręczeń, sam jeden silny, sam wolny, piękny, bogaty, sam sobie król i bóg,—słowem, człowiek jakiego nikt nie widział, i nikt nigdy nie zobaczy na świecie. Dla Cyncerona potrzeba nie obowiązku *doskonałego* (*perfectum, rectum*), według definicyi stoickiej, który jest jakimś absolutem niedościgłym, ale obowiązków *średnich*, dających się klasyfikować i stosować do rozmaitych okoliczności życia; nie mężów wytrwałych aż do zobojetnienia na zło i dobro, na ból i rozkosz, ale ludzi uczciwych, obywateli prawych i dzielnych. W tém założeniu okazuje się już owa praktyczność umysłu rzymskiego, która nie dozwoliła Kwirytom zajmować się samą spekulacją dla spekulacyi, ale o tyle ceniła wszelką zasadę, o ile upatrywała związek jój z życiem, i naodwrot z życia wyczerpywała zasady, tworząc z nich powoli kodeks prawodawczy. Tém mniej Cyncero mógł się obecnie bawić w spekulacyę, skoro mu chodziło o to, ażeby wpośród łamiącej się moralności

społecznej, postawić żyjący wzór człowieka moralnego dla zachęty i wskazówki.

Za punkt wyjścia, za podwalinę do ustanowienia obowiązku, Cyncero uważa samą naturę człowieka, która jest z konieczności swój socyalną. Jestto zatem punkt nie z powietrza, nie ze sfer idealnych schwytany, ale oparty na ziemi, tylko niedosyć rozświecony. W naturze człowieka dopatrywał on wyższości pewnej nad wszystko co go otacza, nazwał ją zacnością i ta to zacność (*honestum*, którego pierwiastkiem jest wyraz *honor*, cześć, cność), zacność bezwarunkowa, pożądana dla samej siebie, któraby istniała sama w sobie, nawet gdyby jej nikt nie znał, jest dlań materyałem, z którego snuje się idea obowiązku. Tę zacność bezwarunkową, stanowiącą zarazem niewzruszoną podstawę życia, odśłania nam według niego rozum powszechny, w którym udział mają ludzie wszyscy, bez względu na to, co jednostka osobiście otrzymała z natury. Z takich wychodząc zasad, Cyncero dzieli swój traktat na trzy części: w pierwszej wykładając o zacności, w drugiej o pożytku, w trzeciej porównując jedno z drugim.

Pierwiastki zacności upatruje on już w samej naturze ludzkiej. Ażeby wiedzieć co czynić ma, człowiek powinien nasamprzód się dowiedzieć, czem sam jest: z natury swój wysnuje on przeznaczenie własne, a z przeznaczenia obowiązki.

Człowiek, zdaniem jego, posiada nasamprzód popęd zachowawczy i naturę niższą zarówno ze zwierzętami, a ponad tém posiada on rozum pobudzający go do poszukiwania dobra; rozum, który jednoczy go z innymi ludźmi, budzi w nim uczucia altruistyczne, nadaje mu moc duszy do znoszenia przeciwności. Onto ułatwia mu dostrzeganie przyczyn po skutkach, wiązanie przeszłości z przyszłością, spostrzeganie porządku w świecie, z czego czerpie człowiek pojęcie o porządku w ogólności, który tym sposobem zaprowadza on w czynach swych i myślach.

Zatém poszukiwanie prawdy (*prudentia*), utrzymanie społeczeństwa przez ścisłość w oddawaniu każdemu co komu należy (*justitia*), wielkość lub siła duszy (*fortitudo*, albo *magnitudo animi*), wreszcie wstrzemięźliwość: oto są cztery żywioły, lub cztery postacie zacności. Rozróżniają się one, ale nie oddzielają od siebie. Ztąd téż powstają cztery odpowiednie cnoty zasadnicze, stanowiące fundament obowiązków. Pod nazwą téj ostatniej, t. j. wstrzemięźliwości, rozumie Cyncero cały snopek cnot, jako to: skromność, wstydlivość, przyzwoitość, panowanie nad namiętnościami; ogólnie zwie ją *decorum*.

Staryto podział, sokratyczny, ale przyjęty później przez doktorów chrześcijańskich, a między innymi przez S. Tomasza ¹⁾ i przeszedł on nawet do katechizmu, pod nazwą cnot zasadniczych, a jak zobaczymy, można podeń podciągnąć wszystkie obowiązki moralności jednostkowej i społecznej. Cyncero, Rzymianin praktyczny, całą zasługę cnoty opiera

¹⁾ Zobacz: *Summa theol.* Ks. II, rozdz. 61.

na czynie ¹⁾, a jeśli na szalę stawia spekulacyjną cnotę roztropności, to z uwagi tylko na porządek logiczny, gdyż wprzód trzeba dobrze myśleć, ażeby dobrze działać. Roztropność uczy nas zdrowo sądzić o rzeczach, a ponieważ każdy człowiek pragnie nabierać poznania i błąd uważa za niedogę, przeto niema cnoty bardziej zrosłej z naturą ludzką. Jakież więc prawidłami kierować się będziemy w poszukiwaniu prawdy? Cycero podaje ich dwa tylko: 1) nie brać rzeczy nieznanych za znane i nie zgadzać się na nie lekkomyślnie ²⁾; 2) nie przyczepiać się do rzeczy ciemnych, nie poświęcać spraw i zajęć czynnych dla nauki.

Ponieważ sposób kierowania umysłem wpływa na użytek, jaki czynimy z naszej woli, stanowiącej właściwy przedmiot moralności, niedziwna zatem, że w traktacie o obowiązkach spotykamy prawidła logiki, a poszukiwanie prawdy zastajemy na czele cnot zasadniczych.

Jakoż, roztropność główną zasługę ma w tém, że poprzedza czynny prawe, bo cnotą najdoskonalszą w sobie, nie ona jest, ale sprawiedliwość, jako prawo niezłomne wszystkich czynów i stosunków ludzkich. Tę cnotę Cycero dzieli na dwie części, odpowiadające temu co podzisiejszemu nazywa się sprawiedliwością negatywną i pozytywną ³⁾. Pierwsza z nich jest sprawiedliwością właściwą; druga zwie się dobroczynnością.

Zasadniczym prawidłem sprawiedliwości, według Cycerona, jest „nieszkodzić nikomu.” Na nieszczęście dla siebie, dodał on do téj reguły maleńkie słówko: „jeżeli nie jesteś pokrzywdzonym” (*nisi lacessitus injuria*). Słówko to zważyło na jego głowę całą burzę późniejszych pisarzy chrześcijańskich, nie mogących dość wyżałować, że Cycero tak w tém daleko odstąpił od Ewangelii, której nie znał, a która chlebem nakazuje za kamień oddawać. Laktancyusz np., wyraża się ⁴⁾: „Cóż mu za potrzeba była dodawać—jeżeliś niepokrzywdzony; tym sposobem on występek, jakby ogon najszpetniejszy zacnemu człowiekowi przyprawił.” Nie dziwny się tym ojcom, którzy wszędzie w moralności Cycerona widząc istotnie doskonałego chrześcijanina, naraz spostrzegli taką niespodziankę. Ale my dzisiaj, inaczej rozumiejąc historią pojęć, dziwni się raczej, że tak mało napotykaemy w nim idei odwetu, tak powszechnéj w świecie starożytnym, zarówno pogańskim, jak żydowskim, a dotąd pomimo tytularnego chrześcijaństwa, tak wszędzie praktykowanej. Dobrze się wreszcie rozpatrzywszy, Cycero wszędzie zachwala pobłażliwość i wyrozumiałość, a to jego nieszczęsne zastrzeżenie, powtórzone dwa razy (t. I, rozd. 7 i t. III, rozd. 19, *De officiis*), tłómaczyć trzeba raczej jako prawo dozwolonej obrony (*jus inculpatæ tutelæ*), za

¹⁾ Virtutis enim laus omnis in actione consistit. *De off.* ks. I, rozd. 6.

²⁾ Jestto jeden z przepisów Kartezjusza, podanych w sławném jego: *Discours sur la Méthode*.

³⁾ Przedmiot ten rozwinęliśmy obszernie w *Gazecie Polskiej* z r. 1875, nr. 143 i następne, p. t.: *Poezya i proza obowiązków*.

⁴⁾ *Institutiones*: t. VI, rozd. 18.

którem obstaje silnie zawsze, bo jak utrzymuje w mowie „za Milonem:” „Jestto prawo nie pisane, ale przyrodzone, prawo, którego nie uczynimy się, ale przyjmujemy, czytamy odrazu: wyrwaliśmy je z natury samej, wyczerpali, wycisnęli; prawo do którego nie wdrożeńi, ale stworzeni jesteśmy, nie nałożeni do niego, ale przesiąkli niém.”

Z przepisem nieszkodzenia nikomu, łączy się zarazem drugi, który przestrzega, ażeby „dóbr wspólnych używać za wspólne, ale za swoje tylko osobistych.” W ograniczeniu własności nie dochodzi wprawdzie Cycero do powszechnie dziś za prawowite uważanego jój źródła, t. j. do wolności i pracy, ale za źródła takie poczytuje: zajęcie pierwotne pustki ¹⁾, przedawnienie nabytku, sankcją prawną, umowę, podział publiczny. Cokolwiekbądź dziśby przeciwko niektórym z tych punktów, legitymujących własność, powiedzićć można, Cycero raz ją po swojemu ustanowiwszy, broni jój praw i oświadcza, że ktokolwiek jój nie szanuje, gwałci prawo natury ludzkiej.

Ale jak na wielu innych miejscach, tak i tu nie radzi on tój własności prawowitej używać samolubnie, bo „jak pięknie napisał Plato, nie dla samych siebie na świat przyszliśmy, ale częścią ojczyzna, częścią rodzice, częścią przyjaciele roszcżą do nas prawo; a jako Stoicy umiemy, wszystko co ziemia wydaje i ludzie także dla ludzi są stworzeni, aby wzajemnie jedni drugim dopomagać mogli, a przeto jest naszą powinnością iść w tём za przewodnictwem przyrodzenia, nasze potrzeby do wspólnego użycia znosić, zobopólnie siebie obsługiwać, dając i wzajem otrzymując, a pracą, talentem, usiłowaniem, wzmocniać węzeł ogniw społecznych” ²⁾. Jestto zatem dzisiejsza sprawiedliwość pozytywna, dobroczynność; idea, jak widzimy, dosyć zgodna z normą chrześcijańską, jeżeli zwłaszcza porównamy z ustępem tym, to co na innych miejscach mówi w tym samym przedmiocie. Prześliczne mianowicie pod względem uczucia ludzkiego i wykładu są rozdziały jego w traktacie: *De finibus bonorum et malorum*, dowodzące według doktryny stoickiej, jak ta wzajemność pomocy i obrony między ludźmi, zgodna jest z naturą człowieka, jak piękna, do jak wzniosłych prowadzi wyników. Zadługo byłoby tu przytaczać tekst, ale jeżeli ktoś pragnie użyć istnie duchowej rozkoszy, opartej na zacności myśli i wytworności słowa, radzimy mu przeczytać (jeśli być może w nienaśladowanym oryginalnie) koniec księgi trzeciej pomienionego traktatu; mianowicie od rozdziału dziewiętnastego. Cóż np., może być szczytniejszego nad tę myśl charakterystycznie grecką i zarazem rzymską: „Świat, zdaniem Stoików, rządzi się wolą bogów, stanowi on jakoby wspólne mieszkanie bogów

¹⁾ Wyraźniej powiada to w traktacie: *De finibus* (t. III, roz. 20): „Ale jak o miejscach w teatrze, choć on jest budynkiem wspólnym, słusznie powiedzićć można, że miejsce jakie kto zajął, do niego należy; tak w kraju, lub świecie wspólnym (*urbe mundove communi*) prawo nie sprzeciwia się temu, żeby każdy posiadał własność do niego należąca.

²⁾ *De officiis*, ks. I, rozdz. 7.

i ludzi, a każdy z nas jest członkiem tej wielkiej społeczności: z kąd naturalnie wynika, że ogólny pożytek nad osobisty przenosić powinniśmy. Bo jak prawo dobro ogólne stawia ponad szczególnem, tak człowiek mądry i zacny, posłuszny prawu, obowiązku obywatelskiego świadomy, więcej dba o dobro ogólne, niżeli o czyj szczególny lub swój własny pożytek, a niemniej winnym jest ten, kto dla osobistej korzyści i dobra opuszcza sprawę publiczną, jak kto ojczyznę otwarcie zdradza. Chwała więc tym, którzy biegną na śmierć za kraj, ponieważ ojczyzna droższą nam od nas samych być powinna; a przeciwnie, obrzydzeniem przejmuje zdanie tych, którzy powiadają, że to ich bynajmniej nie obchodzi, choćby po ich śmierci ziemia ogniem spłonęła, jak to jeden powszechnie znany wiersz grecki opiewa. Pewną więc jest rzeczą, iż nawet o dobro pokoleń przyszłych, dla nichże samych starać się mamy" ¹⁾).

To wreszcie cośmy tu napisali z powodu moralności pozytywnej, jest tylko luźnym epizodem, który się nam nastęczył z powodu używania własności osobistej na korzyść innych, w przeciwstawieniu do używania samolubnego; Cycero moralność tę rozwija w osobnych rozdziałach, do których zajrzemy z kolei. Tymczasem stojąc jeszcze przy moralności negatywnej i po jej określeniu przez nieczynienie krzywdy nikomu, rozróżnia on rozmaite rodzaje niesprawiedliwości, wymienia jej przyczyny i określa stopnie.

Czynić źle lub dozwalać na złe uczynki, oto są dwa sposoby uchylenia sprawiedliwości. Namysł dłuższy lub krótszy nadaje niesprawiedliwości cechę więcej lub mniej znaczącą. Chęć wyprzedzenia nieprzyjaciela, namiętność, pożądlivość, chciwość, ambicya, są to główne przyczyny pobudzające nas do zgwałcenia praw drugiego. Obawa przysporzenia sobie nieprzyjaciół, kłopotów lub wydatków, niedbałstwo, lenistwo, zajęcia, interesa, upodobania wreszcie indywidualne: oto są przyczyny, które skłaniają do opuszczenia sprawy sprawiedliwości i czynią nas obojętnymi świadkami nadużyć, którym moglibyśmy zapobiedz. Nie grzeszymy więc według niego tylko czynem, ale zarazem, jak to chce mieć Chrześcijaństwo, i opuszczeniem.

Gdy chodzi o nas samych, miłość własna i namiętność często kładą nas co do znaczenia dobra i zła. Ztąd też wyradza się to nieocenne prawidło, zapożyczone przez Cyncerona u mędrców starożytności: ażeby nie przedsiębrać nic, dopóki sumienie waha się w wątpliwości, czy to, co mamy uskutecznić, jest dobrém ²⁾. Zdrowym już tylko rozsądkiem rozwiązuje on pewną liczbę kwestyi, długo rozbijających się po szkołach. Czy mam dotrzymać obietnicy złożony mi w depozycie miecz temu, kto przagnie przebić nim kogoś lub siebie?... Nie. Bo dana obietnica albo świętość depozytu, jako obowiązki, niżej stoją, a na ten raz

¹⁾ *De finibus*, ks. III, rozd. 19.

²⁾ Nil unquam agere quod dubites aequum sit an iniustum; aequitas lucet per se, dubitatio cogitationem significat injuriae.

w sprzeczności z ogólnym prawem sprawiedliwości *nieszkodzenia nikomu*, w zgodzie zaś z obowiązkiem przyczyniania się do ogólnego dobra. Sprawiedliwość, co większa, obowiązuje nas nawet według niego, względem tych, którzy nam wyrządzili krzywdę, a sama nawet wojna ma swoje reguły i powinności. Niewiele pod względem praw ludzkości mógłby dodać moralista dzisiejszy do tego co w tym przedmiocie mówi Cycero, oświadczając, że oddawanie wet za wet, pomsta za niesprawiedliwość ma swoją granicę i że pokrzywdzony poprzestać powinien na tym, gdy krzywdzący postępku swego żałuje i przeprasza zań. Dwa są według niego sposoby rozwiązywania sporów: jeden przez ugodę, właściwy człowiekowi; drugi przez użycie środków gwałtownych, właściwy zwierzętom; do tego więc drugiego wtedy tylko uciekać się możemy, kiedy pierwszy okaże się niepodobnym. „Można tedy, powiada ¹⁾, prowadzić wojnę, abyśmy bez krzywdy w pokoju żyć mogli, ale po odniesionym zwycięstwie mamy w całości zachować tych, którzy podczas wojny ani okrutnymi, ani barbarzyńskimi nie byli.” Wbrew moralności dzisiejszej, toleruje on i wojny zaczepne, podejmowane dla rozszerzenia panowania, ale i tu żąda on najprzód powodów usprawiedliwiających wystąpienie wojenne, a następnie pragnie, ażeby wojny takie z mniejszą zawziętością były prowadzone. Cytuje mnóstwo przykładów rzymskich i obcych, wykazujących oględność w wypowiedaniu, a ludzkość w prowadzeniu wojny, a wykład wieńczy świetnym czynem Regulusa, postawionym za wzór prawości tak względem współobywateli, jak i nieprzyjaciół, przez poświęcenie siebie samego. Ieżto razy wreszcie Cycero zaleca za najświętszy obowiązek wierność w dotrzymaniu słowa i to potępiając wszelkie środki wykrętne, pozorujące wiarę. „Gdy idzie o dotrzymanie słowa, mówi, trzeba na to pomnieć co myślałeś, a nie na to co wyrzekłeś” ²⁾. Zgoła niewłaściwem byłoby żądać od Cycerona, ażeby wyprzedzając wieki, odezwał się za zniesieniem niewolnictwa, skoro jeszcze republikanin Rousseau, w swoim *Contrat Social* wahał się, czy dla dobra wolności i ekonomii nie dobrze byłoby utrzymać w państwie niewolnictwo; ale moralista rzymski poleca ten stan nieszczęśliwy miłośnikom sprawiedliwości, każe uważać niewolników tylko za najemników, wymagać od nich roboty, ale oddawać co im przynależy. Jak Dante w wojnie, tak Cycero w krzywdzie widzi dwa sposoby: przemoc i chytróść. „Gwałt lwom, powiada, chytróść lisom jest właściwa: jedno i drugie najniegodniejszym jest człowieka, ale chytróść ma w sobie coś ohydniejszego. Największej zaś niesprawiedliwości ci stają się winni, którzy oszukując, uczciwych ludzi udają.”

W sprawiedliwości pozytywnej, którą Cycero zwie poprostu dobroczynnością i szczodrobliwością, a nad które nie zna nic coby lepiej przypadało do ludzkiej natury, widzi on jednak potrzebę zachowania pewnych środków ostrożności. Jest ich trzy. Naprzód, baczyć

¹⁾ *De officiis*, ks. I, rozd. 11 i 99.

²⁾ *Ibidem*, rozd. 13.

mamy na to, ażeby dobroczynność nasza nie wyszła na szkodę tym, którym dopomóżdź chcemy lub innym; powtóre, ażeby majątku dawcy nie przewyższała; potrzebie, ażeby każdemu wymierzaną była wedle zasług. Im ściślejsze węzły, uczucia, stopień zbliżenia większy, tém rozciąglejszą i naglejszą winna być dobroczynność. Przebiega on związki rodzinne i przyjacielskie, rozwodząc się nad każdym stosunkiem i wyznaczając mu miejsce w uczuciu naszym oraz w zobowiązaniu; ale jednocześnie wdraża w umysł syna, że niema droższego i ważniejszego związku nad ten, jaki między obywatelem a rzecząpospolitą zachodzi. „Mili są rodzice i dzieci, powiada, mili krewni i powinowaci, ale wszystkie te miłości jedna ogarnia ojczyzna: któryż prawy obywatel nie zgodziłby się śmierć za nią ponieść, byle mógł jej dopomódź!” Piętnując téż dawniejszych i współczesnych sobie warchołów politycznych, którzy dla ambicyi osobistej poddawali społeczność wszem okropnościom wojen domowych, dochodzi jednak aż do fanatyzmu w swym patryotyzmie, i cieszy się ze śmierci Cezara.

Miłość ojczyzny nie jest jednak u Cyncerona granicą uczuć altruistycznych człowieka sprawiedliwego, tak jakby tego oczekiwać można po poganinie, i to wychowanym w żywiole zdobywczej Romy. Ze zdziwieniem widzimy go niejednokrotnie zachodzącego dalej, a to również za natchnieniem i napomknieniem Stoików o braterstwie i miłości powszechniej. I pod tym względem niechaj nauczą nas jego księgi *Praw*, jak on pojmuje naturę i posłannictwo człowieka. Człowiek zrodzony został (*generatus*) przez Boga Najwyższego z przeznaczeniem świetnym. On jeden wespół tyłu istot posiada rozum, a cóż nietylko w człowieku, ale na całym niebie i ziemi nad rozum bardziej boskiego jest? Skoro więc rozum jest zarówno w Bogu jak w człowieku, to pierwsze już zachodzi społeczeństwo rozumu między człowiekiem i Bogiem. Dalej, ponieważ rozum ten wspólny jest zarazem prawem, przeto ludzie uważać się powinni za żyjących w społeczeństwie bogów, za ziomków jednego kraju, tembardziej jeśli ulegają tym samym rozporządzeniom i mocom. Owóż, ulegają oni tym przepisom niebiańskim, duchowi bożemu, wszechmocnemu Bogu tak, iż cały ten wszechświat uważanym być winien za państwo wspólne bogom i ludziom. Wprawdzie, w społeczeństwach czysto ludzkich, dla pewnych powodów szczególnych, pozachodziły różnice w rodach jednego plemienia, ale tam, w naturze, porządek piękniejszy i wznioślejszy wiąże ludzi z bogami ogniwem plemiennym i rodzinnym.

Lecz w moc czegożto następuje ta jednorodność ludzi z bogami? Oto w moc téj duszy nieśmiertelnej, jaką człowiek po wielu ewolucjach natury, ukazawszy się na ziemi, otrzymał w darze od Boga (*divino munere auctus*). Dusza więc jest niejako pośredniczem ogniwem między człowiekiem i Bogiem, znamię familijnem. Dlatego téż niema tak dzikiego narodu, któryby, jeśli nie wie jakiego Boga potrzeba mieć, nie wiedział przynajmniej że potrzeba mieć jakiegośkolwiek. Skoro więc Bóg zrodził człowieka i spokrewnił z sobą, przeto wypada przy-

jąc za pewnik, że natura ludzka jest postępową i że bez innego już mistrza nad siebie samą, wychodząc z pojęć ogólnych, które zawdzięcza inteligencji pierwotnej i zaczątkowej (*prima et inchoata*), wzmacnia ona i uzupełnia swój rozum ¹⁾.

Do czegoż zmierza ten wzniosły platonista ze swą dostojną genealogią zakrawającą na panteizm? Oto do wykazania, że wszyscy ludzie, według powyższych zasad, są sobie równi po krwi i godności, że są sobie braćmi. Poznanie tego faktu jedynie może im zapewnić szczęście wspólne; ale nie spada ono samo bez trudu. Kiedyż i pod jakim warunkiem szczęście to urzeczywistnić się może? Wtedy, kiedy dusza, poznawszy i zrozumiałwszy cnoty (i tu znów przemawia Stoik), odwyknie od wszelkiej folgi dla ciała, kiedy stłumi rozkosz jako pokalanie piękna, kiedy wyzuje się ze wszelkiej obawy śmierci i bólesci; kiedy zwiąże się ze swemi bliźnimi węzłem miłości; kiedy ludzi uważać będzie za swych sprzymierzeńców naturalnych: kiedy, nareszcie, przejęta czcią dla bogów i religią czystą, wyćwiczy w sobie ten wzrok ducha, na równi z oczyma ciała tak, iżby człowiek dobre ukochał, od złych się odwracał ²⁾, którąto cnotę Cycero, jak wiemy, pod mianem roztropności, wcielił w skład swojego pojęcia o zacności i postawił ją na czele idei obowiązku.

Taka tedy zasada, mocą której wszyscy ludzie są pochodzenia boskiego i równi sobie w całej naturze, przeniesiona na grunt sprawiedliwości, zastosowanie tej ostatniej przeciąga poza zakres jednej rodziny, jednego kółka przyjaciół i jednego kraju; rozsądza dobroczynność rodzinną i obywatelską w znaczeniu gminy, bo dusza, jak to wyraźnie zaznacza filozof ten w traktacie *De Legibus*, „nie jest mieszkanką jednej miejscowości zamkniętej murami, ale *obywatelką świata*, grodu jedynego.” Prawo przyrodzone, według tej jego zasady, zrywa ten partykularyzm sprawiedliwości pozytywnej i wymaga, ażeby jeden człowiek drugiemu, kimby on był, przez to już samo że jest człowiekiem, nie odmawiał swojej pomocy, i nieinaczéj dopełni on swęj powinności jako człowiek, tylko dbając o pożytek ludzki i wszechspółeczność ludzką ³⁾. W całej wreszcie moralności, nic, zdaniem Cyclerona, nie posiada większego blasku i obszaru, jak ta jedność ludzi między sobą, jak stowarzyszenie i wspólność pożytków, jak słowem, *miłość* rodu ludzkiego, który powstawszy z pary rodziców, stopniowo wychodzi poza dom, rozciąga się kolejno do krewnych, powinowatych, przyjaciół, sąsiadów, do obywateli i sprzymierzeńców, aż nakoniec ogarnia wszechludzkość. Tento nastrój umysłu, oddający każdemu co mu się należy, a owo zjednoczenie ludzi w jedną społeczność z równą troskliwością i słusnością utrzymujący, zowie się dopiéro sprawiedliwością, z którą łączy się szacunek dla starszych, dobroć, uczynność, zyczli-

¹⁾ *De Legibus*, ks. I; rozdz. 7, 8, 9.

²⁾ Tamże, ks. I, rozdz. 23.

³⁾ *De officiis*; III, 6.

wość, uprzejmość i inne podobne cnoty, towarzyszką sprawiedliwości a innym pobratymczą. Bo gdy, powiada, natura człowieka ma wrodzoną sobie skłonność do społeczeństwa, zatem cokolwiek jest dziełem każdej cnoty, to od owego społeczeństwa i od owej miłości dalekiem nie będzie, i nawzajem, sprawiedliwość przeistaczając się w wykonaniu na inne cnoty, wszystkie mieści ona w sobie, bo przestrzegać sprawiedliwości może tylko człowiek dzielny i mądry: jaką jest tedy ta cnota jedność i zgodność, taką jest moralność czyli zacność, gdyż ta albo jest cnotą samą przez się, albo uczynkiem pochodzącym z natchnienia cnoty; a kiedy życie człowieka zgadza się zupełnie z temi cnotami, wtedy poczytanem być może za dobre, zacne, zgodne z sobą i z naturą ¹⁾.

Pierwszycy raz w starożytności zabrzmiał u Cyncerona ten wielki wyraz: miłość rodu ludzkiego (*caritas generis humani*), a lubo nie ma on jeszcze tego szczytnego znaczenia co miłość bliźniego ewangeliczna, bo obok siebie mieści odwety, pomsty, rachunki, zbliża się jednak, przeczuwa, a w każdym razie daje świetne świadectwo humanitarnym pojęciom mędrca Tuskulańskiego.

Z tego co dotąd było powiedziane, widzimy więc, że obowiązki względem inteligencji naszej spełnia cnota zwana roztropnością, która zajmuje się poszukiwaniem prawdy; sprawiedliwość, uważana w obu swych częściach, wyczerpuje obowiązki nasze względem społeczności ludzkiej. Pozostałe zaś dwie cnoty, czyli dwie postacie zacności (*honesti*), stanowią moralność indywidualną.

Jedną z nich, jak wiemy, jest męstwo, albo siła czyli wielkość duszy, która także potrzebną jest dla urzeczywistnienia sprawiedliwości. Przez męstwo rozumie Cycero tę moc ducha, która skłania nas lekceważyć niebezpieczeństwo i gardzić przypadkościami ziemskimi. Dodaje wszakże, iż męstwo o tyle jest cnotą o ile łączy się ze sprawiedliwością: bez niej, jest to dzikość i brutalność. Razem więc ze Stoikami męstwo nazywa on cnotą walczącą w obronie słuszności (*virtus propugnans pro aequitate*). To tylko wreszcie jest wielkie, piękne, znamienite—powtarza on ustawicznie—co sprawiedliwe. Wzniesić się ponad wszystko co od nas nie zależy, gardzić rzeczami zewnętrznymi, życzyć, pożądać, poszukiwać tego tylko co zacnem jest, nie dać się zmódz żadnemu człowiekowi, żadnej namiętności, żadnemu dopuszczeniu; rozwinać te przymioty w uskutecznienu wielkich i trudnych czynów a pożytecznych ludzkości: oto dzieło i charakterystyka duszy dzielnej i mężnej. Miłość władzy i chwały, są to opoki, których strzedz się powinny dusze wielkie. Niedosć jest nieznac lęku, trzeba nadto nie dać się uwodzić powabom bogactw i rozkoszy, niedopuszczyć ażeby jakąbądź namiętność burmistrzowała w duszy. Nie chce jednak Cycero, na wzór Stoików, poszukiwać tego spokoju duszy w oddaleniu od spraw publicznych, w próżnowaniu i jałowój kontemplacji. Filozofowi tyl-

¹⁾ *De finibus*, V, 23.

ko, mędrcomi obdarzonemu świetnymi zdolnościami, pozwala on wyjść z wiru spraw społecznych. Ale ktokolwiek nie będąc filozofem, zdolnym jest przyjmować udział w zawiadywaniu rzecząpospolitą, ma obowiązek schodzić na forum, starać się o urzędy, pracować około gmachu społecznego. Zarówno z naszym Libeltem, odwagę cywilną stawia Cycero wyżej ponad wojenną, i zdanie swe popiera nietylko świetnym wykładem, ale przytoczeniem mnóstwa malowniczych przykładów z historii greckiej i rzymskiej ¹⁾.

Pozostaje czwarta i ostatnia postać zacności, którą Cycero obejmuje rozmaite przymioty stanowiące ozdobę i godność życia, jako to: wstrzemięźliwość, skromność, wstydlivość, spokój duszy, przyzwoitość, wdzięk i takt we wszystkich rzeczach, co wszystko razem wzięte utrzymuje harmonią cnót i tkómaczy się tu wyrazem *decorum*, wytworność, greckie *πρεπον*. Ta wytworność jest więc raczej cechą ogólną wszystkich cnót, niżeli cnotą szczególną. Rozróżnia on dwa rodzaje wytworności: jeden powszechny, będący niejako odbłyskiem zacności całej jednolicie wziętej; drugi szczegółowy, odzwierciedlający każdą cnotę pojedynczą. Pierwszy z tych rodzajów nazywa on tém, co jest odpowiedniem doskonałości natury ludzkiej. Wszak poeci dramatyczni starają się o to, ażeby każdy z ich bohaterów wprowadzonych na scenę, mówił, poruszał się i działał *stosownie* do danego mu charakteru: otóż i my, pośród wszystkich istot natury, mamy swą rolę na teatrze świata, rolę wyższą potężnymi przymiotami duszy; mówmyż więc, postępujmy, działajmy *stosownie* do téj wysokiej roli.

Pomijam szczegółowe przepisy tego *decorum* w życiu, jakiemi Cycero ozdabia ostatnie rozdziały pierwszej księgi swój o obowiązkach. Pisane są one ze stanowiska starożytnego rzymianina, ale wiele z nich utrzymuje do dziś znaczenie swe powszechne. Nie możemy się tu zbytęcznie oddawać szczegółom, chcąc w głównych tylko zarysach przedstawić ideę moralności na tle starożytném, tak jak ją rozumiał eklektyk rzymski raczej w postaci własnego postulatu niż w odbiciu trybu społecznego. Zwrócimy tylko uwagę na stopniowanie, jakie on między temi postaciami zaprowadza. Pierwsze miejsce w porządku hierarchicznym trzyma tu sprawiedliwość, od którejż zawisł byt społeczeństwa. Obowiązki względem umysłu są zapewne wielkie, ale na cóż przyda się wiedza, któraby nie miała za cel społecznego pożytku? na co przyda się dobrze myśleć, jeżeli ktoś źle postępuje? Nie poświęca on jednak wszystkiego obowiązkowi sprawiedliwości i rzeczy publicznej: wyjmuje z pod tego wstrzemięźliwość, szacunek własny, wstydlivość, a raczej nie pojmuje ażeby w jakimbądź wypadku, obowiązek sprawiedliwości lub sprawy publicznej mógł wymagać poświęcenia tych cnót.

Mylnie zarzucano Cycleronowi, że pominął obowiązki względem Boga: mówi on wprawdzie o tém mimochodem, niewiele, krótko, ale jaknajwyraźniej; obowiązki te stawia w pierwszym rzędzie, oświadcza-

¹⁾ *De officiis*, I, 22 sq.

jąc ¹⁾, że „bogów zjednywa nam życie pobożne i świątobliwe.” To mieszanie liczby pojedynczej z mnogą w zastosowaniu do bóstwa, jest cechą Cycerona zarówno jak wszystkich filozofów ze szkoły Platona i Arystotelesa. Wzgląd na religią mas, poetyczne poczucie tradycji, mają udział w tej foldze dla politeizmu bez zaprzeczenia: rzymianin wymawia *bogi*, wówczas gdy filozof myśli o *Bogu*, i to nietylko w innych pismach, ale w szczególnie temu przedmiotowi poświęconym traktacie: *De natura deorum*. Przypisując Bogu Najwyższemu stworzenie świata i człowieka, jak to widzieliśmy i w niniejszym wykładzie, nie daje wszelako Cycero dokładnego wyobrażenia, jak Go rozumie, ani gdzie tego Boga szukać należy po stworzeniu świata. Rozumowania jego dążą tylko do utrzymania idei Boga, lecz co do Jego Istoty, jest on zupełnie ciemnym. Raz wszakże obstawając za tą ideą, przeciwko fanaronom epikurejskim, których nienawidzi i w kontrowersjach swych po Akademicku nieniąosiernie wyszydza, oraz przeciwko dumnym Stoikom, którzy religię swych zasad postawili wyżej nad czcią dla bóstwa, Cycero z samego stosunku stworzenia do Stwórcy, musi, dla konsekwencyi, uznać względem Niego obowiązki. Cała téż wreszcie księga jego o obowiązkach, jest jakoby tylko rozwinięciem późniejszej myśli Seneki: *Si vis deos propitiare, bonus esto*.

Dotąd rozbierał Cycero ideę zacności, w której, jak widzieliśmy, najświetniejszym punktem jest sprawiedliwość. Teraz przechodzi do rozbioru pożytku; ale na równi z dzisiejszymi utylitarystami, nie odłącza on jednej idei od drugiej. „Najcenniejsi filozofowie, powiada, ściśle bez wątpienia, ale bez ujmy dla zacności, i w myśli tylko odróżniają te trzy rzeczy: co jest sprawiedliwe, uczciwe i pożyteczne. Którzy tego nie dostrzegają, często w podziwieniu mając ludzi chytrych i przewrotnych, chytróść mądrością być sądzą. Trzeba ich wyprowadzić z tego błędu i przywieść do przekonania, że tylko przez postanowienia uczciwe i sprawiedliwe czyny, nie przez chytróść i podstęp, co zechcą osiągnąć będą mogli.”

Rozprawiając téż o pożytku, Cycero zda się wciąż jeszcze mówić o zacności, tylko z niektórymi zastrzeżeniami. Wywraçałby porządek i podstawę moralności, ktoby przyjemność lub korzyść wyciąganą z dobra, stawiał wyżej ponad samo dobro i zacność mierzył korzyścią. Cała więc dążność wykładu Cycerona skierowaną jest do okazania, że zacność, jako mająca wartość sama w sobie, stanowi zarazem źródło pożytku i szczęścia, czyli, że te ostatnie sa nieodłącznym następstwem cnoty. Na takim wywodzie polega różnica jego poglądu od Epikurejczyków, którzy utrzymywali, że pożytek istnieć może niezależnie od cnoty.

Pod nazwą pożytku rozumie on, poza obrębem zadowoleń wewnętrznych, powodzenie w świecie, a więc: bogactwo, dostojność, zaufanie, sławę. Sposobem do nabycia tego wszystkiego jest tylko cnota.

¹⁾ *De officiis*, II, 3.

Jakoż, po bogach, cóż na świecie pożyteczniejszym być może człowiekowi nad samegoż człowieka? Owóż, pomiędzy przymiotami cnoty znajduje się i ten, że ona zjednywa nam umysły ludzi i serca. Nie można zaprzeczyć skuteczności przyjaźni i sławy w zjednywaniu nam życzliwości drugich, ale niema prawdziwej przyjaźni, ani prawdziwej sławy, poza obrębem cnoty. Prześliczne karty zapisał Cycero w osobnej księdze swój *O przyjaźni*; nie powtarza się więc, ale odsyła syna do téj księgi, w której udowadnia, że niema innej przyjaźni, tylko ta, która zawiązała się na gruncie cnoty. Rozkładając następnie rozmaite żywioły, jak: miłość, ufność, podziw, składające sławę, przychodzi do podobnegoż wyniku, że niema innej sławy prawdziwej, tylko ta, która wykwitła z cnoty. Miłość bowiem pozyskuje się tylko przez rozgłos, jaki człowiekowi czyni dobroczynność, sprawiedliwość, prawość, oraz wszystkie cnoty łagodzące i uprzyjemniające obyczaje. Ufność mamy tylko w tym, kto w umyśle swym kojarzy roztropność ze sprawiedliwością. Podziwiamy tego jedynie, kto pogardza życiem i bogactwem, kto daje odpór rozkoszy i boleści, a nadewszystko temu, kto rządzi się sprawiedliwością. Ta błyszczy najjaśniejszym światłem wobec tłumów, i bez niej istnieć nie może żaden z powyższych trzech żywiołów sławy.

W gatunkowaniu pożytków, Cycero rzeczywiście nie wznosi się ponad swój wiek: jego utylitaryzm ogranicza się widokami rzymskiego patrycyatu; przeważnie więc mówi on o zaszczytach i chwale. Nie to więc głównie nas zajmuje w tym wykładzie, co on za pożytek uważa, ale raczej miejsce, jakie pojęciu temu względnie do cnoty wyznacza. Dzisiejszy utylitaryzm, nie przyjmujący żadnych pojęć powszechnych i duszy ludzkiej wrodzonych, zarówno z materyalistami wszelkiej barwy, szuka ich genealogii w instynktach organizmu fizycznego, mianowicie w egoizmie. Ztąd, na równi ze starożytnym epikureizmem, cnota jest dlań tylko rachubą, dobrze zrozumianym interesem jednostki, która przez zebranie pewnej liczby spostrzeżeń, choćby dziedzicznie przekazywanych i mnożonych, przekonała się, że *pożytecznem* jest dla niej, czyto ze względu na spokój własny, czy na inne dogodności, praktykować pewne czyny, które dla odróżnienia od innych, nazwane zostały charakterystycznem mianem cnoty. I w takim rozumowaniu pożytek byłby podstawą, rodzicem cnót; zachęta do nich szłyby od wystawienia korzyści, byłaby interesowną. Cycero, razem ze wszystkimi dawniejszymi i późniejszymi idealistami, przyjmując rozum powszechny, wspólny ludziom z Bogiem, w nim widzi zawarte prawdą doskonałości ludzkiej, z niego wyprowadza pojęcie cnoty, a w nocie dopiero pożytki od niej nieodłączne. Byłaby i w takim porządku równaż poprzedniemu interesowność, bo każdy mógłby sobie powiedzieć: będę praktykował cnotę dlatego tylko, ażeby mieć dogodności, jakie mi z niej wykazują. Ale zapobiega temu Cycero z góry, chwytając się teorii stoickiej pogardzania przypadłościami ziemskiego życia, rozkoszą i bólem, i pogardę tę stawiając za jeden z warunków zacności, czyli

cnoty. Owóż, w ostatecznym wyrazie pożytek, jakikolwiek on będzie, sprowadza się do pojęcia rozkoszy czyli przyjemności, ból do nieprzyjemności. Wzgląd zatem pożytkowy, w gruncie usunięty jest w teorii Cyncerona z pojęcia cnoty i ona sama wskazana za jedyny cel życia bezwarunkowy, cokolwiekby nastąpi; pożytki zaś, jakie filozof wyprowadza z niej, leżą już bezpośrednio w samym fakcie spełnienia cnoty, innego objawu nie potrzebując: takie tylko odpowiadają godności ludzkiej, i równoważą się z zacnością. Regulus nic nie zyskał na swym czynie, prócz śmierci, ale pożytek spłynął nań przez to samo, że spełnił ten czyn rzucający na niego taki blask cnoty: przykładem swym dał jój świadcstwo bytu i utwalił go wśród społeczności.

Tak dalece przejęty Cyncero jest koniecznością cnoty dla samej siebie, że dowodzi niemożliwości pożytków z cnoty udanej. Obłuda jest dlań czemś tak sromotnym i błędnym, że niema dość słów ku jój potępieniu. „Pięknie mawiał Sokrates, powiada ¹⁾, że najprostsza i najkrótsza droga do sławy jest ta, gdy kto w postępowaniu pokazuje się takim, za jakiego chce być mianym. Jeśli kto myśli, że udawaniem, próżnemi blichtrami, zmyśloną nietylko mową, ale i twarzą, nadługo może zjednać sobie sławę, bardzo się myli. Prawdziwa sława zapuszcza korzenie i krzewi się; udawania wszelkie opadają rychło jak kwiatki: nic zmyślonego nie potrwa długo.”

Cały więc wykład pożytku, tak w rozgatunkowaniu zadowoleń, jako i w radach wskazywanych dla ich osiągnięcia, w przykładach czerpanych z dziejów, jest znowu niczém inném, tylko wystawieniem i zaleceniem sprawiedliwości, ze względu na jój rezultaty, a osnowę jego streścić można w tych słowach ²⁾: „Wszelkim sposobem czcíć i podtrzymywać należy sprawiedliwość, raz dla niej samej, inaczej bowiem niema sprawiedliwości; powtóre, dla nabycia większych dostojństw i sławy.”

Niczém téż inném, tylko dalszém podniesieniem sprawiedliwości, jest cała część trzecia traktatu, gdzie autor porównywa zacność z pożytkiem. Niema w tym wykładzie myśli nowych, któreby coś dodawały nowego do podstaw moralności, jakie ukazaliśmy dotąd, ale jestto raczej świetna kazuistyka, w rozmaitych przykładach przypuszczalnych, albo z historii greckiej i rzymskiej wyczerpanych, dowodząca tego określenia moralności stoików, że wszystko co zacne, jednocześnie pożytecznym jest, oraz że niema nic zacnego, coby pożytecznym zarazem nie było, i naodwrot. Lubo więc niemamy tu nic tak dalece nowego do zanotowania pod względem zasad głównych, moglibyśmy całe rozdziały przepisywać, upajając się wdziękiem i siłą w przedstawieniu ich zastosowania, wielbiąc gorący patryotyzm obywatela, i w wielu razach podziwiając w nim bezwiednego chrześcianina.

¹⁾ *De officiis*, ks. II, roz. 12.

²⁾ Tamże, ks. II, roz. 12.

Dosyć zestawić te wspaniałe karty z temi, które w księdze drugiej traktatu *O granicach dobrego i złego*, tak potężnie walczą przeciw moralności epikurejskiej, rozkosz za cel życia ustanawiającej, ażeby zrozumieć całą doniosłość zamiaru Cyncerona. Chciał on przez zwrócenie obyczaju narodowego na drogę cnoty zawartej w czystości duszy, bogobojności i zaparciu się siebie na korzyść społeczeństwa, podtrzymać walący się gmach społeczny. Głos jego pozostał jednak głosem wołającego na pustyni. Świat rzymski wydał Neronów, Heliogabalów i mnóstwo Karakalli: świat rzymski koniecznie chciał umrzeć; poszedł drogą wskazywaną przez Epikura, i umarł... torując drogę do podobnej śmierci wszystkim nowym Epikurejczykom, pojedynczym i zbiorowym. W rezultacie tylu usług wyświadczonych krajowi, w nagrodę za tyle dobrych chęci, Cyncero, starzec blisko siedmiesięcioletni, zamordowany został przez swoich, z podmuchu jednego z tych ambitnych wichrzycieli, istnych wrogów społeczeństwa własnego, których on, jako filozof, tylokrotnie w pismach swych piętnował. Epikurejczyk Antoniusz, w stoickim Akademiku Cynceronie, zamordował ideę: tryumf jego był tylko początkiem tryumfów dalszych i stało się według ewangelicznego słowa: „Biada ludowi, który kamieniuje swoje proroki.”

Cóż nam tedy przedstawia całość filozoficznych pism Cyncerona? Odpowiedz na to mieści się w poprzedniej osnowie naszego pisma. Jestto, z jednej strony, wtajemniczenie narodu rzymskiego w ducha filozofii greckiej, dotychczas obcej nad Tybrem; sposób, który przedstawiając rzecz samą dosyć obiektywnie, w rozumowaniu trzyma się jednak pewnej linii, wytkniętej przez własne upodobanie i przekonanie. Z drugiej strony, pod względem czysto etycznym, jestto zebranie argumentów ze wszystkich szkół na korzyść moralności idealnej przeciwko epikureizmowi, który, w rozumieniu filozofa, gdyby się rozprzestrzenił pośród ludności rzymskiej, podsyciłby jeszcze bardziej społeczną rozwiołość obyczajów. Nie będziemy tu rozbierać, czy epikureizm w pierwotnej swój formie demokryckiej, a nawet w przedstawieniu Lukrecyusza, jako system świata najbardziej naukowy ze wszystkich, dąży do takiego rezultatu pod względem obyczajów; ale to pewna, że spostrzegany pod pewnym kątem mógł się podawać do takiego komentarza, gdyż *caeteris paribus*, był on ówczasie tém względnie naprzykład do platonizmu, czém dzisiaj darwinizm względem Chrześcijaństwa, i podobnie pod względem moralności obudzał obawy. Gdyby Lukrecyusz lepiej był współcześnie rozumiany i znalazł tylu gorliwych prozelitów, jak dzisiaj Darwin, niezawodnie zawiązałaby się była polemika, i ci ostatni, zarówno z dzisiejszymi, mieniliby swoich przeciwników wstecznikami, zgnitymi idealistami, ultramontanami i tym podobnemi epitetami łatwiejszemi do wynalezienia, niż argumenta. Ale Cyncero pozostał bez odpowiedzi; przeciwnie, znalazł kontynuatorów w Senecie i Tacycie. Lukrecyusz także, jako systematyk, pozostał bez odgłosu, dopóki go nie zbudził na chwilę z uspienia Gassendi, by następnie sys-

tem jego w całości przekazać Moleschottowi, tak samo jak łacina przekazała Cyncerona ojcom Kościoła chrześcijańskiego.

Jeżeli Cyncero, jako systematyk, ma także samo znaczenie jak Lukrecyusz, czyli jest tylko tłumaczem myśli obcej, nierównie wyższém znaczenie jego jest pod względem historii filozofii. Położywszy sobie za cel nauczanie, urobił on język łaciński do wyrażania myśli filozoficznych, i był pod tym względem szczęśliwszym od naszego Trętowskiego. Wzbogacił go mnóstwem wyrazów technicznych, które niemal wszystkie weszły żywcem do języków nowoczesnych, zwłaszcza romańskich, a przez nie dostały się i do innych. Dla samych dziejów filozofii, dzieła jego są istną i jedyną w swoim rodzaju kopalnią wiadomości. Dziełki jego eklektyzmowi i krytyce, na kartach jego pism filozoficznych pozostały całe ustępy (zwłaszcza Epikura), z dzieł filozofów starożytnych, które w biegu czasu niszczały; ocalały myśli i zasady szkół rozmaitych, imiona myślicieli, o których bez niego i światby nie wiedział. Z dzieł też Cyncerona czerpano głównie materyał do odbudowy przeszłości filozoficznej Grecji.

Z tych wszystkich powodów nie możemy też dosyć zalecić czytania dzieł filozoficznych Cyncerona. Wprawdzie nie potrzebujemy się dziś z niego uczyć historii filozofii, ponieważ mamy gotowe podręczniki, systematycznie w kilku językach opracowane; nie potrzebujemy się uczyć z niego moralności, ponieważ mamy dziś moralność wyższą, wszczepioną od dzieciństwa; ale zalecamy głównie jego dzieła, jako wspomniały widok talentu krasomówczego, który usiłuje na wszystkie sposoby rzecz swą przedstawić w sposób najdostępniejszy dla umysłu i serca zjednać dla swoich przekonań. Z tej strony Cyncero niema do dziś dnia równego sobie, w kimby miłość mądrości z miłością ojczyzny kojarzyły się tak doskonale, a przez ten związek szlachetny nadawały całej osnowie jakieś znamię dramatu i wielkości. Dzieła te przede wszystkim nadają się do usposobienia młodzieży, kochającej zapal, gdziekolwiek go znajdzie. Z młodzieżą tą, jeszcze niedotkniętą grasującym obecnie realizmem, posuniętym do krańcowości, najłatwiej porozumie się ten pełen zapału trybun narodowy, którego wykład nikogo, chyba półumarłego dla nauki i swobody, nie pozostawia w spokoju. Młodzieży też on głównie, pod imieniem własnego syna, poświęcił swoje *De officiis*, zakończone słowami: „Oto masz od ojca swego, ważny, jak mnie się przynajmniej zdaje, upominek, którego ważność jednak zależeć będzie od tego, jak ty go u siebie ważyć będziesz.”

Łatwo wreszcie przychodzi nam dzisiaj poznać się z Cynceronem, gdy zacnej pamięci Rykaczewski przyswoił go naszemu językowi, a biblioteka kórnicka nie szczędziła na wydanie tłumaczenia nakładu. Rykaczewski szczęśliwie zwalczył trudności w przepolszczaniu dzieł filozoficznych, co do wyrazów i wyrażeń technicznych; ile nam zdarzyło się porównywać przekład z tekstem oryginalnym, nie odstąpił od myśli oryginału; oprócz tego, pracę swą opatrzył wstępami i notatami objaśniającymi, co wielce udostępnia zrozumienie tekstu, ale tylko pod

względem historycznym i obyczajowym. Ażeby zrozumienie to uczynić skuteczniejszém, należałoby choć krótko określić ducha każdej szkoły, a nawet pogląd każdego pojedynczego filozofa, na którego w wykładzie swym powołuje się Cycero, témbardziej, że tych nazwisk, w jednym tylko traktacie *De natura Deorum*, naliczyliśmy trzydzieści ośm, wymagających tym sposobem 38 objaśnień. Język Rykaczewskiego jest płynny i poprawny; nie powiemy jednak, ażeby był dosyć artystycznym, i żeby dykcya polska odwzorowywała dostatecznie tę znaną świętość, obok prostoty, dykcji cycerońskiej. W każdym razie, jestto praca, którą śmiało do akademickich zaliczyć możemy, i pochłubić się nią przed sobą.

Ale jestto praca dotąd niezupełna, co do samych dzieł treści filozoficznej. Dla ich uzupełnienia brakuje traktatów następujących: *Herrennius*, o wymowie; *Trzy rozmowy o krasomówcy*; *Brutus*, czyli rozmowa o najznakomitszych krasomówcach; osobny traktat *Krasomówca*; *Topica*, czyli figury retoryczne; *O najlepszym rodzaju wymowy*; *Paradoxa*; *O państwie*; *O prawach*; *O kandydaturze*; wreszcie ułamki dzieł pisanych prozą i wierszem, nie licząc ułamków przekładu dwu rozpraw Platona, które jako tłómaczone, dosyć jeżeli zostaną wskazane. Nie wiem, czy Rykaczewski dokończył całości przekładu Cycerona; jeżeli nie, to byłoby może przyjemném zadaniem dla biblioteki kórnickiej, która tyle już w tym przedmiocie uczyniła, powierzyć w odpowiednie ręce dokończenie dzieła Rykaczewskiego.

PRZEGLĄD
LITERATURY BELETRYSTYCZNEJ
za rok 1879 *).

PRZEZ

Waleryę Marrené.

Dajmon, J. I. Kraszewskiego. — *Zwierciadlana zagadka*, Deotymy. — *Cichy Janek i głośny Franek*, Lubowskiego. — *Pisma Sienkiewicza*. — *Z różnych sfer*, Meir Ezofowicz, Elizy Orzeszkowej. — *Za winy nie popełnione*, Bałuckiego. — *O życiu*, dramata Wł. Okońskiego. — *Franciska z Rawenny*, przez W. H. — *Przekłady*, A. E. Odyńca. — *Księgi pieśni Heinego*, przekład Al. Kraushara.

Trzecia powieść J. I. Kraszewskiego wyszła w tym roku: *Dajmon*, spokrewnia się znowu z całym cyklem poetycznych bohaterów, których

*) Dalszy ciąg — patrz zeszyt za styczeń r. b.

począwszy od Gustawa w napisanym przed czterdziestu kilku laty utworze *Poeta i świat*, spotykamy wielu bardzo rozproszonych w dziełach naszego powieściopisarza, jak Szarski w *Powieści bez tytułu*, Justyn w *Dwu światach* i wielu innych mniej więcej wybitnych. Bohater *Dajmona* Adryan należy do tej samej rodziny duchów: będących ze światem w rozterce; niemogących się pogodzić z koniecznościami życia; nieumiejących stąpać po realnym gruncie, ani walczyć z burzami losu. Adryan, to istota słaba, wątła, bezsilna a obdarzona kolosalną dumą i większą jeszcze, jeśli to być może, miłością własną.

Nie dziw: w piersi jego gości dajmon tajemniczy, zasłania mu oczy na to co go otacza, wie dzie go w świat marzeń, snów, złudzeń, każe mu pożądać tego czego osiąść nie może, a gardzić szczęściem które się do niego garnie, i w szalonym pochodzie za tajemniczymi ideałami deptać niebacznie po kwiatach losu i po sercach ludzkich. Dajmon ten jestto dajmon poezyi.

Niestety, o dajmonie tym pisano bardzo wiele i śmiało można powiedzieć, iż żaden duch nie był więcej spotwarzony. Czegoż-bo nie kładziono na karb jego. Wybryki społeczne i obyczajowe dziwactwa, fantazyje chorobliwe, lekceważenie najświętszych obowiązków: wszystko to było jego robotą. Niejednokrotnie téż owe smutne objawy rozstrajające społeczeństwo, podszywały się pod nazwę dajmona poezyi wówczas nawet, gdy żadne arcydzieło nie dawało mniemanego prawa do ich popełnienia.

Jeśli bowiem burzliwej pamięci Byron uświęcił niejako swoim przykładem i arcydziełami odszczepieństwa od prawowierności na jakim bądź gruncie, to może winny temu były okoliczności postronne; a najprzód ten formalny i formułkowy ówczesny świat angielski, który mieszał z sobą istotne obowiązki i ciasne pojęcia towarzyskiego kodeksu, a co gorsza, podnosił je do współrzędności, srożej może oburzając się i karząc wykroczenie przeciwko pierwszym, niż przeciwko drugim.

Nieszczęśliwe małżeństwo z zimną, sztywną, samolubną kobietą będącą uosobieniem tych wszystkich wstrętnych poecie właściwości społecznych; z kobietą, która niedostatki własnej natury podszywała pod nieskazitelną cnotę i stawiała się tym sposobem jej parodią, wpłynęło także stanowczo na dalsze jego życie. Fakta podobne pobudzają do buntu nie tylko poetów: działają na zmysł sprawiedliwości każdego człowieka, wywołują konieczną reakcją, a nieszczęśliwe małżeństwo często bardzo rzuca na zgubne drogi tych - nawet, co najmniej są do nich skłonni. Jeśli więc te czynniki buntu spotkały się w wysoko wyrobionej indywidualności z geniuszem poetycznym, nie idzie zatem by wina spadała za to jedynie na poezyą. Historia pokazuje nam przynajmniej równą liczbę geniuszów, którzy posiadali wszystkie domowe cnoty, jak tych co wiedli szalone życie. Jestto często więcej rzecz temperamentu i okoliczności, niż wynikiem dajmona poezyi, tylko że talent i sława stawia ludzi na świeczniku, więc postępowanie ich ma większą doniosłość. A przytém wrażliwość, ów konieczny warunek

twórczości, podnosi do potęgi każdy dodatni lub ujemny czynnik i sprawia, iż występują też one jaskrawo w utworach. Są zresztą epoki przejściowe i burzliwe, w których zakwestyjonowane są wszystkie tradycje i prawa, w których społeczeństwo drży w posadach jak ziemia, kiedy ma z niej wulkan wytrysnąć. Wieszcz-geniusze podobnych epok muszą jej burze odczuwać w sobie i odzwierciedlać w dziełach, nachylają się więc mimowoli pod technieniem prądów wieku, jak igła magnesowa ku północy.

Wszystko to jednak nie jest w ścisłym związku z *Dajmonem* Kraszewskiego, a bohater jego Adryan, niema nic wspólnego z owymi olbrzymiemi duchami, co cierpią bólem całej ludzkości, co płaczą jej łzami, chociaż przyznaje się dumnie do tego pokrewieństwa, chociaż zdaje mu się że wstępuje w ich ślady. Ale purpurowy płaszcz wielkości jakim się drapuje, co chwila spada mu z ramion; koturn wieszczy jest dla niego zbyt wielki, odwiązuje mu się od stopy, a w pośród narzuconych szat, które do niego nie pasują, ukazuje się skrzywione oblicze rozgrymaszonego dziecka. Jego zapały to chorobliwe fantazy suchotnika, a dajmona który go opętał, posadzamy mocno, że uzurpuje tylko nazwę poezji a w rzeczywistości nosi najpospolitsze miano, gdyż zowie się poprostu samolubną pychą.

Któż z nas nie spotkał na swojej drodze takich opętańców, co niosą nieszczęście sobie zarówno jak drugim, łamią serca które im się oddały, i wyczerpują bezmyślnie czarę życia nie na wielkie czyny, ale na gryzące troski miłości własnej?

Takim jest Adryan. Los postawił go w najszcześliwszych warunkach. Troskliwa, poświęcona opieka matki otacza go od kolebki, odbiera wykształcenie staranne, materyalny dostatek pozwala mu czynić zadość zachciankom, a piękna powierzchowność, wykwiłt obejścia i świetność umysłu jedną mu wszystkie serca. Niedosć mu być bożyszczem matki, staje się nin i dla młodej ślicznej kuzynki Leni, która kocha go pokorną i dumną zarazem miłością. Adryan kocha ją także a przynajmniej kochał w dzieciństwie, ale skoro ta miłość nie spotyka żadnej przeszkody, skoro przeciwnie, małżeństwo z Lenią byłoby szczęściem dwu rodzin, chore serce Adryana odwraca się od niej. Fakt ten daje nam miarę jego. Gdyby doznał zawodu, gdyby w zamian za czyste złoto uczucia odplacono mu fałszywym liczmanem, lub gdyby wreszcie inna silniejsza namiętność zawładnęła jego sercem i zatarła w nim obraz pierwszej miłości, Adryan byłby stokroć więcej żywym i sympatycznym. Tymczasem serce jego zdaje się dotknięte kalectwem niemocy. Odwraca się od Leni pod pozorem, że on, który piastuje w myśli genialne dzieło, on poeta, on wielki, nie powinien się wiązać domowemi obowiązkami. To starczy, by dać jego miarę. On zanadto kocha siebie, by móżdż dać innym jakąbądź cząstkę serca. Ma on dla wszystkich jedynie samolubne uczucie dziecka, w miarę usług lub hołdów jakie mu oddają, nie widzi cierpień niczyich, lekceważy poświęcenie, wymaga ofiar i przyjmuje je bez wdzięczności, jako rzecz sobie na-

leżną. A wszystko to dzieje się niby nie w imię miłości własnej, tylko w imię poezji, której jest, a przynajmniej sądzi się być reprezentantem. Postawiwszy się raz w tém wygodném położeniu, wyrzeka się do ostatka. Jestto jedném słowem olbrzymia pycha zaszczepiona na olbrzymim egoizmie. Charakter wstrętny zupełnie i niemający nic z prawdziwą poezją wspólnego, tak dalece, iż czytając *Dajmona*, przychodzi na myśl wątpliwość, czy Kraszewski nie chciał przedstawić parodii poety. Ale dalsze karty świadczą, iż jakkolwiek autor nie szczędził mu ostrych rysów, wierzył przynajmniej, że zdolnym był stworzyć i tworzył rzeczywiście wielkie dzieło.

Czytelnik jednak tego przekonania podzielać nie może. Wielkie dzieła zazwyczaj mają zupełnie odmienną genezę. Ten poeta noszący się pracowicie z myślą poematu, któryby wcielił dzieje ludzkości, szukający pracowiej jeszcze po całym świecie miejsca, któreby sprzyjało narodzinom jego, przypomina bajkę o górze w połogu. Chodzi on ciągle na szczytach, sam przed sobą udając tę wielkość do której dąży, wmawiając geniusz nieobjawiony niczém, prócz ciągłych deklamacyi na prozaiczne warunki życia; słowem, na to wszystko, co nigdy nie przeszkodziło żadnemu istotnemu talentowi wypowiedzieć się w jakimś bądź dziele.

Niektórzy upatrują w bohaterze *Dajmona*, w jego kapryśném sercu i fantazyjnym usposobieniu a nawet w zewnętrznych okolicznościach życia, podobieństwo do usposobienia i życia Słowackiego. Ale podobieństwo jest tu tylko pozorne; niema w Adryanie ani jednego z tych rysów głębokich a sympatycznych, które rozsiane są w korespondencyi naszego wielkiego poety, a które właśnie sprawiają, że pomimo licznych usterek i fantazyi, on był tym wielkim poetą. Na spróchniałém drzewie nie zrodzi się owoc żaden: istota pozbawiona strun szlachetnych i szlachetnych pocuć, może stworzyć dzieło sztuki: nie zdoła nigdy przemówić potężnym głosem tysięcy i znaleźć oddźwięk w piersiach wszystkich współbraci.

To nie fantazyja tylko, to nie sama trwoga obowiązku, nie małeńka pycha stawała pomiędzy Słowackim a kobietami jakie spotykał na drodze. Było tam coś więcej jeszcze: niemożność zharmonizowania się z niemi w zupełności. Miękką naturą poety lgnęła do nich może więcej niżby sam pragnął, a w każdym razie dużo więcej niżby należało. Był on zmienny i kapryśny, ale nie odpychał uczucia z serca, w imię wymarzonych poetycznych obowiązków. Arcydziała przeplatał miłością, ale nie miał nigdy chłodnego pedantyzmu Adryana, tego pedantyzmu, który sam starczy na zmożenie natchnienia, za którym on zawsze pozostaje w pogoni.

Wbrew autorowi, mamy ochotę przysiąc że to daremnie, że poemat Adryana musi być suchy, nadęty i zimny jak on sam, bo podobny człowiek nie mógł innego napisać, albo téż autor dał nam niezupełny jego wizerunek. Podobny charakter z natury swojej jest nadzwyczaj złożony, potrzebuje więc mistrzowskićj analizy ażeby zdołał

zapełnić książkę i zająć czytelnika. Adryan tak zanalizowany nie jest: od pierwszej kartki mamy jego moralną miarę, ponad którą nie podnosi się nigdy i nigdzie. Co do miary jego umysłu, ta nie wypowiada się wcale; on sam i autor zapewniają nas ciągle, że poemat jego jest wielki, że zamyka w sobie losy całej ludzkości, ale wszystkie słowa wyszłe z ust jego, nie przekraczają poza obręb najwzyczajniejszych komunałów.

Nie będziemy zastanawiać się nad tém, czy losy ludzkości są właściwym tematem poematu? czy raczej los człowieka, któryby walki i pragnienia pewnego dziejowego momentu skupił w sobie, nie jest stokroć bardziej zrozumiałym i wzruszającym, bo to stanowi zupełnie uboczną kwestyą. Zresztą jedyną akcją dramatyczną powieści, jest błąd romans z miss Rossą angielską; postęp suchot wytrącających z rąk poecie tak pracowicie trzymane pióro, i walka otaczających z umierającym, który skraca sobie życie, goniąc za natchnieniem do wyśpiewania ostatniej pieśni, co ma stanowić koronę dzieła. Śmierć spotyka w końcu poetę, którego do końca czytelnik ma ochotę nazywać pseudo poetą: zrozpaczony pali on całe dzieło. Jest to ostatni akt pychy i przekory. Nieskończonego poematu nie chciał pozostawić po sobie; działalność więc całego życia, to, czemu poświęcał wszystko i wszystkich, zamyka się w garstce popiołu.

Wprawdzie walka człowieka trawionego śmiertelną chorobą, co skraca sobie życie dla dopełnienia ukochanej pracy; bóle, porywy i wysiłki woli, które muszą towarzyszyć takiej walce: stanowią niezmiernie dramatyczny temat, ale na to potrzeba przedewszystkiém, by zainteresował sam bohater, oraz dzieło, któremu poświęca ostatnie chwile bytu i ostatnie tchnienia piersi. Jeśli autor nie zdoła wzbudzić w niego wiary, interes ten istnieć nie może, a niestety, jak to staraliśmy się wykazać, Adryan wiary téj nie obudza. Przedmiot ten mógłby mieć drugą równie tragiczną stronę: szamotanie się bezsilności pozującej na geniusz, przedmiot może bliższy prawdy, częściej spotykany, a mający żywotniejsze jeszcze znaczenie w naszym wieku, w którym nikt nie chce poprzestać na tém czém jest, a gorączka wyniesienia się pcha ludzi nieraz na tory sprzeczne z ich siłą i uzdolnieniem.

Tego zamiaru jednak Kraszewski niémiał z pewnością; nietylko bowiem poeta, ale wszyscy otaczający, ale sam autor są przekonani o prawdzie powołania i monumentalności utworu *Adryana*. Jestto więc geniusz, który czuł swą potęgę, geniusz, któremu zbrakło tylko odrobiny tchu dla wypowiedzenia się w zupełności, ofiara tajemniczego dajmona, który pożarłszy go na kształt upiora, szuka sobie miejsca w innej piersi ludzkiej. Takim upiorem staje się każdy dajmon, jeśli zamiast być poddanym człowieka, zostanie jego władczą. Gdyby kwestya była jasno postawiona w ten sposób, powieść czy fantazyja zyskałaby na tém niezmiernie. Tak przecież nie jest, myśl ta zrodzić się może jedynie po dojrzałej rozwadze w głowie czytelnika. Na dajmona każdego istniało zaklęcie, które uczynić go mogło posłuszném narzę-

dziem człowieka, na dajmona poezji takim zaklęciem może być tylko ukochanie czegoś więcej, niż samego siebie, własnej sławy i własnego dzieła. Tego czynnika Adryan nie posiadał: oto podobno powód jego choroby pożerania się w sobie, a wreszcie przedwczesnej śmierci.

Jeśli powieść ta nie dorównywa wielu innym powieściom Kraszewskiego, jeśli liczyć się nie może do jego arcydzieł, posiada tę wielką zaletę, że dotyka wysokich zagadnień chwili i jak każdy utwór podobnego nastroju budzić musi myśli, spory i starcie zdań. Jestto jedna z głównych zalet psychologicznej powieści i to, co stawia ją stanowczo ponad wszelkie inne rodzaje, bo studjum charakteru chociażby nawet jednostronnie i niedokładnie skreślone, otwiera zawsze pole badaniom i nasuwa dalszy rozwój myśli, z których inny talent skorzystać może. A ta myśl zarówno jak dajmon przeniesić się może do innej piersi.

Dajmony, których mieszkaniem są mózgi i serca ludzkie, bywają rozmaitego rodzaju, a ilekroć zagarną pod panowanie swoje człowieka, zamiast być przez niego ujarzmione, one, co mu służyć powinny, stają się powodem jego zguby, chociażby dajmon ten, jak ów, co opętał wedle Alfreda de Musset Lorenzacya w jego pysznym dramacie, miał archanielskie oblicze.

Dajmony muszą mieć pana nad sobą, sato siły potrzebujące rozumniejszego kierunku, tém bardziej, im większą jest ich potęga. Inaczej ludzie im podlegli, stają się opętańcami i sprowadzać muszą nieszczęście sobie i drugim. Ze wszystkich jednak najniebezpieczniejszym podobno jest dajmon wiedzy, jakkolwiek szlachetnym wydawać się może z pozoru. Niweczy on naprzód szczęście i spokój domowy, pożera dostatek i dobrą sławę rodziny, przyszłość dzieci, a wreszcie uczciwość i inteligencyą nieszczęśliwego, który mu się oddał w poddaństwo.

Zycie takiego opętańca i postęp dajmona w jego umyśle i sercu, oddał z nieporównaną prawdą Balzac w nieśmiertelnej powieści: *La recherche de l'absolu*. Widzimy jak dzień po dniu zachmurza się myśl i sumienie Baltazara Claës jęj bohatera, jak uczucie po uczuciu składa mu w ofierze, aż wreszcie zostaje się tylko ruiną dawniej istoty, ze szczęśliwego męża, ojca, obywatela zebrałkiem, a co gorzej zniesławionym starcem. Daremne są usiłowania żony, córki, najbliższych; dajmona nikt zwalczyć nie może, tylko ten, co go w łonie swoim nosi i stosownie do wypadku téj walki stać się on musi panem albo niewolnikiem.

Podobną myśl przeprowadza Deotyma w swojej ślicznej fantazyi: *Zwierciadłana zagadka*, tylko stosownie do swojego poetycznego uzdolnienia i do bujnej wyobraźni, przeprowadza ją w sposób więcej plastyczny, niż analityczny Dajmon, iak Mefisto w *Fauscie* dostaje cielesną szatę, staje się człowiekiem, łatwo go jednak rozpoznać pod alegoryczną nazwą profesora Hallucini.

Trzeba czytać tę śliczną zagadkę, opracowaną tak umiejętnie, wyrzeźbioną tak misternie, ażeby ocenić ile pracy musiała kosztować

autorke, ile studyów odbyć musiała, ażeby oprzeć się na najrozmaitszych autorach, zarówno starożytnych jak obecnych i wynaleźć w nich argumenta dla swego zadania. Wszystko tu jest obmyślane starannie, poczynawszy od dziwnej nazwy Hallucinięgo, a skończywszy na tej Młynnej ulicy i dworku zamieszkiwanym niegdyś przez Hofmana, gdzie on część swego fantastycznego ducha zostawił, wedle teorii mistyków i spirytystów, którą autorka widocznie studyowała także. Jednakże wywody autorki są tak logiczne, wśród fantazyi swojej tak silnie trzyma się realnego gruntu, tak trafnie umie się posługiwać naukowemi danemi, iż czytając *Zwierciadlaną zagadkę*, utrwalenie obrazów w zwierciadle a raczej odtworzenie tych, które się w niem kiedykolwiek odbiły, zdaje się, rzeczą naturalną i łatwą, jak np. w fantastycznych podróżach Verne'a, (które mają także za sobą prawdopodobieństwo naukowego dowodzenia) dostać się na księżyc, do środka ziemi lub na pokładzie Nautilusa odbywać podróże podmorskie.

Deotyma pokazuje nam w ostatniej nędzy bohatera swego opowiadania, pana Cezarego, człowieka najlepszego wychowania i towarzysztwa, który straciwszy całe mienie na to, by odkryć sposób odtworzenia obrazów zwierciadlanych, pewny, że fakta te miały miejsce, traci jeszcze ostatnią iskrę dumy i godności, posuwając się do żebraniny. Obraz to strasznej wymowy. Nie potrzebujemy badać dziejów tego człowieka, samo położenie jego, izdebka zaludniona widmami, nędza, jaka tu panuje, świadczą o potędze dajmona, który zagościł w jego piersi.

Daremnie pan Cezary chce odkrycie swoje powiązać z dobrem ludzkości i wmawia w siebie, że dla niej pracuje. To fałsz, jemu chodzi tylko i jedynie o wynalazek, to nie dajmon miłości, to dajmon wiedzy go opętał i nie opuści, aż wypije zeń życie. Fakt ten bije w oczy. Zamiast przedstawić psychologiczny postępek zgubnej namiętności, autorka obiektywnie przedstawia jej skutki i odmienną metodą dochodzi do tychże samych rezultatów.

Z niepospolitą zręcznością umiała ona utrzymać równowagę umysłową na ślizkim gruncie fantazyi i nie przekroczyć nigdy w opowiadaniu swoim granicy prawdopodobieństwa. Nie dała się nigdy unieść przedmiotowi, ale panowała nad nim zawsze, trzeźwa artystyczna rozważa nie opuściła jej ani na chwilę wśród trudnej i znakomicie obmyślanej akcji. Forma opowiadania przyjęta przez nią, nadaje się też jedynie do fantastycznych powieści, odpowiedzialność za cudowne zdarzenia, na jakich się tu węzeł dramatyczny opiera, spada tym sposobem nie na nią, tylko na pana Cezarego. Wszakże jest on pod wpływem Hallucinięgo.

Zwierciadlana zagadka, to śliczne artystyczne cacko, ta igraszka bogatej wyobraźni, karmionej nauką, jest prawdziwem zjawiskiem w naszej literaturze, rzeczą zupełnie nową, a przynajmniej pisaną zupełnie odmiennym sposobem, niżeli wszystkie fantastyczne powieści, jakie posiadamy. Nowością jest tutaj punkt naukowy; niema tu zgoła

nic mistycznego, chyba w rozmowach o pokazywaniu się duchów i widziadeł, o ich zwyczajach i obowiązkach; ale w rezultacie kończy się na rozmowie, żaden duch się nie pojawia i nie bierze udziału w akcji, a za to wszystko, co opowiada pan Cezary, spada na niego samego odpowiedzialność. Wszakże jedna ze słuchaczek, pani Marta, ruszała na nie ramionami... i pomiędzy czytelnikami znajdzie się wielu, co pójdą za jej przykładem, w tém przekonaniu, że opowiadający nie jest zupełnie przy zdrowych zmysłach, że dajmon mu je pomieszał... Ale czy pan Cezary był rzeczywiście lub nie był waryatem, jestto rzeczą indywidualnego sądu i bynajmniej nie osłabia wrażenia *Zwierciadlanéj zagadki*.

W zupełném przeciwieństwie z tym istnym klejnotem fantazyi, stoi refleksyjna powieść p. Edwarda Lubowskiego: *Cichy Janek i głośny Franek*. Pod tym *quasi* ludowym tytułem kryje się psychologiczny utwór, którego zadaniem jest antyteza i starcie dwu sprzecznych charakterów, na tle głęboko pojętych stosunków społecznych. Cichy Janek, człowiek prawdziwéj zasługi, nieskazitelnego charakteru, wielkiego serca i wielkich zdolności, ale nieśmiały i cichy, jakto sam tytuł wskazuje, wszędzie i zawsze zwyciężony jest przez swego głośnego rywala Franka.

Autor studyjuje te dwa charaktery, można nawet powiedzieć, że studyjuje je deterministycznie, śledząc od pierwszych lat życia wpływy, które na nich działały. Franek, jedynak, bogatych rodziców, wychowany w pieczyotach i samowoli, idzie w świat gładką drogą powodzenia, wszystko mu się uśmiecha, wszystkie zawady usuwają się przed nim. Nie dziw, posiada wszechwładny talizman naszego wieku — pieniądź. Profesorowie obchodzą się z nim inaczej niż z Jankiem, współtowarzysze patrzą na niego także inném okiem, niż na nieśmiałego kolegę, bo pieniądź, oprócz tysiąca materialnych rzeczy, daje nade wszystko pewność siebie, swobodę obejścia i swobodę myśli.

Janek był synem biednéj wdowy, która zapracowywała się we dnie i w nocy, aby wyżywić dzieci i dać im wychowanie. W domu spoglądał na troskę i łzy matki. Niedziw więc, że dwaj chłopcy przedstawiali we wszystkim zupełny kontrast, że jeden był cichy i przygnębiony, gdy drugi o niczém nie wątpił.

Trzeba jednak zaznaczyć, że wpływ położenia nie zawsze działa w ten sposób; pod tłoczną konieczności nieraz hartują się charaktery, wyrabia dzielność i tę żelazną wolę, która łamie wszystkie przeszkody; dostatek zaś, usuwanie z drogi życia wszelkich trudności, wpływa niemal zawsze na zniedołężnienie człowieka, który nie spotykając walk ani przeszkód, nie przywyka myśleć o sobie, ani działać stanowczo. Powody więc, które wpłynęły na usposobienie dwu bohaterów powieści, nie są stanowcze i mogłyby równie łatwo, trafiając na różne uzdolnienia, wprost przeciwne osiągnąć rezultaty. Nędza, stosownie do charakteru, wyrabia dumę lub téż wyrabia pokorę, czyni człowieka

nieskazitelny lub gnącym się na wszystkie strony. W każdym razie jednak uczy życia, odsłania oczy na to, co zwykle leży w ukryciu przed okiem szczęśliwych, daje poznać głębie myśli i głębie uczuć ludzkich, a tej praktycznej mądrości cichy Janek nie osiągnął bynajmniej ze swego położenia.

Jestto przedewszystkiem marzyciel, widzi zawsze świat rzeczywisty, nie takim, jakim jest, ale jakim odbija się w jego myśli. To też jeszcze na ławce szkolnej rozpoczynają się dla niego zawody, powtarzają się kolejno i koniecznie przez ciąg całego życia.

Pierwszém i najdłuższém złudzeniem Janka jest Franek, wierzy on w jego szlachetność, dobroć, przyjaźń i poświęca mu się z namiętném uczuciem, do jakiego był zdolny. Franek, który zna się na ludziach i umie się nimi posługiwać, w najwyższym stopniu wyzyskuje naiwnego kolegę; Janek pomaga mu w lekcyach, robi wypracowania, nawet w potrzebie swoje własne oddaje i cierpi za niego kary, z uczuciem, podobném do téj rozkoszy, z jakiem męczennik cierpi za swoje wiare, bo wiarą Janka jest przyjaźń.

Ma się rozumieć, w zupełnie odmiennych warunkach wchodzą w życie obadwaj młodzi ludzie, pomimo to trwają pomiędzy nimi stosunki, w ten sposób, że kiedy Franek potrzebuje pomocy Janka, np. przy zdawaniu egzaminów w uniwersytecie, wnet przypomina sobie przyjaciela; Janek zaś nigdy nie potrzebuje Franka, a jeśliby go kiedy zapotrzebował, to zawsze tak się zdarza, że Franek jest wówczas daleko i Janek sam poradzić sobie musi.

Stosunek ten daleko częściej istnieje pomiędzy ludźmi, niżby się zdawać mogło; stał się on nawet przysłowiowym we Francyi, gdzie mówią: pomiędzy przyjaciółmi, zwykle jeden tylko jest przyjacielem drugiego. Tutaj jednak dochodzi on do ostatecznych granic. I tak Janek słysząc przypadkiem, jak nieznani mu młodzi ludzie pomawiają Franka o haniebne przestępstwo, wyzywa jednego z nich i ranny w pojedynku, długo bardzo pokutuje za swój czyn rycerski. Franek naturalnie z tego poświęcenia zbiera owoce, a przed światem gra komedią czułości dla tego nieocenionego przyjaciela, ma temat do wypowiedzania pięknych tyrad i sentymentalnych frazesów, a świat ten tak pocziwy, tak dobroduszny, gdy chodzi o młodych dziedziców pięknej fortuny, uwielbia jego dobre serce, aż Franek tak bardzo bierze na seryo swoją rolę, iż rzucając się na piersi zgorączkowanego Janka, przysięga mu całe życie poświęcić. Przysięga podobna do niczego przecież nie obowiązuje, a brzmi ładnie i wyciska łyzy wdzięczności choremu. Zresztą łatwiej o przysięgę, jak o istotną pomoc. To też pomoc pieniężną nawet Franek ofiaruje w ten sposób, że ją matka Janka odrzuca.

Komedia, jaką Franek odgrywał przed światem, przed Jankiem, a może i trochę przed samym sobą, to także rys głęboki a charakterystyczny. Takich komedyantów na seryo często spotyka się w życiu i częściej niżeli się to wydaje, ludzie oszukują się sami na własnej wartości. Zresztą chociaż w jednych oczach uchodzić za wielkiego, za

szlachetnego, posiadać chociażby w oczach jednego człowieka wszystkie cnoty, jakich się niema śladu w rzeczywistości, to warte jest kilku godzin czasu i kilku ładnych słówek. Franek umiał dość dobrze obrachowować szanse życiowe, by to zrozumieć. Wiedział on już, że przyjaźń i wdzięczność są to także moralne kapitały, które rozmaicie procentować mogą.

Daléj los rozdziela dwu młodych ludzi: Franek straciwszy ojca, jedzie na wieś objąć majątek; Janek wchodzi do domu bankiera Krudyńskiego, w charakterze nauczyciela jego syna. Krudyński, jedna z głównych powieściowych postaci, nie jestto bynajmniej jeden z tych skąpców, co żałują pieniędzy na pożyteczne wydatki, nie należy on do tych pysznych parweniuszów, co to pragną każdego olśnić zewnętrznemi oznakami bogactw; nie jest on ani wyniosły, ani niedostępny, ani zgoła niema żadnej z tych śmiesznych stron, rzucających się w oczy, które dowodzą istnienia jakiegobądź namiętności: Krudyński jestto chodząca cyfra i nic tylko cyfra, w życiu, w ludziach, w stosunkach domowych i towarzyskich, widzi on tylko pewne arytmetyczne kombinacje. A cyfra nie jest przecież ani dumną, ani tkliwą, ani zabawną, ani uprzejmą, Krudyński niczém nie różni się od niéj; wraz z cyfrą majątku swego wzrasta i nabiera znaczenia, ale nie bryzga w oczy nikomu wielkością, wie że ją posiada i to mu wystarcza. Przywykł także do tego, że wszystko na świecie kupić można, więc gdy Janek waha się z przyjęciem u niego miejsca, podwyższa z uśmiechem oznaczoną sumę wynagrodzenia, pewien, że tym sposobem usunie wszystkie trudności. Rzeczywiście tak się dzieje przynajmniej... przynajmniej dziewięćdziesiąt dziewięć razy na sto.

Ta żyjąca cyfra, bankier Krudyński ma jednak córkę piękną, łagodną, wykształconą i smutną jak Janek. Pomiedzy nią a młodym nauczycielem zawiązuje się wkrótce miłość cicha, niewyznana a głęboka, jak te dwa serca szlachetne i stworzone wzajem dla siebie; Kochają się naprzód dlatego, że są młodzi oboje, a potém także dlatego, że są smutni. Panna Aniela bez matki, która odumarła ją dzieckiem, czuje się sierotą w domu ojcowskim. I nie dziw, pan Krudyński zaopatruje hojnie wszystkie potrzeby córki, dał jéj staranne wychowanie, da majątek, myśli po swojemu o jéj przyszłości, ale nigdy nie przeszło mu przez głowę zatroskać się o pragnienia młodego serca, o jego sny i bicia. Jakżeżby to wszystko zajmować go mogło, skoro zostawało poza granicami jego pojęć.

Aniela jest pod specyjalną opieką ciotecznej siostry bankiera, kobiety lekkomyślnéj i mającej wiele tłumionych żalów do niego, uważa więc, iż najlepszym sposobem pomszczenia się jest protegowanie romansu z nauczycielem, a to tém bardziej, że nudziła się bardzo w zamkniętym domu Krudyńskiego i że lubiła towarzystwo młodych ludzi.

Gdyby kto był powiedział cichemu Jankowi, gdy wchodził w progi bankiera, że pokocha się w jego córce i że otrzyma wzajemność, był-

by oburzył się na podobne posądzenie i zaprzeczył, a jednak stało się to, stało się przypadkiem i popędem nieobradowanym z góry. Wprawdzie to porozumienie się dwu serc młodych, było rzeczą bardzo łatwą do przewidzenia. Krudyński przecież jój nie przewidział, miłość nie wchodziła do jego gry, nie doświadczył jój nigdy. W swoim czasie będąc młodym, oświadczył się po kolei o trzy siostry w domu, w którym bywał i było mu zupełnie rzeczą obojętną, czy ożeni się ze starszą, średnią, czy najmłodszą; przypuszczał zapewne, że córka odziedziczyła jego usposobienie, nadewszystko nie mógł sobie wyobrazić, by ona pokochała się w człowieku, niemającym ani grosza majątku, a przynajmniej, by podobna miłość mogła stanąć na wspak jego zamiarom względem jój przyszości.

Zajęty swemi interesami, na Anielę nie zwracał długi czas najmniejszej uwagi, a z tego powodu czuły stosunek młodej pary mógł trwać bardzo długo, gdyby nie to, że Anieli zdarzyła się stosowna partya i że bankier postanowił wydać ją za męża. Starającym się o nią był Franek.

Skoro Janek dowiedział się o tém, pobiegł do mniemanego przyjaciela, opisał mu swój stosunek sercowy i zaklinał w imię dawnych przysiąg, by zaniechał swoich zamiarów. Ale Franka do wściekłości przywiodła sama myśl, że ten cichy, zawsze przyćmiony przez niego towarzysz, zyskał serce pięknej i bogatej panny, o którą on się starał, przyjął go więc bardzo chłodno, a żądaniu wręcz odmówił. Charakterystycznym rysem jest, że odmawiając tak prostej rzeczy, wymaganiej nie już przez przyjaźń, ale przez prostą uczciwość, podszywa się pod szlachetne pozory i tak twierdzi on, że był już związany słowem z Krudyńskim, że zerwać go nie może bez ujmy honoru. Charakterystyczniejszą jeszcze i niezmiernie subtelną jest uwaga samego autora, iż Franek byłby zapewne całe życie sprzyjał Jankowi, gdyby go widział jak zwykle ubożuchnym, cherlającym, maluczkiem i przyćmionym przez siebie, ale niemógł znieść myśli, by tenże Janek ubiegł go w czémkolwiek, do stał piękną i bogatą pannę, która na niego patrzeć nie raczyła.

Wbrew więc woli i serca Anieli, Franek popierany przez jój ojca, stara się o jój rękę. Bankier miał wzrok bystry, skoro tylko zwrócił na co uwagę, spostrzega łatwo z kąd pochodzi niechęć córki dla pięknego, wesołego i bogatego chłopca, którego jój za męża przeznaczą, a to tém łatwiej, że kochankowie postępują jak prawdziwi kochankowie z komedyi i zdają się nie domyślać nawet przepaści, jaka pomiędzy nimi leży. Aniela mówi ojcu o swoim uczuciu, miłości i t. p., czyli przemawia do niego językiem równie mu obcym, jak chiński lub sanskrycki.

Staje się więc to, co w tych okolicznościach stać się musiało, Krudyński zawsze grzecznie, ale stanowczo oddał Janka ze swego domu, a on i Aniela przysięgają sobie wiekiustą miłość na przekor okrutnemu ojcu.

Dotąd wszyscy są wierni charakterowi, jaki im autor nakreślił, ale od téj chwili akcja toczy się mniej logicznym biegiem. Aniela lekając się by ojciec nie mścił się za jój opór na Janku, oddaje rękę Frankowi, oświadczając mu z góry, że go nienawidzi, że nim pogardza, a do śmierci kochać będzie jego dawnego przyjaciela. Franek pomimo to się z nią żeni i wywozi ją do dóbr swoich, gdzie młoda kobieta wkrótce dostaje suchot.

Janek trawiony tęsknotą, wiedząc, że ona jest nieszczęśliwą, że mąż o nią nie dba, wybiera się przebrany do majątku, w którym zamieszkuje, za pomocą podstępny dostaje się do Anieli, widzi jój stan zrozpaczony i chce jój osłodzić ostatnie chwile. Zaczyna się drugi akt smutnej sielanki, którą brutalnie przerywa powrót Franka, tak jak pierwszy przerwała interwencya Krudyńskiego.

Jakkolwiek Franek czułym małżonkiem nie jest zupełnie, pojmując przecież iż w oczach świata nie należy mu się z tém wydawać i że jeśli chce być wiernym jego kodeksowi, powinien być przy umierającej Anieli i okazać tym sposobem swoją dla niéj troskliwość. Oto jedyny powód jego powrotu. Ale szanując nadewszystko świat i opinią, nie może także pozwolić, by Janek spędzał z nią dni całe. Nie chodzi mu wcale o miłość żony, ale o pozory, których właśnie Aniela i Janek silni swoją niewinnością, bynajmniej szanować nie myślą. A przytém on nienawidzi tego dawnego przyjaciela, bo go więcej oszukać ani wyzskać nie może, bo on przejrzał go do głębi i wypowiedział jasno swoje pogardę jeszcze wówczas, gdy starli się poraz ostatni w chwili, gdy nie chciał odstąpić Anieli. Ludzie jemu podobni nie przebaczą nigdy tym, którzy ich zdemaskować umieją.

Teraz Janek przywiedziony do ostateczności cierpieniem ukochanej, uważa Franka za prostego zabójcę; pragnie jakim bądź kosztem uwolnić od jego tyranii policzone chwile życia Anieli.

W tych warunkach wywiązuje się pojedynek, z którego Janek wychodzi znowu z przestrzeloną ręką, a Franek z lekką kontuzją na czole; ale ponieważ omdlał na razie, Janek sądzi, że go zabił i patrząc na mniemanego trupa, dawnego przyjaciela, czuje żal jedynie, że tego wcześniej nie uczynił. Rzeczywiście pytanie to nasuwa się uparcie czytelnikowi. Wprawdzie w owéj pamiętnej chwili, kiedy Janek poznał się wreszcie na moralnej wartości Franka i rzucił mu w oczy to co o nim myślał, była także mowa o pojedynku; wówczas Franek z wyrafinowaném okrucieństwem odpowiedział, że bić się będzie dopiero po ślubie. Ależ istnieje zawsze sposób zmuszenia do pojedynku człowieka, który się rachuje z opinią. Czemuż Janek się do niego nie uciekł, czemu zamiast znieważyć Franka na cztery oczy w jego mieszkaniu, nie uczynił tego publicznie? Naówczas albo pojedynek byłby miał miejsce przed ślubem, albo téż bankier rachujący się z opinią świata, jak z każdą potęgą, nie byłby wydał Anieli za człowieka pozbawionego czci.

Dalszy ciąg powieści łatwy do zrozumienia: Aniela umiera, Janek przeżywa śmiertelną chorobę, spowodowaną więcej jeszcze wzruszenia-

mi, jakie przechodził, niż skutkami pojedynku. Ale od tój chwili życie traci dla niego wszelki urok. Obowiązek byłby go jeszcze trzymał na ziemi. Obowiązki jednak osobiste przestały na nim ciążyć z dniem śmierci matki i zamęciem siostr; w obowiązki społeczne wierzyć przestał, bo świat ten naraz wydał mu się jaskinią łotrostw, wielką parodią wszystkich szlacheckich uczuć, w które wierzył niegdyś kiedy kochał i był szczęśliwy. Wszakże świat ten wielbił jego antagonistę, sankcyonował wszelką podłość uświęconą powodzeniem, wynosił na szczyty Krudyńskiego i Franka, dwu zabójców Anieli.

Raz tylko ocknęła się w nim energia, kiedy dzięki sławie literackiej, jaką sobie zjednał, stronnictwo polityczne chciało go wybrać na posła i przeciwstawić jego kandydaturę, kandydaturze Franka. Jednak po świetnej mowie do wyborców, w której napiętnował hańbą swego antagonistę i wypowiedział głębią swęj zbolalęj myśli, gorączkowa działalność jego upada nagle i przegrana jest mu już rzeczą obojętną zupełnie.

Złamany niepowrotnie, zniechęcony do życia, uderzony tylko ciemną i złą stroną jego, Janek jeszcze czas jakiś opiera się pokusie samobójstwa, która go coraz silniej nagaba, opiera się jednak więcej przez apatyę, przez wstręt do jakiegobądź czynu, niż z jakiej racjonalnej przyczyny lub walki. Walka zamarła w nim na zawsze. Aż wreszcie wieszka się na różowym pasku, pamiętając po ukochanej.

Autor dodaje jeszcze epilog pełen głębokiej, życiowej ironii o dalszych losach Franka, który umarł w późnym wieku syt sławy i rozkoszy i na którego grób posypały się nekrologi, pełne szumnych frazesów, jakich świat nie szczędzi nigdy powodzeniu.

Nad trupem Janka odzywa się jeden z jego przyjaciół:

„Świat traci w nim prawdziwego człowieka.”

Otóż przeciwko temu orzeczeniu, które streszcza pogląd autora, zaprotestować musimy w imię samychże powieściowych faktów.

Janek posiada niezaprzeczenie znaczne, szlacheckie serce, charakter niezachwianej prawości i znakomitą umysłową zdolność, skoro książka jego bez protekcji i reklamy utorowała sobie drogę na świecie i zyskała autorowi tak wielką sławę, iż stawiono jego kandydaturę na godność poselską. Ale nawet te wszystkie razem zebrane przymioty nie stanowią jeszcze człowieka, albowiem pierwszym warunkiem człowieczeństwa jest zrozumienie warunków ludzkiej doli i przystosowanie się do niej.

Dziwna rzecz jednak; Janek jakkolwiek wychowany wśród twardych realnych warunków, wśród walki o byt nieustanny, nie nauczył się wcale tój sztuki życia, bez której człowiekiem być niepodobna. Janek chodzi wśród świata i ludzi, jak gdyby ich nigdy nie widział i dziwi się nieustannie najpowszedniejszym faktom, jak gdyby one nie leżały w naturze rzeczy. Dziwi się gdy go szwajcar nie puszcza odrazu do bankiera Krudyńskiego i żąda legitymacji; dziwi się, że zręczny Franek jego palcami wygrzebuje kasztany z ognia; dziwi się, że kiedy w zamian za to żąda od niego ofiary, odbiera odmowną odpowiedź; dzi-

wi się, gdy bankier okazuje się zupełnie obojętny na czułe zakłęcie jego i Anieli; dziwi się nawet temu, że Franek nie pozwala mu doglądać z czułą troskliwością swojej chorąj żony, jakkolwiek obadwaj wypowiedzieli sobie jasno, że są śmiertelnymi wrogami: słowem najprostsze fakta są dla niego niepojęte od początku do końca książki.

To samo już dowodzi, jak niezdołnym jest on podołać warunkom bytu, kiedy ich zrozumieć nie może i tłumaczy poniekąd, czemu w całym biegu akcji popełnia same niezręczności i błędy.

Jeszcze w szkołach, kiedy cierpi za Franka niesłuszną karę, cierpi ją z powodu, iż chcąc przyjść w pomoc napastowanemu przyjacielowi, podsuwa się tak niezręcznie, iż tenże przypadkiem podbija mu oko. Ten drobny fakt służyć może za godło jego całego dalszego postępowania; gdyż zawsze i wszędzie czyni on i mówi to wszystko, czego czynić i mówić nie należy.

Trudno prawdziwie było żądać, by pan Krudyński na pierwsze czułe westchnienie córki, wyrzekł się swoich planów świetnego zameżczenia i pobłogosławił jej związek z nauczycielem syna, bo takie nagłe postanowienia i zwroty mają jedynie miejsce w sentymentalnych komedjach.

Niebyło jednak wcale rzeczą niepodobną, by z biegiem czasu, gdyby Aniela nie zezwoliła na inne śluby, a Janek dobił się sławy i niezależnego przynajmniej stanowiska, małżeństwo to przyszło do skutku. Różnice społeczne istnieją i prawdopodobnie zawsze pod rozmaitemi formami istnieć będą, to ślepy nawet dostrzeże; ale różnice te wytrwałością zwyciężone być mogą: ludzie silnej woli łamią je, podnoszą się na wyższe stopnie w hierarchii społecznej, a talent i sława równoważą majątek. Są to także fakta znane i codziennie przykładami stwierdzane.

Aniela przecież i Janek, jak dzieci, nie pojmują zwłoki i upadają na duchu przed pierwszą przeciwnością, właśnie dlatego, że jej przewidzieć nie umieli, że wśród życia zachowywali się jak lunatycy. Dziecinność jednak nie jest wcale znamieniem wyższości.

Janek po nieszczęśliwej rozprawie z Frankiem, nie wiedziéć czemu przystaje na ten urągliwy warunek pojedynku *po ślubie*, a Aniela po krótkim oporze przystaje na małżeństwo uprojektowane przez ojca. Wprawdzie autor dodaje, że jest przymuszona, ale w dzisiejszych czasach przymus istnieje dla tych tylko, którzy mu się chcą poddać. Aniela łagodna i wrażliwa cierpiałaby zapewne, opierając się woli ojca, cierpienie to jednak niczém jest w porównaniu z cierpieniem, jakie sobie i Jankowi zadać musi, wyrzekając go się na zawsze.

Uległość Anieli dałaby się tylko wytłumaczyć jakimś przymusem moralnym; tymczasem groźba ojca, że Jankowi szkodzić będzie na każdej drodze, nie jest tutaj wcale dostatecznym motywem. Krudyński nie jest przecie wszechpotężnym, podobna groźba jest rzeczą zbyt nieokreśloną, ażeby można jej poświęcić przyszłe szczęście własne i kochanka. Aniela, biorąc ją w dosłowném znaczeniu, jest tak samo naiwną, jak Janek, kiedy przystaje na ów poślubny pojedynek.

Fakta te mają miejsce jedynie dlatego, ażeby stało się nieszczęście, ażeby Aniela miała powód do śmierci, a Janek do samobójstwa. Są może czułe czytelniczki, dla których powód ten jest dostatecznym; nie może on jednak wystarczyć tym, którzy biorą powieść na seryo i szukają w niej życiowej prawdy, a nie fantazyi autora.

Franek także w tej sprawie nie postępuje logicznie. Motywa popychające go do ożenienia się z Anielą, która mówi mu z góry, że go nienawidzi, że nim pogardza, nie są dość silne. Ożenić się z kobietą, która kocha innego, a małżonkiem pogardza, jestto rola bardzo nieprzyjemna. Człowiek popełnia podobne małżeństwo tylko wtedy, kiedy jest do tego zmuszony, ślepą namiętnością, koniecznością, lub demonicznym pragnieniem złego. Franek nie znajduje się w żadnym z tych wypadków. Nie kocha on Anieli, posag jej nie stanowi dla niego wcale kwestyi bytu. Aniela nie jest jedyną posażną panną, którą może poślubić: jest poprostu jedną z wielu. A jakkolwiek przewrotny, jestto najpospolitszy w świecie człowiek, demoniczności w sobie niema, ani też na nią nie choruje; przeciwnie, jest zbyt zręczny, by pozwalał sobie na wybryki złości, które tak samo, jak wybryki dobroci nie powinny wchodzić w grę człowieka, chcącego wyzyskać wszystkie szanse życia. Postępek więc ten Franka jest równie głupi, jak zły i możemy śmiało przypuścić, że także spełnia go dlatego tylko, ażeby stało się nieszczęście, ażeby Aniela umarła, a Janek się powiesił i ażeby przed śmiercią miał pole do wszystkich sentymentalno-rozpaczliwych refleksyi, jakie przed nim uczynili już Werther i Jakób Ortis, tylko uczynili w skutek ważniejszych pobudek i świetniej nierównie, a nadewszystko uczynili niemal przed upływem całego wieku.

Tak jest, Janek jest w widoczném pokrewieństwie z temi ponurymi duchami, które rzuciły cień swojej żałoby na początek tego stulecia, pulsują w nim tętna wielkich, zrozpaczonych, z tą przecież różnicą, że tak Göthe, jak Ugo Foscolo chcieli przedstawić charaktery melancholiczne, dotknięte nieuleczoną chorobą Weltschmerzu, gdy przeciwnie, p. Lubowski daje, a przynajmniej stara się dać obraz pięknej i prawidłowej natury, którą łamie życie powszednie.

Tutaj jednak nasuwa się pytanie, czy życie to i świat po macoszemu obeszły się z Jankiem? Na pytanie to według dokumentów zawartych w powieści musimy odpowiedzieć zaprzeczeniem. Janek nie miał prawa, ani powodu się uskarżać, los dał mu wiele bardzo, dał mu wszystko prawie prócz majątku.

Miał on bystrą inteligencją, talent, dowcip i wykształcenie, miał powierzchowność szczęśliwą, dar jednania sobie ludzi, nadewszystko zaś serdeczne ciepło domowego ogniska, matkę i siostry kochające i zupełnie oddane sobie, wierne, niezmiennie kobiece serce. Wszakże poeta wołał, że to jedno ostatnie starczy mu na szczęście życia, da mu siłę walki, rozkosz zwycięstwa, wytrwałość i męstwo.

Na okoliczności także Janek skarżyć się nie mógł; zaledwie wyszedłszy z uniwersytetu, dostał świetne pod względem materyalnym

miejsce u Krudyńskiego, a dalej kiedy wydał swoje pierwsze dzieło, odrazu zdobył sobie taką sławę, na jaką ludzie przez długie lata pracować muszą. Słowem, Janek dostał bardzo wiele od natury i losu, a jeśli zniechęcony zakończył samobójstwem, przyznać trzeba, że dary losu sam zmarnował. Oto jak się przedstawia jego historia nie wedle słów autora, ale wedle faktów.

Czy będziemy mu to mieli za złe, czy potępimy go z tego powodu? Nie: ludzie różni bywają pod słońcem, a słabych daleko jest więcej, niż silnych i los ich jest bardzo gorzki.

Tylko chcielibyśmy sprostować zdanie wyrzeczone nad trupem Janka, że świat traci w nim prawdziwego człowieka. Przeciwnie; twierdzić należało, że historia jego jestto poprostu historia niedołęgi. Nie będzie ona przez to ani mniej dramatyczną, ani mniej prawdziwą, tylko zamiast biografii prawdziwego człowieka, przedstawia biografią jednego z wielu, jednego z najciężej wydziedziczonych na tym świecie, wydziedziczonych z woli i siły do życiowej walki, a zatem skazanych z góry pomimo najświetniejszych przymiotów na zmarnowanie.

Podobnego człowieka i jego smutne koleje opisał Gustaw Droz w bohaterze powieści *Babolain*. Babolain jednak był zupełnie ograniczony, Janek wprawdzie według zdania autora ograniczonym nie jest, ale ponieważ postępuje jakby nim był, wychodzi to zupełnie na jedno, z tą różnicą, że Babolain cierpi, nie pojmując z kąd spadają na niego ciosy, a Janek zdaje sobie z nich sprawę.

Ogólnie zarzucają powieści p. Lubowskiego spóźniony romantyzm, a nadewszystko tę śmierć na różowym pasku kochanki, która nie pasuje do dzisiejszych powieściowych obyczajów. Można im odpowiedzieć, że miłość jest ową starą historią, która wedle słów Heinego, wiekuiście nową pozostaje; że dopóki świat będzie istniał, miłość będzie zawsze jednym z głównych powodów samobójstwa, a fakta współczesne, na które często własnymi oczami patrzymy, lub które szczegółowo opisują dzienniki, stwierdzają to mnóstwem przykładów.

Szczęśliwi tego świata ci, którzy ślizgają się po powierzchni fał życiowych, nie sięgając głębi, co nie są zmuszeni koniecznością walczyć ze sprzecznymi prądami, znajdują może, iż historia a nadewszystko refleksye Janka tracą komunałem, że podobne uwagi o stanie społeczeństwa, o przemocy brutalnych okoliczności nad sercowemi i myślowemi pierwiastkami, słyszeli już tysiackroć razy powtórzone. Ale tym także odpowiedzieć można, że jestto znowu rzecz stara a wiekuiście nowa, dla tych co ją odcierpieć muszą. Historia Janka jestto poprostu biografia istoty niestworzonej do walki o byt, i którą ta walka strawiła, a więc przedstawia najboleśniejszy w świecie dramat dysharmonii pomiędzy uzdolnieniem człowieka a jego losem, i to stanowi wartość powieści. Wadą jej znowu, wadą główną jest to, że sam autor przeceenia widocznie charakter swego bohatera i sądzi go równie wielkim jak nieszczęśliwym. Że czytelnik tego zdania podzielać nie może, tego staraliśmy się dowieść szczegółowym rozbiorem książki, której pomimo

tego kardynalnego rozdzwiku pomiędzy założeniem a wykonaniem, pomiędzy zamierzonym a otrzymanym efektem, lekko zbyć niepodobna.

Tego rodzaju zarzutu niepodobna uczynić pracom p. Sienkiewicza, rozrzuconym niegdyś po odcinkach gazet, a które dzisiaj wyszły w osobnym tomie. P. Sienkiewicz jest skończonym artystą, umie obliczać się ze środkami, zastosować je do przedmiotu, i wydaje zawsze dzieła tak wykończone, iż nie możnaby im słowa dodać, ani słowa ująć bez szkody. Wié on zawsze doskonale czego chce, do czego dąży, i idzie do swego celu niezachwianie, bez zboczeń, bez omówień: rozważa artystyczna jest u niego zawsze w parze z twórczą siłą. *Stary sluga, Hania, Szkice węglem, Janko muzykant*, są to dzieła różnej może doniosłości, ale tak świetnie przeprowadzone, wykończone tak artystycznie, iż każde w swoim rodzaju jest równie doskonałe, czy autor opowiada historią młodych lat, młodych wpół dziecinnych wrażeń i uniesień, czy kreśli z całą potęgą realizmu optakane a proste dzieje wieśniaczkiej pary, czy wreszcie historią rozmarzonego duchem melodyi dziecka, które ginie męczeńską śmiercią, niezrozumiałą ani dla niego samego, ani dla tych co stali się jój sprawcami.

P. Sienkiewicz umie z dziwną trafnością zastosować środki do przedmiotu jaki opracowuje i ożywić technieniem talentu najdrobniejsze szczegóły powszedniego życia. Temat z pozoru najbardziej wyczerpany, opisywany tysiąc razy, pod jego piórem nabiera świeżości, staje się zupełnie nowym, zajmuje, jak rzecz nieznaną. W literaturze naszej szczególniej nie brak typu starego slugi, wiarusa, przywiązanego jak wyżeł do swoich państwa, co kocha ich dzieci jak własne, a więcej niż własne bierze do serca ich kłopoty i radości. A jednak z tego tak wyzyskanego typu wysnuwa się śliczny obrazek, i stary Mikołaj staje przed czytelnikiem jakby żywy, czyto kiedy z nosem zaczerwienionym od zimna brnie przez śnieg z kuchni, niosąc dymiące garnuszki śmietanki do kawy, i tłucze je z pośpiechu widząc zajeżdżającego ze szkół na święta ukochanego panicza, czyto kiedy rozgniewany, że córka jego dawnego pułkownika zostaje żoną wiejskiego doktora, nazywa ją niezmiennie panienką; czy wreszcie gdy konając, jedyną wnuczkę swoją Hanię oddaje w opiekę rodziny pańskiej, do której przyszył sercem.

Głębokie wpatwienie się w naturę, oto co nadaje indywidualizm postaciom powieściowym; różnica pomiędzy osobnikami należącymi do jednego typu, zasadza się na drobnych, a różnolitych rysach, które talent pochwyć i odtworzyć umie.

Historja téj Hani to także najzwyczajniejsza historia młodej dziewczyny, w której kocha się dwu studentów. Cóż może być pospolitszego na świecie? A jednak znowu z tego pospolitego tematu p. Sienkiewicz wysnuł cudną wiośnianą sielankę, która mieć będzie wartość dopóki serca młode uderzać będą uczuciem, dopóki w zaraniu ży-

cia płonąć będzie miłość, przyjaźń, wiara, i kipieć będzie warem krew gorąca.

Niech słabe siły, niech niedołążne umysły i cieplarniane zdolności wyszukują pracowicie ekscentrycznych charakterów i zawikłanych intryg: prawdziwy talent tego nie potrzebuje. Chwyta śmiało szarą nić codzienności i wysnuwa z niej obrazy zahaftowane czystém złotem prawdy i téj poezyi, która drga ukryta w całym wszechświecie, w lotusowych kwiatach fantazyi jak w skromnych trawach ścielących się pod stopy; bo talent jestto owe zakłète słowo dawnych czarodziejów, które otwierało im wzrok na skarby, ukryte w łonie ziemi, w pyłe dróg wielkich lub w głębiach wód. Wszystko jest piękne, wszystko jest zajmujące, wszystko zawiera ciekawe problemata psychiczne, albotéż nic takiém nie jest. Rozpacz dziecka, któremu zburzą pracowicie z kart wznoszoną budowlę, w danéj chwili nie jest mniejszą od rozpacz człowieka, gdy zamiary jego spełzną na niczém. A rozpacz bohatera *Hani* Henryka, kiedy słyszy w altanie szmer słów miłosnych i pocałunków pomiędzy ukochaną a Selimem, równa się pewnie cierpieniem wszystkich sławnych bohaterów powieści, którzy byli kiedy w podobném położeniu.

Dziecinny romans, rozgrywający się pomiędzy tym trojgiem dochodzi téż wkrótce do tragicznych rozmiarów, jakkolwiek może w późniejszym wieku mogliby śmiać się z tych przedczesnych zapałów. Fakt ten jest przeprowadzony tak naturalnie, iż nikogo dziwić nie może. Wartość téj prześlicznej powieści polega na doskonałych psychologicznych studyach, na prawdzie uczuć i charakterów, na sile wrażeń i na téj plastyce przedstawienia, która sprawia, że Henryk, Hania, Selim, jego ojciec, a nawet podrzędne osoby, jak ksiądz Ludwik, pani d'Yves, i Kazio, stają się dla nas dobrymi znajomymi. Podzielamy ciche życie wiejskiego dworu, a później, gdy pojedynek i choroba je zakłóca, podzielamy trwogę, jaka w nim panuje: drżymy o to, że przedczesne szaleństwo tych serc młodych może się tak tragicznie zakończyć.

Stokroć mniej sielankowym, mniej spokojnym obrazem są *Szkice węglem*. Dzieło to dojrzałego wieku, a jeśli nie przenosi *Hani* talentem i obrobieniem, przenosi ją o wiele doniosłością. Jestto cały bolesny dramat, dotykający ważnych społecznych zagadnień, oparty z jednej strony na niewiadomości i ciemnocie, z drugiej na jéj wyszukiwaniu. Gdyby jednak rzecz rozgrywała się tylko pomiędzy temi dwoma czynnikami, byłby to najzwyczajniejszy fakt życia, którego koleje toczą się zwykle pomiędzy wyszukującymi i wyzyskanymi; tutaj dramat ten komplikuje się świadkami, bo ci gdyby chcieli tylko, jedném słowem potrafiliby wyratować ofiary z toni nieszczęścia: oni przecież nie wyrzekają tego marnego słowa. Czy przez złą wolę? przez sprzymierzenie się z wyszukującą stroną? Bynajmniej: lekceważenie, obojętność na złe jakie się dzieje przecież w promieniu ich wzroku: oto jedyne czynniki powodujące ich działanie, a raczej wstrzymujące ich działanie.

I to właśnie czyni tę prostą powieść tak prawdziwą a tak rozdzierającą.

Przecież autor nie przedstawia wyjątkowo złych lub samolubnych ludzi; przeciwnie, wszyscy oni są na swoim miejscu, postępują wedle swego poziomu, wykształcenia i moralności, właściwiej temu poziomowi, wykształceniu i położeniu.

Wójt gminy, chłop przebiegły i chciwy, pisarz gminny doskonale uchwycony, z całą sumą śmieszności i wad, które zbrodniami nazwać by można, gdyby ten człowiek miał jasne pojęcie swoich czynów; pisarz równie przebiegły i niesumienny jak wójt, a mający na posługę swoją środki, jakie wyższy stopień cywilizacji dał mu w rękę; dalej arendarz będący z nimi w zмовie: wszyscy sprzysięgają się na młodego zagrodnika Wawrzona Rzepę, którego piękna i młoda żona miała nieszczęście podobać się panu pisarzowi.

Ale ona kocha męża i dziecię, na pisarza patrzeć nie chce, więc pisarz układa intrygę: po pijanemu wyłudza podpis Rzepy pod pozorem prośby o las, który ma się dostać gromadzie, a w rzeczywistości na układzie, mocą którego Rzepa obowiązuje się losować za syna wójta i za niego wojskowe lata odsłużyć.

Oczywiście, podobny układ w ten sposób spisany, nie był wcale obowiązującym, ale zkądże chłop miał o tém wiedzieć? Rozpoczyna się więc smutek straszny w chacie Rzepów, smutek i wzajemna obraza, jak to często bywa pomiędzy ludźmi gdy ich cierpienie podrażni. Mąż z rozpaczą pije coraz częściej, żona zaczyna myśleć o tém by wyplatać go z téj biedy.

Udaje się więc po radę do księdza, do dziedzica i do urzędu. P. Sienkiewicz nie popełnił powszedniej wady autorów, chcących wywołać silne wrażenie, nie otoczył bohaterki swojej Rzepowej samemi wrogami lub nieprzychylnemi ludźmi. Jest on na to zbyt wielkim artystą. Tragiczność jęj losu uwidocznia się tém lepiej, kiedy w pośród ludzi zwyczajnych, prędej nawet dobrych aniżeli złych, nikt nie podaje jęj pomocnej dłoni.

Ksiądz Czyżyk jest wzorowym kapłanem; dowiedziawszy się, że zapłakana kobięta chce się z nim widzięć, wstaje od obiadu i śpieszy do nięj. Ale cóż, ksiądz ma dla nięj duchowne pociechy, opowiada jęj łagodnie historię Hioba, który więcję cierpiał od nięj i jęj męża, upomina by Bogu ofiarowała swoje zgryzoty i uważała je jako karę za ciężki grzech pijaństwa, jakiego się Rzepa dopuścił, ale ludzkiej, prostęj rady dla nięj nie znajduje.

Wówczas Rzepowa udaje się do dworu.

Dziedzic ten to także człowiek dobry, a dwór wiejski stanowi jeden z tych mistrzowskich obrazków, które wychodzą z taką prawdą z pod pióra p. Sienkiewicza. Jest tam nadewszystko znakomita para, panna Jadwiga i jęj młody kuzynek akademik; oboje romansują trochę, mówią o poezji, cytują tkliwe wiersze Elogo, przekomarzają się, sprzecają o wartość poetyczną tego lub innego autora, ale przez głowę im

nie przejdzie wejść w położenie kobiety, która czeka na ojca panny Jadwigi, ażeby mu swój interes przełożyć. Ojciec zaś jęj ma gości i pije z nimi spokojnie na ganku herbatę, jak się to zwykle dzieje w niedzielę, w lecie, w wiejskim dworze.

Jestto przecież dzień i godzina odpoczynku, każdy ma swoje prace i kłopoty, i nie lubi, by mu przerywano kiedy się bawi.

Rzepowa więc czeka cierpliwie aż się goście rozjadą: z wielkiego frasunku nic jeść nie mogła w południe, teraz z daleka dochodzi ją woń potraw i brzęk talerzy, a głód jęj się przypomina. Ale nikt o tém nie wie, nikt o tém nie pomyśli, i ostatecznie pomyśleć nie jest w obowiązku. Rzepowa przecież biedną nie jest.

W końcu rozjeżdżają się goście, a ona zbliża się do dziedzica. Ale cóż kiedy dziedzic zrażony głupstwem, niesumiennością i złą wiarą włościan, dał sobie słowo, że się w sprawy gminne mieszać nie będzie; i bardzo rad z tego postanowienia, które go od tysiąca kłopotów uwalnia, naturalnie dla Rzepowej słowa swego łamać nie będzie. Rozmawia on z nią bardzo po przyjacielsku, jakkolwiek było już późno i spać mu się chciało; tłómaczy jęj, że w podobnych sprawach on przeciw rozrządzać się nie może, że to należy do władz powiatowych i do tych władz odsyła Rzepową.

Zawiedziona przez swoich naturalnych opiekunów, nieszczęśliwa kobiéta idzie do powiatu. Ale tutaj zaczyna się dla nięj świat obcy i nieznaný. Jest tu ona po raz pierwszy w życiu. Pełna rozpaczý i przerażenia, błąka się z dzieckiem na ręku po urzędowym gmachu; każdy się śpieszy, nikt na nią nie uważa, odsyłają ją szorstko od drzwi do drzwi, nie racząc dać informacji: bo pocóżto baby z dziećmi włóczą się po biurach.

Po długiém błądzieniu, onieśmielona, zestrachana, gdy wreszcie staje przed naczelnikiem powiatu, nie umie zebrać myśli i porządnie a treściwie opowiedzieć o co rzecz idzie. Naczelnik przecież zapytuje ją łagodnie; ale on śpieszy się także, bo właśnie z powodu zbliżającego się poboru i on i wszyscy w biurze byli bardzo zajęci. Czeka więc chwilkę, a gdy kobiéta nie jest w stanie przyjść do słowa, ani wytłómaczyć się porządnie, wnosi że jest pijana; każe jęj przyjść jak wytrzeźwieje i idzie dalej, biadając nad nałogiem w tak młodym wieku.

Chociaż kropli wódki nie wypiła, Rzepowa rzeczywiście wychodzi z biura prawie nieprzytomna; zawiodła ją ostatnia nadzieja i to zawiodła z jęj własnej winy. Poczucie to przygniata nieszczęśliwą kobiétę. Gorączkowa jęj energia wyczerpuje się: powraca do chaty wśród strasznej burzy; pijak ją napastuje i rzuca na nią kamieniem, zwyczajnie jak ten który nie wie co robi. W domu zaś spotykają ją wymówki męza: Rzepa wścieka się, pije i szuka tylko przyczepki do ludzi, bo go dusi zgryzota, a czasem tylko spojrzy na żonę i przypadnie jęj do nóg i ryknie płaczem wielkim. Ale zgoda nie trwa długo, bo im obojgu jak kamień leży na sercu straszna groźba rozłąki.

Autor nie zastanawia się długo nad uczuciami bohaterów, boć i oni nie należą do tych wykształconych, co zdają sobie sprawę z najmniejszego zawiązku myśli, z wrażeń i ich pobudek. Proste jednak uczucia bywają niepohamowane; tragiczna zgroza unosi się nad chatą Rzepów, bo namiętność i rozpacz, podżegane rozpalającym trunkiem, nie przebijają w środkach: a widocznie w głowie Rzepy roją się straszne myśli.

Aż wreszcie strach ażeby mąż nie został żołnierzem, rzuca niešťęśliwą kobietę na pastwę pisarza gminnego; oddaje się sama za okup tego kontraktu, którym zobowiązał się zastąpić wójtowego syna, a mąż zabija ją w przystępie czarnej rozpaczy.

W ten sposób dramat cały kończy się potworną zbrodnią; a jednak zbrodniarza winić o nią w zupełności nie można. Wina tutaj spada całym brzemieniem na tych, co jednym dobrém słowem, jednym wyciągnięciem bratniej ręki, mogli go wydzwignąć z toni rozpaczy, a nie uczynili tego.

Gdyby książdż lub dziedzic, jako ludzie wykształceni, weszli w położenie kobiety zasięgującej ich rady; gdyby który zadał sobie pracę pojechać z nią do powiatu, ułatwił i wyłómaczył jęj położenie, kosztem małej ofiary uczyniłby wiele dobrego.

Ogólnie twierdzono zaraz po ukazaniu się *Szkiców węglem*, kilka lat temu w odcinku jednéj z gazet, że autor tendencyjnie przedstawiał w złém świetle wyższe warstwy społeczne, i że z tego powodu widnieje w téj powieści nieznanomość stosunków wiejskich. Przeciwno zdaniu temu protestować musimy w imię sprawiedliwości. Przeciwnie, uważamy, że p. Sienkiewicz doskonale wystudjował świat jaki opisuje i trafił w samo jądro zła które go pożera, pokazując z jednéj strony zgubne skutki ciemnoty, z drugiéj obojętności.

Być może, że w wielu miejscach inteligencya ujęłaby się za pokrzywdzonym, temu z pewnością sam autor nie zaprzeczy; ale nikt nie zaprzeczy także, iż w wielu miejscach podobne fakta nie tylko mogą mieć ale mają miejsce.

W wielu razach właściciele nie mieszkają w majątkach swoich, a w wielu innych rzeczywiście odsuwają się od wszelkiej solidarności z tym ludem, który dał im dowody nieufności, umywają ręce od spraw gminnych i pozwalają tém samém na tysiączne nadużycia.

Na stosunek ten wzajemny wpłynęło zapewne wiele okoliczności, które beźpotrzebnie byłoby wyliczać, bo są aż nadto powszechnie znane; mogą one zapewne przynajmniej po części służyć za wymówkę dla tych, co odsunęli się od obywatelskiego obowiązku zajęcia się sprawami miejscowemi. Ale czy powody te są lub nie są słusznemi, to nie zmienia faktu, ani jego następstw. Książdż Czyżyk nie był temu winien, że nie wychodził poza zakres rzeczy duchownych, a jeżeli kto przyszedł do niego po radę, dawał radę i pociechę pobożną. Dziedzic także za to nie odpowiadał, co działo się w gminie; wszakże to właściwie do niego nie należało: miał dość własnych kłopotów i interesów.

Zapewne gdyby jeden i drugi przewidywał straszne następstwo, byłby wziął więcej do serca prośbę Rzepowój, ale zkadże oni mogli to przewidzieć?

Tutaj właśnie leży powód nieszczęścia. Tu leży wina tych, którzy mając więcej światła i rozumu, powinni by chociażby w imię dobrze zrozumianego własnego interesu, wejść w potrzeby i uczucia tego świata maluczkich, będącego tak blisko nich.

A jednak, jak słusznie zauważył pan Sienkiewicz, przepaść odzierała dwór od chat, a para młodych ludzi: strojna panna Jadwiga i pan Wiktor, chociaż na spacer szli przez wieś, nie mieli nic wspólnego z tym niskim, poziomym, parcianym światem mieszkańców chat. Szukali oni poezji po gwiazdach i książkach, nie przyszło im na myśl nawet, żeby ona mogła istnieć w piersi tych prostych, otaczających ich ludzi.

Zestawienie tych dwu odrębnych światów jest mistrzowskie, i wskazuje na jedną z ran naszego społeczeństwa, na ranę tём głębszą, że uchodzi powszechniej uwagi.

Prasa peryodyczna, teatr, powieściopisarze i moralisci, wykazują bardzo wiele wad naszych: wyśmiewają francuzczyznę, życie nad stan, manię podróży i rozmaite przesady; ale dotąd rzadko bardzo występowały przeciw temu życiu wśród abstrakcyi, które zamyka nam oczy na otaczające warunki i czyni obcemi we własnym społeczeństwie. Ileż istot zmuszonych żyć na wsi, nudzi się, narzeka, a nie umie znaleźć sobie tak blizkiego, tak pożytecznego pola działalności, jakim jest świat maluczkich i nieświadomych.

Jeśli tę obojętność na cudze cierpienia i krzywdy uogólnimy więcej jeszcze, jeśli z tego punktu rozpatrywać będziemy stosunki na szerszej widowni świata, przekonamy się, że jestto może jeden z najszkodliwszych i najbardziej powszechnych czynników. Ludzie są rzadko bardzo złymi zupełnie, ale cóż ztąd, kiedy najczęściej obojętność do brych zostawia złym wolne pole działania.

W tём miniaturowym społeczeństwie, przedstawionem przez pana Sienkiewicza, właściwie złym jest jeden Zołzikiewicz, który także zapewne nie przeczuwa strasznych skutków swego podstępu.

Prawdziwie, do całego światka, wśród którego rozgrywa się krwawy dramat śmierci Rzepowój, możnaby zastosować ten wiersz z bajki Krasickiego:

Dla was to jest igraszka, nam idzie o życie!

Tą myślą tchną nietylko *Szkice węglem*, ale także maleńki a prześliczny obrazek, p. t.: *Janko muzykant*. Krótkie to, ale rozdzielające dzieje biednego dziecka, opętanego łącie od dajmona dźwięku.

Chudy, błądy, wąty i nierozgarnięty Janek, na jedno tylko miał zmysł i poczucie — na muzykę. Dla niego grał wicher w gałęziach drzew i w gąszczach boru, grała woda w strumieniu i owady na wiosnę wzbijające się w złociste od słońca powietrze; grały wszystkie głosy

natury, odzywające się wśród Bożego świata. I zamiast wykonywać porządnie jaką pożyteczną pracę, wечно stawał wśród niej zasłuchany w jakieś dźwięki dla niego tylko wyraźne.

Nic podobno gorszego na świecie, jak talent źle umieszczony; otóż ten dar podchwytywania dźwięków, które w inném położeniu społeczném byłoby może chlubą, sławą i majątkiem dla Janka, okazywał się fatalnym darem. Bił go ekonom, gdy zamiast roboty, słuchał tajemniczego grania powietrza; bili go ludzie, gdy w lesie, zamiast pilnować bydła, zajmował się szeptem liści i swarem gałęzi: biła go i matka za to samo. Ale wszystko było daremne: chłopak się nie poprawiał, był co się zowie do niczego i tylko w głowie było mu granie i granie.

Na wiosnę kręcił sobie ligawki z wierzbiny, a marzeniem życia jego (boć każdy ma swoje marzenia!) było mieć w rękę skrzypki i na nich wygrywać, jak słyszał że nieraz wygrywali w karczmie w niedzielę.

We dworze były takie skrzypki, a posiadał je lokaj i miał czas na nich grywać dowoli, bo państwo byli zagranicą. Te skrzypki nęciły Janka jak istna pokusa, żeby choć raz je mieć w rękę i spróbować wygrać to co słyszał wokoło. Te skrzypce stały się powodem jego zguby, bo raz zakradł się do kredensu wśród nocy.... i cóż? wzięto Janka za złodzieja, stawiono na sąd do wójta, a wójt niechcąc mu robić wielkiej krzywdy, machnął ręką i kazał stojące Stachowi, żeby mu dał pamiątkę; a na trzeci dzień po téj pamiątce chłopak skonał.

Stach miał ciężką rękę, dziecko było wątłe i słabe: oto wszystko. A przez ten czas kiedy się to działo w wiosce, pan i pani byli we Włoszech i zachwycali się tym szczęśliwym krajem, gdzie można tak łatwo spotkać się z wielkim talentem i zaprotegować go.

Te kilka słów ostatnich spokrewnia *Janka* ze *Szkicami węglem*, snadź jeden i drugi obraz natchniony był jedném uczuciem; a złożonywszy książkę, przychodzi na myśl przypowieść o tych, co mają oczy a nie widzą, uszy a nie słyszą, bo nie chcą patrzeć na to co się wokoło nich dzieje, ani słyszeć tego co ich otacza. Jestto jedno z największych kalectw naszej inteligencji.

Pomimo to, nie można nazwać powieści p. Sienkiewicza tendencyjnemi. On opisuje fakta, fakta nie naciągane wcale, a jeśli fakta te nasuwają myśli, to jestto znamieniem wspólném wszystkich faktów życiowych, dobrze obserwowanych.

(Dokończenie nastąpi).

KALEWALA.

EPOS NARODOWE FINNÓW *).

PRZEZ

Feliksa Jezierskiego.

Przechodzimy do najjaskrawszej postaci—do trzeciego bohatera: Kullerwo. Geniuszowi Runoi widocznie tu rozszerzają się skrzydła; gdyby nie jakieś, prawie przypadkowe ogniwo, którym przygody Kullerwa stykają się z losami Ilmarynena i jego małżonki, możnaby następującą sześć run o Kullerwie uważać za obraz oddzielony ramami od całości.

Kullerwo, może najwięcej z czterech przodowych osób nadaje się do nastroju naszego poety. Jestto charakter najdalej odsunięty od owego świata, który, podług znanego podziału Wikona (*la Scienza Nuova*) przypadałby na *wiek boski*. Kolosalność, jeszcze głęboko mityczna, w jakiej się przedstawiał Wajnamojnen, wymiary nadprzyrodzone, znikają przed nami na widok Kullerwa, a natomiast mamy olbrzyma na miarę ludzką.

Synowiec Untama Kullerwo, jako mąż, już nie boskiego, lecz heroicznego okresu, może niema równoważnego sobie nigdzie w eposie pierwotnym. W dramacie greckim, w *Nibelungach*; a bliżej nas sięgając: w *Miltonie* spotykamy jakoby odrębne członki tego typu: nieszczęścia, zbrodni i rozpaczy, choć może w wyższej potędze. Tło powieści jest następujące (jego początek powtarzamy dosłownie):

„Matka zagania swoje kurczęta, zagania stado swych łabędzi; kurczęta spędza pod parkan, a łabędzie na rzekę. Przylatuje orzeł i płoszy je; przylatuje jastrząb i rozpędza; przylatuje sokół i porywa je. Tego niesie do Karyoli, tego uprowadza na ziemię Rusów, trzeciego zostawia w ojczyźnie.”

To znaczy, że była sobie gromadka synów, którzy rozeszli się po świecie. Ten co został w ojczyźnie, imieniem Untamojnen, chował się na nieszczęście ojca, na boleści serca matki... Untamojnen podnosi rękę przeciw bratu swojemu, sprowadza na niego bojowników i zabija brata wraz z jego obrońcami. Z całego domu brata pozostała tylko żona zabitego—wyrzucona z siedziby męża, zostaje niewolnicą w domu szwagra: zamiata izby i sklepiska... Po kilku tygodniach niewoli, rodzi ona pogrobowca. Był to Kullerwo, który już w kolebce poprzysiągł zemścić się na stryju za śmierć ojca. Nie uszły oka bratobójcy zło-

*) Dokończenie—patrz zeszyt za styczeń r. b,

wieszczę spojrzenia dziecka. Co może, to obmyśla on na zabicie ducha w tej sierocie. To go każe w beczce rzucić na morze i topić, ale sierota, zamiast utonąć, zarzuca wędkę na ryby. To go przeznacza na piastuna dzieci swoich, to na stróża trzód swoich. Wszystko nadaremnie. Wreszcie sprzedaje go, jako niewolnika Ilmarynenowi. „Sługa kupiony za złoto, odzywa się dumna, już podstarzała gospodyni, na co on mi się przyda?... Ha, niech mi pilnuje stada.” Wypycha go więc w pole ze stadem, upiekłszy mu na strawę wielki kęs chleba z mąki u dołu owsianej, u wierzchu pszennej, a w ośrodku był... kamień. „Słuchaj, Kullerwo (tak gospodyni nakazuje mu na drogę) ten chleb zjesz mi nie pierwój, aż stado zajdzie do lasu.”

Nieszczęśliwa! dlaczego to uczyniła? dlaczego śpiącego w tej, już skrzywionej duszy złego ducha (hiizi) rozdrażniła szyderstwem? Był to bezwątpienia jeszcze jeden wybuch plemiennój nienawiści, ostatnie żądło laponki, co to wypuszczone i życie za sobą wyciąga. Wysyłając nieszczęsnego sierotę z kęsem chleba kamiennego, laponka nie zapomniała jednak o modlitwie. Prześliczny to ustęp.

Kullerwo wychodzi na dalekie pastwisko, słońce go pali, znój dręczy, głód i pragnienie. Ogryza korę z sosen i jodek, szczypie trawę, zdziebełka zbiera i żuje, sok wysysa ze skóry drzew. Aż nakoniec dostał się do lasu. Wydobywa nóż, kraje chleb; rozkroić nie może; nóż łamie się na kamiennym ośrodku: nóż, ostatnia pamiątka po jego plemienu! Zrozumiał Kullerwo, że godzina jego nadeszła, godzina pierwszój zemsty. Wpędza więc bydło na bagno, a zamiast niego, zaczarowywa niedźwiedzie i wilki i wieczorem zagania do domu. Gospodyni przychodzi wieczorem do obory dla wydojenia krów—a Kullerwo niecierpliwie wyglądał tej chwili, jak gospodyni wyglądała chwili dojenia. Biedna złośnica! a tak się cieszyła, słysząc jeszcze z daleka dźwięk różka, na którym mściwy pastuch przygrywał trzodzie i wydziwić się nie może, z kąd nienawistny chłopiec dostać mógł róg wołowy? Wchodzi więc pomiędzy bydło—a już było po zachodzie: pociąga za wymię raz, drugi i trzeci: wilki i niedźwiedzie rzucają się na nią i szarpać zaczynają.

„Ach! Kullerwo, pasterzu niepocziwy, nagnałeś mi stado wilków i niedźwiedzi.” „Ach! niepocziwa gospodyni, odpowiada mściwiec, pastucha nakarmiłaś chlebem kamiennym, o który złamał się nóż, ostatnia pamiątka po mojem plemienu.” „Pastuszk, luby pastuszk, ucisz gniew, odwołaj słowa czaru, wybaw mię od paszczy wilka, od łap niedźwiedzia. Ja ci nową koszulę podaruję, masła dam i chleba pszennego; mlekiem napoję, na jeden rok zwolnię od pracy, drugi rok sama karmić będę. Jeżeli nie odczynisz czaru, to się nabawię śmierci, w ziemię się obrócę.” „Umrzesz? to umieraj copredziej. Dla umarłych tam, pod ziemią jest miejsce u Kalmy.” Żona Ilmarynena, szarpana przez wilki i niedźwiedzie, skonała (XXXIII).

Kullerwo tymczasem puszcza się do lasu na tułactwo, osłodzone na chwilę urokiem świeżo dokonanej pierwszój zemsty: a czeka jeszcze

inna w przyszłości. Mrocząło zwolna, wreszcie zupełny mrok zapada. Tułacz kładzie się pod drzewem i rozmyśla nad swoją niedolą.

I już zrywał się w podróż na odszukanie domu Untama, dla spalenia go i zglądzenia tam wszystkiego. Wtém zatrzymuje go starszka, obiecuje doprowadzić do rodziców i oznajmia, że rodzice, brat i siostra jeszcze żyją. Odszukawszy dom rodziców, Kullerwo dowiadyuje się od matki, że starsza siostra wybrawszy się kiedyś na jagody do boru, zginęła. Z początku zdawało się, że tułacz odżyje, uspokoi się. Inaczej się stało. Robota szła mu oporem, przestwór daleki wabił go w swoje objęcia, spokojność zmęczyła. Ojciec tedy wyprawia go na odbieranie podatków.

Runa XXXV opisuje przygody podróży. Nie obeszło się tam i bez przygody mitosnej. Na dalekich błoniach lodowatych, na samym spadku pobrzeża morskiego, około sanek Kullerwa przechodzi dziewczątko; w piękném obuwiu brnie po śniegu, po tych zamartwych błoniach, po których przed wieki przeszedł Wajnamojnen.

„Najpiękniejsza, woła Kullerwo, wstąp do moich sani, spocznij na rozesłaném futrze.” Odbiegło dziewczę rozdasane, krzyząc: „niech tam śmierć wstąpi do twoich sani: choroba na twoje futro.” Kullerwo, syn Kullerwa, zaciął konia różgą, zaciął biczem o trzonku perłowym: szybko pędzą konie po białej drodze, szumią łyżwy pod saniami. Co spotka dziewczę, to powtarza swoje: a każda odcina mu się to „chorobą, to śmiercią, to bogińkami: Tuoni, Manalai (=podziemne bóstwa).

W końcu nie ścierpiał już zuchwałój, rzuca się z sani i przemocą porywa jedną z nich i usadza na futrach. „Plwam na twoje sanie, wykrzykuje branka, mroźno mi na futrze twoim, truchleję na saniach twoich; wypuść dziecko z rąk, bo cię przeklnę.” Kullerwo wtedy wy-dostaje skrzynkę z sani, zdejmuje pokrywę, a tam—piękne srebra, pyszne suknie, pasy ze srebrną naszywką, wstęgi ze złotemi prążkami... Więc nie Kullerwo, ale szaty drogocenne, ale wstęgi nawpół złote, ale taśmy srebrne uwiodły dziewczynę; zaślepiły, zabiły. Zapytana o ród swój, dziewczę bezwiednie odkrywa straszną tajemnicę... Poeta nowszego świata słowo zagadki położyłby na samym końcu. Poeta pierwotny nie odkłada ciosu śmierci—piorun uderza na samym wstępie.

Już świtać zaczęło; pomiędzy Kullerwem a nieznaną towarzyszka związuje się rozmowa:

Ot, niebawem dzień nastanie,
 Bóg przemądry dał świtanie:
 Więc pogwarzmy, skoro świta.
 „Hej, ty śmiałku, dziewczę pyta,
 Toż niech mowa mię nie zwodzi:
 Wynurz mi się, kto cię rodzi?
 Bo zdaje się, że szczep wielki,
 Z rodzica i rodzicielki.”
 Ujął udeę w ręce obie,

Usta jego nie kłamały:

„Szczep, powiadasz? ot tak sobie,
 Ani wielki, ani mały;
 Średnie gniazdo w bożym świecie;
 Mniej tam iskier, więcej cienia:
 Ja—jestem Kallerwy dziecię,
 Dziecię szału, zatracenia,
 Czarnéj doli i rozpusty,
 Płód rzucony gdzieś na stepie...
 Teraz niekłamczemi usty,
 Powiedz ty o swoim szczepie:
 Jakiegoś to gniazda? rodu?
 Czy ze wschodu, czy z zachodu?”
 — Ta, z pochwianiem ciężkiej głowy
 Odpowiada temi słowy:

„O! tułaczu ty zuchwały,
 Nie wielki mój ród, nie mały,
 Średnie gniazdo w bożym świecie:
 Mniej tam iskier, niżli cienia;
 Jam Kallerwy nędzne dziecię,
 Dziecię szału, zatracenia.

Nie dorosłszy w matki domu,
 Ja, niewiedna co to smutki:
 W bory zaszałam pokryjomu,
 Na poziomki, na jagódki...
 Biegnę; w górach, rwę maliny,
 Na padolach, żurawiny;
 Rwę, a biegam przez dzień cały,
 Acz i oczy się zdrzemały.
 Zszedł dzień drugi, trzeci, czwarty:
 Gdzie tu wracać? ślad zatarty,
 Wszystkie drogi i drożyny
 W odmęt wabią, w głąb gestwiny.
 Błądzą—a tu mi łez strugi
 Płyną, płyną, dzień i drugi;
 Aż kiedyś, o szarym świecie,
 Staję ja na wzgórnym szczycie:
 I krzyczę: „biadaż mnie biadał
 A tu las mi odpowiada:

„Oszalalaś ty, że lęku
 Wybijas mię wrzaskiem z ciszy?
 Nikt tam, w chacie, twego jęku,
 Nikt wołania nie dosłyszcy.”

„Pięć minęło dni; na szósty—
 Nie kłamczemi mówię usty,

Ze tą nędzną kłodą ciała
 Na śmierć-em się rzucić chciała,
 Na śmierć!... daremnie, daremnie:
 Śmierć odstąpiła odemnie!
 Bodaj, wśród drzewnej czeredy
 Bodajbym skołała wtedy.
 Kto wie—może, pierwszej wiosny,
 Możebym drugiego latka
 Wykluła się w igle sosny,
 Wykwitła w liściu bławatka;
 Lub wyrósła na kalinę,
 Na czerwieną zurawinę,
 Nie płonęła wstydem lica,
 Zhańbiona ja żałośnica!"

Ledwie umilkł głos jój skargi,
 Zacięła zsiniałe wargi;
 W szaleństwie wypada z sani,
 Pędzi lotem ku otchłani:
 W iskrzącą bezdeń się rzuca;
 W wodospadu czarne płuca.
 Tam (wybrnąwszy zpopod wieka
 Ogniem buchającej toni),
 Na sierotę śmierć już czeka:
 Pokój, w królestwach Tuoni.

A on? twarzą padł do ziemi,
 Jęknął piersiami całemi,
 I zanosi się od płaczu:
 „O! Kullerwo! o, tułaczul
 Na takąto zchodzisz dolę
 Wyrzucone ty pacholę!
 Matko! ojczy siwo-głowy,
 Otom przekląć was gotowy.
 Potożeście, w czarnej chwili
 Na ten świat mię porodzili?
 Bodajbym gwiazd był nie zoczył,
 A po ziemi tej nie kroczył;
 A w szaty się nie oblekał,
 A urodzin nie doczekał.
 Żle, źle śmierć poczęła sobie,
 Że nie zgmiotła mię w chorobie;
 Nie zdusiła w uściśnieniu,
 W drugą noc po urodzeniu.”

Do tych krwawych słów dodajmy przypuszczalne draperye królewskości Edypowej, a mieć będziemy majestat dramatu greckiego. Odczuć wszystkie fazy męczeństw życia wewnętrznego, poeta pierwot-

ny był w stanie; ale sformułować się w straszliwą samowiedzę zgromy moralnej, to już przechodzi jego stanowisko. Przewróć akcyi, ocean namiętności, to są pola, na których przelot starczyła intuicya pierwotna; ale dno oceanu i w ogóle kierunek w głębią, należy już do poetów drugiej kreacyi. Może dla zadosyćczynienia wymogom sztuki ze stanowiska owoczesnych kompetencyi, możebyśmy tu żądali tego, co świat starożytny nazywał *katarsis* (ekspiacyą)? może Eumenid, co to biczowały sumienie, ukształtowałszy się na piekielne potęgi? co to wyrzucone na zewnątrz, uprzedmiotowane aż do dotykalności, pastwiły się nad tym mózgiem właśnie, który je od bólu wysadził z siebie? Mamy tu i Eumenidy, ale wytworzone prościęj, z bezpośredniejszych pierwiastków:

Kullerwo dopędza do domu; staje przed oczyma matki:

„Matko, matko! coś dni krocie
 Nosila mię w swym żywocie;
 Raczej, póki była pora,
 Po powiciu, mnie potwora
 Raczej było, moja złota,
 Z ludzkich oczu uprowadzić,
 W dymie łaźni mię usadzić,
 A zatrzaskać drzwi i wrota;
 Udusić w dymu wybuchach,
 A nie w dymie, to w pieluchach:
 A nie, to podsadzić szczyпки
 Pod biegun mojej kolébki,
 Spalić mię, jak garść łuczywa...
 Tak, tak, matko nieszczęśliwa.”
 „Lud się zchodzi, siolo pyta:
 Przecz kolebki brak w komnacie
 Łaźnia deskami zabita.”
 Ty im na to: „ot gadanie:
 Piec rozgrzała mi kołyska,
 Ziarno suszę, niech kłem pryska,
 A tam w łaźni, w ciepłej parze,
 Dziś na słód jęczmiona prażę.”
 „Synu, kto ci duszę skłócił,
 (Pyta matka, a łzę roni),
 Ach! doprawdy... czyś ty wrócił
 Do mnie z podwórca Tuoni?

Kullerwo wyznaje wszystko i tak kończy:

...O! nieszczęsna, o! kochana,
 Rzuciła się w wód objęcie;
 Kędy wir i czarna piana
 Przewalają się w odmęcie;
 Już ja, ani sobą władną,
 Ani rozumem odgadną

Gdzie tu znaleźć śmierć, gdzie? chyba
 W wilczym kle na gołoledzi,
 Chyba w paszczęce niedźwiedzi,
 Albo w trzewiach wieloryba."

Porywa się do miecza, na samobójstwo.

Matka powstrzymuje go, namawia, aby puścił się w przestworze świata, bo „Saomi (ziemia Finnów), jest tak rozległą, że hańbę człowieka osłonić i ukryć jest w stanie.” „Nie pójdę do Saomi, odpowiada jej szalenię, nie pójdę do Sawo (=Sawotar, część wschodniej ziemi Finnów), pójdę do kraju Untamo (do stryja), i pomszczę się.” Odchodząc, zapytuje z kolei siostry, brata, ojca, czy będą po nim płakać, jeżeli usłyszą, że umarł. Odpowiadają mu z kolei wszyscy, że ani ży po nim nie wyleją, tak wszystkich oburzał na siebie. „Nigdy, mówi ojciec, nie pożałuję ciebie; jeśli usłyszę, żeś umarł, spłodzę innego syna, stokroć lepszego.” „Ani ja po tobie nie zapłacę, odpowiada Kullerwo, a jeśli usłyszę, żeś umarł, uczynię sobie innego ojca: usta i głowę jego z gliny i kamieni; oczy z jagód bagniska; brodę ze ścierniów; nogi z gałęzi wierzbowych; ciało z drzew przegniłych.”

Podobna wymiana uczuć z bratem i z siostrą, jednakże nowa siostra ma dostać „uszy z kwiatów wodnych, a ciało z gałęzi klonowych”... A matka? Matka w eposie Finnów, to bogini królująca nad potęgami ich świata moralnego, przedwzór anioła chrześcian; pomiędzy matką a synem nawet jedze sumienia w pośrodku stanąć nie śmieją. Kullerwo i do niej z kolei zwraca się z tém samém zapytaniem:

„O! ty jedna i jedyna,
 Ty, coś w poranku żywota
 Na pasku wodziła syna,
 Czy choć *tobie*, moja złota,
 Rzewna łza oczęta zmyje,
 Na to hasło: „już nie żyje!”

„Synu, odpowiada mu staruszka, nie znasz ty serca matki; będę płakała, gdy usłyszę żeś umarł, żeś zginął z domu twojego i plemienia twojego, aż izba spłynie, sklepisko zatonie pod łzami, na każdej ulicy płakać będę, w tajni i oborze, aż śnieg stopnieje i gleba zzielenieje od płaczu mojego; a kiedy już płakać nie będę mogła przed oczami ludzkiemi, to w łaźni płakać będę.”

Kullerwo puszcza się w podróż na spełnienie zemsty. Po drodze dochodzi go wieść po wieści: „Kullerwo, ojciec twój już umarł, pójdź tam i zobacz, jak chowają umarłego;” „ha! niech sobie umiera, jest tam klacz stara, co go odwiezie do grobu, do łona Kalmy.” „Kullerwo, brat twój już umarł i t. d.;" „jest tam żrebak, odpowiada Kullerwo, co go odwiezie.” „Kullerwo, siostra twoja umarła;” „jest tam klacz, co ją odwiezie.” „Kullerwo, matka twoja umarła, pójdź i zobacz, jak umarłą chowają.” Na tę wiadomość, kamienne serce tając w nim poczęło; po śmierci matki już utulić się nie mógł.

Tak z krwią miota jęć bez przerwy
 Nieszczęśliwy syn Kallerwy:
 „Skonała — o! moje złoto!
 Zostawiła mię sierotą.
 Matko! a któżto w komorze,
 Kto uścielał moje łożo
 Z wonnej trawki, miękkiej sierci?
 Ciepłą nakrywał oponą,
 Zmywał sprzęty, wiódł wrzeciono?
 A ja, nie byłem przy śmierci!
 Bezemnie oddałaś ducha;
 A może mróz, zawierucha,
 Piorun, trupem cię położył,
 Na przednowku głód zamorzył!
 Ach! obmyjcież domownicy,
 Przeczystą wodą krynicy;
 Spowijcie ją w szaty lniane,
 W jedwabiove prześcieradło,
 Aby ciało ukochane
 Wolno w Kalmy toń zapadło.
 Piosnka, piosnka, moi mili,
 Niech się nad jęć grobem kwili;
 Ja... nie pójdę... aż to ramie
 Zbroczy pomsta na Untamie!
 Ja nie pójdę, aż źrenicę
 Widmem śmierci, krwią nasycę!”
 Biegł i ginął gdzieś w oddala,
 A wiodła go tylko ścieżka
 I ten jeden Bóg, Jumala,
 Co na wysokościach mieszka.
 „Ach! daremnież będę wołał?
 Potężny Ukko-Imala,
 Miecz mi ześlij z ostrzem lśniącym,
 Abym krociom dziś podolał,
 Nie ugiął się przed tysiącem.”
 Ot, i zdobył miecz nad mieczo,
 Głównią lśniwą tłumy siecze,
 Trupem kładzie lud Untama:
 Bramy, spichrze, izba sama
 W ognia falach się topiły,
 Tylko świecą zgliszozą pyły,
 Czarny kadłub od komina
 I w podwórku jarzębina.
 I znów biegnie syn Kallerwy;
 Tam, do chaty biegł bez przerwy,

Do izby ojca swojego,
 Smugów pola matczynego.
 Pustką leży polne staje;
 Pustą izbę pustka chłodzi;
 Nikt mu ręki nie podaje,
 Nikt z uściskiem nie wychodzi.
 Chciał uściskać węglów stosy:
 Zimne—siwy pył je kryje;
 „Ha, zawołał w niebogłosy:
 Więc mateczka już nie żyje!”
 Do pieca rękę przykładą:
 Zimny—szary szron go kryje.
 „Biada mi nędznemu, biada;
 Więc i ojciec już nie żyje!”
 Spojrzał w ziemię, a tam, świecci
 Pasma kurzu, płachta śmieci;
 Ciężka boleść dech mu sparła:
 „Ha, więc siostra już umarła!”
 Ani spichrza, ani płota,
 Pustka, słup za słupem gnije;
 Zrozumiał, jęknął sierota:
 „Więc i brat mój już nie żyje!
 Nikt a nikt...” i szemrał gorzko
 Nad mateczką, nad nieboszką:
 „O! prześliczna moja miła,
 Cożes ty mnie po żywocie,
 Co, mateczko mnie sierocie
 Na tym świecie zostawiła.
 Oj! nie słyszy pierś rodzima,
 Choćbym przemówił oczyma,
 Użalał się ócz rzęsami,
 Nawoływał powiekami.”
 — Otóż nie: na podziw ludzi,
 Acz ją zimna więzi bryła,
 Słysz, i w grobie się budzi
 I odpowiedź mu zasyła:
 „Synu, wszakem zostawiła
 Psa czarnego, niech on radzi,
 Niech cię borem zaprowadzi
 Na dwór modrój Katajatar,
 Księżny lasów; gdzie granica
 Jest światłości, wieczne cienie,
 Gdzie jest borów wszechstolica:
 Tam, u modrój Katajatar
 Wyproś sobie opatrzienie.”

Tedy, z czarnym psem przy boku,
 Nie zbaczając w żadną stronę,
 Kroczy po jodłowym mroku,
 A tu gąszcze niezmierzone.
 Niedaleko on ukroczył:
 Ot—i zoczył... a co zoczył?
 Wzgórze... mózg się w nim rozżarzył
 Do wściekłości... tu są świadki...
 I patrzyły jak znieważył,
 Córkę biedną własnej matki!
 Tu darń leśna, tu barwinki,
 Sosen igły, brzózek liście
 Oplakują uroczyście
 Hańbę i rozpacz dziewczynki;
 Trawki płaczą miłosiernie;
 A na wzgórzu? o! tam ściernie
 Nową trawką nie porosło,
 Ziele główki nie podniosło.
 „Płaczcie darnie, ziola, kwiatki,
 Tum ja spełnił straszną zbrodnię,
 Tu znieważylem wyrodnie
 Biedne dziecię mojej matki.”

I struchlał na myśl o siostrze,
 Chwyta miecz, iskrawe ostrze
 Opatruje z każdej strony,
 Co też myśli głównia lśniwa,
 Czy jój żądza nie porywa
 Wiarołomną pierś rozkroić?
 Krwią złoczyńcy się napoić?

Nie darmo on miecz swój bada,
 Miecz nie ogłuchł, nie oniemiał,
 Odgadł myśl, więc odpowiada:
 „Kullerwol czemużbym niemiał
 Zbrodniczej pierśi rozkroić?
 Występną krwią się napoić?
 Tyle prawych ciał zabijam
 I niewinnej krwi wypijam.”

I miecz, ze wściekłą boleścią
 Sparł na glebie rękojęścią,
 Gałkę miecza wbił pod darnie,
 Ostrze utkwił w pierś wszechsiłą...
 Przeszły mdłości, żal, męczarnie,
 Śmierć—i wszystko się skończyło!

Takim to był kres młodziana;
 Taką, sroga, oplakana,

Niedostojna acz dostojna
 Śmierć Kullerwa Kullerwojna...
 — O! woła z pochwianiem głowy
 Wajnamojnen przedwiekowy,
 (Gdy go o tułacza zgonie
 Doszła wieść w dalekiej stronie).
 „O! na smutne dzieje pomny,
 Słuchaj mię, ludu potomny!
 Niechże losy cię ustrzegą,
 Abyś sam, ku przyszlój męce,
 Śmiał powierzyć cudzej ręce:
 Kołysanie dziecka twego.”

Po sześciu runach, poświęconych przygodom Kullerwy i bezwątpienia najwydatniejszych w całym poemacie, wracamy z poetą do Ilmarynena. Jeżeli czytelnik wyrozumiał naszą charakterystykę téj postaci i typową jój rolę w epepei, tedy i w następnym ciągu nie napotka on takiego rysu, któryby z tą charakterystyką stał w sprzeczności. Ilmarynen opłakuje żonę, rozszarpaną przez wilki i niedźwiedzie, ale sama ta żałość równie jest typową. Cóż zamyśla on na stłumienie żalu? Oto chwyta swoje przyrządy wulkaniczne, spędza czeladź do gromadzenia stosu węgla, zasadza ją do miechów, nakłada miedź, złoto, srebro i żelazo, topi i kuje dniem i nocą, oglądając, jaki mu posąg ukaże się z mistrzowskiej kuźni. Kolejno ulewają się tam postaci rozlicznych zwierząt: to zając, to koń, to owca; on zająca i konia i owcę spycha napowrót do ognia. Aż nakoniec, pod dęciem miechów, z masy stopionéj wytwarza się postać najpiękniejszój dziewicy. Ale nie jestto owa grecka, półidealna piękność z kości słoniowéj, dla którój niegdyś Pigmalion wymodlił życie u Afrodyty. Jestto ideał wdzięków zmysłowych. Nasz Wulkan nie troszczy się o duchowe dopełnienie bronzowój kobiety, niepokoi go tylko to, że „ot piękna kobiéta, ma ręce i nóżki, ale nóżkami temi chodzić nie może; ale jój ramion uścisnąć nie można.” A więc kładzie ją na łożo puchowe, obok swéj lewicy: napróżno, napróżno. Zamiast ożywności od jego uścisków, bronzowa kobiéta odziebia prawą połowę jego ciała, tak, że ją odsunąć musi od siebie i sprzedaje, przekuwszy poprzednio na rozliczne sprzety.

Niestrudzony zalotnik sięga znów na Północ, do krain téj saméj Louhi, którój pierwszą córkę był poślubił i utracił. Louhi właśnie stała na dziedzińcu, przed domem. Wypytuje się więc zięcia, jak się miewa jój córka, jak się tam sprawuje względem męża i świekry.

Spuścił oczy Ilmarynen, głowę pochylił, „krzywo nasadził czapkę.” Nic tak dobitnie nie maluje odrębności tego charakteru wobec Wajnamojnena, jak następujące, spokojne zestawienie w jego odpowiedzi:

„Nie pytaj mię, świekro, o to, jak się miewa córka, jak sprawuje teraz moja wierna. Już ją śmierć chwyciła, już wczesnego kresu do-

biegła, w ziemi leży jagódka, w stepie, prześliczna moja; pod ścierniem, czarno-kędzierzawa, pod murawą srebrno-piękna moja; przychodzę teraz po drugą, młodszą z córek twoich; oddaj mi młodszą, niech wejdzie do komnat pierwszej żony, niech zasiądzie na krześle siostry swojej."

"Żlem sobie poczęła, odpowiada mu Louhi, że pierwszą córkę rzuciłam w paszczę wilkowi, w gardziel mrukliwego niedźwiedzia. Nie dam ci drugiego dziecka na to, aby cię z sadzy obcierała, po żuźlach obmywała; prędjź dziecę moje zepchnę w otchłań szumiącego wodospadu, w wir bezdeny, w gardło okunia Many (=śmierci)."

Ilmarynen porywa córkę przemocą, wciąga do sani i puszcza się do ojczyzny. "Sierota ja, woła dziewczę wyrwijając się z objęć, oto idę do jagód bagniska, do chwastów nadwodnych, zaginę ja tam, kurczątko, zamrę ja tam, ptaszę. Jeśli mię nie puścisz, Ilmarynenie, ja te sanie roztrzęsę, a nie puścisz mię, to się w rybę przemienię, a nie puścisz mię jeszcze, to zostanę gronostajem i ucieknę do lasu, a nie puścisz mię jeszcze, to w postaci skowronka zaświergoczę i wzbiję się pod obłoki." "Co ja pocznę z tą dziewczyną, zawołał nakoniec: zabiję—i porwał się do miecza. Ale głównia miecza zrozumiała myśl jego i mówi: „nie na tom ja stworzona, abym zabijała kobietę." Rozgniewany mąż przemienia dziewczę w mewę i puszcza na skały pomorza.

Po powrocie następuje połączona wyprawa przeciw władczyni Północy, dla odzyskania skarbu (Sampo); udział w niej biorą wszyscy trzej bohaterowie: Wajnamojnen, Ilmarynen i zapomniany już dawno wietrznik: Lemminkajnen. Tu powieść przerzuca się w dziedzinę fantastyczną; co krok, to cudowność. Łódź wyprawy dostaje się na wodospad i utyka na olbrzymiej rybie. Zabijają rybę, raczą się jej mięsem, a z kości jej śpiewak nasz wyrabia sobie kantelę i śpiewać poczyną. Poeta podaje tylko treść, bez pieśni samej, i urok, w jaki wprawiała ludzi, zwierzęta, góry lasy i wody.

Pod względem lirycznym cała ta runa (XLI) należy do najpiękniejszych. Nietylko współżeglarze płakali, słuchając, rozpłakał się i sam muzyk. Łzy jego spłynęły ze źrenic na krawędź łodzi, a potem upadły na fale błękitnego morza. Są tu zwykle w *Kalewali* hyperbole, zwykłe i w naszych pieśniach ludowych; usuwamy je z przed oczu czytelnika, ale pominąć tu nie możemy szczególniej jednego kwiatka: Wajnamojnen prosi, aby kto z obecnych powrócił mu jego łzy. Odpowiadają mu, iż żaden syn ojca swojego łez tych zebrać nie jest mocen. Śpiewak tedy zwraca się z prośbą do przelatujących ptaków, obiecując im futro pierzane w nagrodę. Jeden z nich zapuszcza dziób w morze i co do jednej wszystkie łzy wybiera z głębi „i składa je do rąk Wajna (=Wajnamojnena); ale łzy już swą postać zmieniły pod falą i cudownie wypiękniały, perłami się stały i przezroczyły błękitem świecą może w jakiejś koronie, ku wiecznemu urokowi mocarzy."

Kiedy przybyli do brzegów Północy, Wajna dźwiękiem kanteli usypia lud Północy, bohaterowie zdobywają Sampo i odpływają z powrotem. Przebudzona ze snu władczyni, nakazuje pogoń, grozi znisz-

czeniem, czarami sprowadza zarazę na kraj; w ucieczce przed pogonią, Sampo wypada z łódki i rozbija się na cząstki. Ale Wajna czarem pieśni spaja je napowrót.

W miarę zbliżania się (XLVII) poematu do końca, omdlała na chwilę cudowność coraz znów mocniej przeważać zaczyna. Ponieważ zaś poemat ten dochodzi aż do chwil upadku pierwotnej religii Finnów, więc powiedziećby można, że poeta chciał tu przedstawić ostatnie wysiłki pierwotnego społeczeństwa na wyłomie upadających tradycji pogańskich. I tak:

Kiedy Wajnamojnen, upojony zwycięstwem brata, grać począł na nowej kanteli i pieśń przy niej zaśpiewał, to słońce i księżyc zstąpiły na ziemię dla słuchania pieśni, której dźwięki doszły były do „pokoju księżycy i pod okno słońca.” Mściwa Louhi schwytać każe oboje i uwięzić w skale. I stał się mrok na przestworzach, tęskniły ludy, tęsknił sam Ukko-Imala (bóg powietrza i grzmotów) i wypuścił z miecza swojego płomień po zmroczonym niebokregu. Następuje pożar świata, oddany z majestatem godnym poety.

Ilmarnen zamyśla wykuć nowy księżyc i nowe słońce, wykonywa zamysł, ale światła z nich wywołać nie może. Tymczasem śpiewak (Wajna) wywiedział się, gdzie zamknięto więźniów nieba; Ilmarnen uderza na skałę więzienną i Louhi przerażona, wypuszcza słońce i księżyc z niewoli. Wajnamojnen wita wyzwolonych hymnem chwały i modlitwy (XLIX).

Na przedostatniej od końca runie Kalewali, przełamuje się pierwotny świat Finnów. Zamykając za sobą bramę ustępującego cyklu, Wajnamojnen składa ostatnie dla niego błogosławieństwo na ręce nieba słonecznego i księżycowego, gdyż pomimo przejścia ludów i tradycji w nowe okresy, dwa te światła pozostaną. Jak Halban na Walenroda, tak Wajnamojnen na obu więźniów niebieskich, których zwolnił, zdaje robotę przyszłości: „Wajnamojnen wesoło podniósł oczy ku niebokregowi... Tam pokój przywrócony: na wysokości stanął księżyc po dawnemu, słońce wydostało się na wolność!” Czuł i rozumiał ostatni mąż pierwoświata, że już przechodzi jego królestwo, ale świadkowie tego królestwa zostać powinni. „Złoty księżycu, mówi, wyzwolono ciebie ze skalnej jaskini, i ty, słońce, wybiłeś się z jeństwa; ty podobne złotój kukułce (słońce), ty podobne srebrnej gołębiczy (księżyc), wstąpiliście na pierwotne dzielnice i drogi wasze! Wschódź-że słońce co ranku, poczynając od dnia dzisiejszego; co ranku przynoś pozdrowienie, aby rosło mienie nasze, aby zdobycz zbliżała się do palca rąk, a szczęście do klamki drzwi naszych. Krocz pogodnie po gościńcach, spełniając obieg wspaniały, a w odwiecznym radośnie zasiadaj na odpoczynek!”

Runa ostatnia, jedna z najdłuższych, opowiada o Bogu-przychodniu. Przedziwny to obraz! Zatrzymując jeszcze krój i barwę całego eposu, opowiada on niejako dzieje społeczeństwa, uspiętego podczas przesilenia, a budzącego się wśród nowych otoczeń. Nowa wiara

wchodzi tu na widownią, jak owoc jeszcze nie wyłuskany z mitu i ludowej mądrości. Same imiona osób Nowego Testamentu dziwacznej uległy asymilacji. Marya jest to Maryatta, Herod występuje pod imieniem Ruotus. Jest tu wąż biblijny, lecz jest i kukułka, którą Maryatta w przemówieniu swoim, z niepojętej dla nas przyczyny, nazywa poziomką teutońską. Chwile dziecięstwa Maryatty i pierwsze lata dorastania, również wplotły się tu w stare tradycje żywota Finnów. Maryatta jest pasterką. Ale ojciec i matka w niedorostłej jeszcze dziewczicy upatrują wyższe przeznaczenia, a ich wskazówka najwydatniejsza w jej cichości, w jej zamięłowaniu do zadumy i samotności; ale wszystkie te znamiona, z ideałem dziewictwa na czele, oddane są w rysach tak jeszcze pierwotnych, tak starożytnych, z taką współmiernością z wyobrazeniami, więzającymi przez czterdzieści dziewięć run poprzednich, iż stanowczo powiedzieć można, że runa o Maryacie nie leży po za czarodziejskim kołem Kalewy. Pokazuje się więc, że pomiędzy poezją subtelności duchowych a poezją plastyczną, czyli pomiędzy dwoma obozami, wiekuistą prowadzącymi z sobą walkę o grunt piękna, jest jakaś sfera trzecia, określić się nie dająca—sfera *ciała duchowego*, którą z takim wdziękiem i pocieszającą dowodnością przeprowadził w filozofii Fichte młodszy.

Przypatrzmy się na kilku obrazkach téj runy, jak to szczęśliwie epos pierwotne, zgoła bez idealistycznych przyrządów, obywając się niejako prostym toporem, dochodziło do celu. „Maryatta, prześlizcne dziecko, długo żyła w pasterstwie. Nędzą jest żywot pasterski, ale najsmutniejszą nędzą dla dziewczicy: w trawie czołgają się gady, po skibach pełza jaszczurka. Ale wtedy nie czołgały się węże, nie pełzały jaszczurki po skibach; nie! poziomka wtedy wołała na Maryattę ze wzgórza, z zarośli leśna wołała borówka: pójdz do mnie, dziewczico, a zerwij mię, pójdz świeżuchna ty moja, a zbierz mię rączkami, pierw nim ślimak mię rozerwie lub czarny robak przylgnie z pieszcotami.”

Nic naiwniejszego jak opowiadanie trosk Maryatty, kiedy zostawszy błogostawioną, szuka schronienia. Jakaś wierna służebnica Piltri (podług Renwalla ma to oznaczać chłopca, po szwedzku: Pilt), krząta się po wsiach i dworach, zebrząc o przytułek dla Maryatty. Każdy odwraca się, odmawia. Żona Ruotusa (Heroda), prawdziwa kobieta—Heród, odsyła ją do stajenki.

Opisy trosk i pielęgnowania nowo-narodzonego również trzymają się w tonie właściwym duchowi ogólnemu runowi. Kiedy Maryatta trzyma dziecko na rękach, kiedy go piastuje, huśta, kołysze swoje „złote jabłuszko, ukochaną bryłkę srebrną,” kiedy muszce jego włosy, nagle dziecko znika jej z kolan. Maryatta, żałośnica, prawie całą ziemię obiega, szukając zguby. Przebiega lasy, góry, łąki i pustynie; szuka go pomiędzy kwiatkami pola, po górach sosnowych, przegląda wskroś każde krzewie, korzenie jałowców odgrzebuje, podnosi najdrobniejsze drzew gałązki. Aż tu na spotkanie wychodzi gwiazda. „O ty gwiazdo, którą Bóg stworzył, czy nie wiesz o synku moim? gdzie jest

jabluszek moje?” Umiała gwiazda odpowiedzieć, odpowiada też: „Gdybym i wiedziała, nie powiedziałabym, bo On to mnie stworzył właśnie, a na to, abym na te złe czasy świeciła po nocach.” Podobną odpowiedź daje i księżyc. Szczęściem dla Maryatty, słońce nie miało żalu do tego dziecica Bożego. I kiedy Maryatta je zapytuje: „Czy nie wiesz o synku moim, gdzie się kryje złote jabluszek moje?” Słońce odpowiada jej rozumnie: „Znam ja dobrze twojego synka; On jest ten który mnie stworzył na to, abym w dnie piękne złotem się mienił, srebrem promienił.” Maryatta więc odnajduje syna. Olbrzym Wirakannas namaszcza go na króla Karyoli (Karelii). Namaszczenie syna Maryatty było aktem śmierci dawnego świata; Wajnamojnen do tego aktu nie mógł przykładać ręki, a więc... zabiera się w daleką podróż. Duchowa potęga świata pierwotnego—czary, po raz ostatni wysilają się: mocą czarów Wajnamojnen buduje sobie statek okuty miedzią i w nim puszcza się na tułactwo po grzbiecie fali morza. Żegnając przeszłość ostatnią piosenką, zapowiada w niej, że kiedyś wspomną go, i przyjdzie, stworzy nowy Sampo, nową pieśń, nowy księżyc wprowadzi na niebo i nowe słońce... „Zagle zaszumiały, kłódz pomknęła na dolne krańce widnokregu i tam stanęła, ale Runoja zostawił tu harfę, zostawił śliczną grę w Suomi (ziemi Finnów), ku wiecznej rozkoszy ludu i piękny śpiew dzieciom Suomi.

W samym końcu epopei ukazuje się na chwilę sam poeta. Wyśpiewawszy, jak powiada braciom, śpiew swój przed braćmi, aby kiedyś jeden z potomnych uchwycił za koniec nici przekazanej sobie i snuł dalej, coraz dalej, a wciąż ku przyszłości, a wciąż z okiem zwróconym na przeszłość; poeta zdaje się zrywać ze światem, na którym sam jeden tylko pozostał. „Matka odumarła mię dzieckiem; jak skowronek na skale zostałem sam jeden, jak drozdek wśród głazów: na szczebiotanie i świergot; matka słyszeć mię nie będzie; jodły tylko mię słuchają, sosen gałęzie, jałowce a płaczących brzóz korony!”

Kalewala jestto epos *pierwotne*, oto najistotniejsze, rodzajowe znamię, z którego wszystkie szczegółowe rysy dadzą się wyrozumować. W tém odgrupowaniu za podstawę podziału bierzemy nie wyłącznie pojęcie *czasu*, t. j. stopień starożytności, do jakiej dany poemat odnieśćby można; chociaż epos podobne zwykle ukazuje się w okresie, względnie bardzo odległym, a jego twórcę zwykle widzimy stojącego na ostatnim wyłomie upadającego cyklu wiar, pojęć i porządków społecznych, i dlatego dla oznaczenia wielkich okresów cywilizacyjnych, śmiało epopee uważać można za ostateczne uosobienie ducha okresu. Ale nie każde epos jest pierwotnym w ściśle czasowym znaczeniu wyrazu; może być ono *wskrzeszonym* z pierwiastków epoki zapadłej w gruzy i w takim razie zyskuje ono wyższe znamiona sztuki, jako genialne podsłuchanie echa od ubiegłych epok dochodzącego. I tak: z przeddziejowych podań Litwy w oczach naszych powstał poemat *Anafielas*. Każda przeszłość, chciałem powiedzieć: każdy okres cy-

wilizacyi zapadającój w zwaliska, gruzami swojemi przedewszystkiém przygniata systemata religijne. Wszelki duch zniszczenia, instynktowo, naciera przedewszystkiém na te żywioły, które są ogniskiem czci, główną osią danój kultury. Każda téż walka pomiędzy plemionami Nowej Zelandyi rozpoczynała się zwykle od wytopienia przedmiotów kultu: głowy i główki bożków wieńczących szczyty ostrokołu warowni spadały naprzód pod maczugami przeciwników. Otóż epos, rehabilitujące bogów, skazanych na wygnanie, epos z pola zagładczego boju unoszące zwłoki i szczątki byłego systematu, z religią jego na czele, jest epopeą pierwotną. Łatwo domyśleć się, że im bezpośredniejsze echo dochodzi tu do uszu pieśniarza, im mniej luźnym jest tu ów sznurak rodowy, wiążący dziecię z żywotem matki, tém gorętszém, żywniejszém jest epos: taką jest *Iliada*, taką *Szachnamech*, takimi są *Nibelungi* i *Edda*. Przeciwnie, fabrykacyami na temata *pierwotne*, są epopee łacińskie, pogrobowcze płody, stojące już w czysto-objektywnym stosunku do matki, której nie zaznały. W utworach tych, sztucznych, *wyciętych z papieru* (jak powiedział nasz dziejopis), znajdujemy piękności, znajdujemy nawet arcydziełowe pociągi pióra, mnóstwo ozdób krasomówskich, znajdujemy nawet prawdziwą grozę tragiczną. Krzyki rozpacz, wybiegające z płuc Dydony na jój stosie samobójczym, świadczą o twórczój potędze talentu poety. Ale obraz i zakończenie walki Tankreda z Kloryndą (u Tassa), nie wytrzyma porównania z powieścią boju Rustema z Sorabem; nie wytrzymają go bójki bohaterów krzyżowych i Saracenów z rozpaczliwym pojedynkiem Hektora z Achillesem. Tu bowiem pasuje się duch z duchem, prawie że żywioły z żywiołami, grzmoty i zaćmienia słońca wtórują wypadkom, a tam... tam grzechoczą tylko pioruny zakulisowe, zamiast błyskawic buchają ognie bengalskie. Tam krew i drganie konwulsyjne, a tu—optyczne złudzenia namiętności; arcydzieła kontrapunktu, bez żywej melodyi.

Przy bliższém wglądnięciu w epos *Kalewala*, szczegóły, jakie tam spotykamy, wymowniej nam wykażą ową rdzenność ducha pierwotnego, aniżeli jakakolwiek charakterystyka *a priori*. Osobliwszy pogląd jój na przyrodę, jakieś wysłowić się nie dające ciepło w opisach uczuć rodziny; żywym ogniem ziejące uniesienia bohaterów, coś pośredniego pomiędzy idealizmem a rubaszną konkretnością; a wreszcie dziwna pokrewność z naszą pieśnią ludową: oto znamiona prawdziwej oryginalności *Kalewali*, które upoważniają nas do nazwania jój epopeą pierwotną.

Obok tych znamion typowych, są tam jeszcze pewne rysy etnograficzne, wskazujące odległą starożytność *Kalewali*, są to nazwy miejscowości, plemion ościennych, morza, rzek, gór i t. p., dowodzące przedhistoryczności opisywanych w niej wydarzeń. Ta jednak strona w zadanie nasze nie wchodzi; nadmieniamy wszakże o jednym szczególe wyjątkowo. Upowszechniona od pewnego czasu pangermanizacya wszystkich i wszystkiego, zadaleko zdaje nam się posuwać, odnosząc pewną część żywiołów *Kalewali* do *Nibelungów* i *Eddy*. *Nibelungi*,

to świat inny w samej podstawie, świat mniej pierwotny. Walka dwu stron w Nibelungach jest wprawdzie walką osobową, ale mocno zakrawającą na bój polityczny; w Kalewali mamy walkę plemienia z plemieniem, uosabiających odwrotne pierwiastki etyczne. W Nibelungach składowe czynniki nie sięgają warstw tak głębokich. Sprzeciwieństwa tego rodzaju, jak dwa stronnictwa Nibelungów, mają i początek mechaniczny, bo ich źródłem jest czyn pojedynczy: zbrodnia, więc i kres swój mieć mogą, jako zamknięte w granicach ludzkich. Krwawy koncert Krymhildy kończy się jej śmiercią. Ale sprzeciwieństwa takie jak świat Finnów i Lappów, są już walką głębszą, bardziej pierwiastkową, w granicach ludzkich bezkreśną. Grimm Jakób, dla dowiedzenia pokrewności Kalewali z Nibelungami, odwołuje się pomiędzy innymi do *skarbu*, grającego tak wielką rolę w obu poematach. Fakt sam wprawdzie nie ulega wątpliwości: tu i tam obie strony upominają się o niego; tu wpada on do morza, tam dostaje się on na dno Renu, i teraz (jak powiada dziad Hagen do Krymhildy), jedno Bóg i ja wiemy, gdzie jest skarb; ale ty, dyabliczo, nigdy się o tém nie dowiesz!" Ale skarb w Kalewali (Sampo) pochodzi z zupełnie innej sfery: jestto coś głęboko mitycznego.

Nierównie więcej do myślenia dają pewne rysy Kalewali i Eddy, jakoby wspólne. Wspólność ta jednak dotyczy właściwie tylko głównych zrębów i fantastyczności w przeprowadzeniu. Uderzającym rysem w obydwu jest brak wyraźnego odgraniczenia okresu kosmogonicznego, od okresu bohaterów i przeznaczeń ludzkich. Dwulicowość postaci głównej w epopei fińskiej, t. j. Wajny (Wajnamojnen), który w ciągu długiego żywota na ziemi, otrząsa się ze znamion kosmogonicznych, zwolna, ale ciągle: zasiewa lasy, zaprowadza zboża, zostaje pieśniarzem, a w końcu bohaterem o tysiącu przygód; to tajemnicze, stopniowe, uczłowieczenie się żywiołowego pół-boga, daleko więcej spokrewnia *Kalewalę* z apokalipsą Północy, aniżeli z Nibelungami. Przybywa tu jeszcze jedno znamię wprawdzie, już nie tyle charakterowe, ale pod względem układu epopei wcale wydatne: *Kalewala* w układzie swoim ma trzy epokowe warstwy. Zawiązuje się ona w świecie cudowności i to cudowności kosmogonicznej, w dziedzinie elementów wszechświata: (Wajnamojnen jest synem „córkę powietrza, pierwszej córki stworzenia”) i napowrót w końcu rozwiązuje się w cudowność (Maryatta w cudowny sposób zostaje matką, a syn jej w ubóstwie powity, zostaje ochrzczonym i namaszczoneym na króla Karyoli, t. j. ziemi Karelów). Podobnie i mit islandzki rozwiązuje się w *Kristni-Sage* (w legendę chrześcijańską). Wpółrodku zaś tych dwu przeciwległych sobie okresów snują się główne pasma fińskiej epopei, której ostatnia pieśń (pięćdziesiąta), o dziewicy Maryatta, jest oczywiście warstwą napływową, późniejszą.

Z tego ogólnego charakteru (że *Kalewala* jestto epos pierwotny,) wypływa nowe jej znamię: maluje ona wypadki, osoby i zjawiska przyrody w prostocie, w obiektywnym spokoju; zdala od tych napomknięć

o walce, jaka zachodzi zwykle w duszy poety nowożytnego w chwili opowiadania. Pomówmy chwilę o tém znamieniu.

Któż nam odpowie wyczerpująco na zapytanie, co myśleć mamy o owęj nieugiętej przedmiotowości, która kierowała strunami lutni lub gęśli pra-wieszczów świata; jak sobie tłómaczyć nieustanne trzymanie na wodzy wszelkich uczuć, w chwili opowiadania? Nie z zimną krwią, to prawda, ale z majestatycznym spokojem wysnuwa zarówno Homer, jak *Nibelungi*, jak wreszcie *Kalewala*, nici dramatu, nie zostawując dla siebie czasu na jęk boleści. Żaden z poetów nowożytnych nie mógłby powstrzymać w swoim sercu wrażenia na widok krwi i mordu, na widok zdrady lub wiarołomstwa; zapukałby on natychmiast do potęg życia wewnętrznego, i płakałby nad płaczącymi, współczuwałby z ofiarami zemsty lub niesprawiedliwości. Ale psychiczna postawa ludzi pierwotnych wobec wypadków opowiadanych, była zupełnie inną. Gorącość faktów, które przedstawiali, ich własnej ręki nie rozgrzewała. Epos pierwotne, a przedewszystkiém *Kalewala*—jak szkło palące; zesrodkowyywa ono w sobie wszystkie promienie życia, zapału lub zgrozy, ale samo zachowuje niezmiennie chłodną obojętność. W *Iliadzie*, subiektywność opowiadacza gubi się w samym sposobie prowadzenia wypadków; wykrzyk, któryby oświadczył o przejęciu się wypadkiem ze strony poety, zastąpionym bywa, co najwięcej, dramatyczném postawieniem następstw wypadku. Oto np. jeden z ostatnich obrazów katastrofy: Hektor kona pod ciosem zwycięzkiego Achillesa; młodzieuchna dusza ulitowawszy się nad mękami ciała, schodzi do piekieł. Scena, jak widzimy najponętniejsza dla poety. Pytamy się więc, czy poeta nowoczesny, mógłby tu potłumić bicie serca? czy mógłby nie powołać na sąd wyrocznych sprężyn przeznaczenia ludzkiego, nie zapoznać fatum, depczącego wszystko a wszystko? Inaczej postąpił tu sobie nasz pieśniarz: oto, w dalszy wątek wypadku wzionął głosy boleści swojej, udramatyzował wzruszenia swoje, mówi więc: (wokoło świeżego trupa) „zbiega się czern, zdumiewa nad lśniaco-hełnym (Hektorem), roslým mężem, obliczów jego majestatem; a ponieważ każdy z nich odebrał kiedyś ranę z téj, martwój dziś ręki, więc wzajem poglądając sobie w oczy, pogwarzali: „O! zmieglł i bardzo, już on nie taki zawzięty; nie tento Hektor, co ogniem prażył nam okręty.”

W samęj tylko epopei perskiej (Szah-nameh) dusza opowiadającego zrywa się niekiedy z protestem; kiedy umiłowany przez niego młodzieniec bohater, krwią niewinną broczy kwiatki pola, na którym go zamordowano, wówczas poeta (Ferdusy) już powstrzymać się nie może, nie może przebaczyć niebiosom i światłom niebieskim, że z takim spokojem spozierać mogą na dzieje téj ziemi. Jak na Azyą, wielki to wyłom w pojęciach religijnych, ziemnych, niczém nie zasnuwających próżni pomiędzy człowiekiem a martwą abstrakcją nieosobistego nieba. Spójrzmy na najcudowniejszy z obrazów Szah-nameh, na powieść o Rustemie i Sorabic. Sorab, dorósłszy lat młodzieńczych, po całej ziemi odszukuje ojca swego, Rustema, którego nie znał, bo go matka

po urodzeniu wysłała była z domu. Pragnie on jednak pierwój zasłynąć, a potem dać się poznać ojcu. Otóż chwila się nadarza: Rustem wyzywa wrogów do pojedynku, nikt stanąć nie śmie, tylko jeden młodzieniec. Sorab przyjmuje wyzwanie, następuje bój zaciekły, Rustem rani śmiertelnie przeciwnika i przez zamię na ramieniu konającego poznaje w nim syna. Rozpacz ojca przechodzi wszelkie granice. Chwyta sztylet, i z synobójcy chce zostać samobójcą; zaledwie powstrzymują go książęta, współwojownicy, a tymczasem Sorab umiera. Pelewanowie zasiadają naokoło nieszczęśliwego, ze słowami pociechy, daremnemi.

Po takim nakreśleniu okropności, poetę opuszcza już spokojność; z złością, jeśli nie z szyderstwem odzywa się on: „Tak to, niestety, przeznaczenie w rękach swoich trzyma i koronę i arkan; prawicą podaje ci dyademat królewski, lewicą spycha cię z tronu.” Nawet Szach, usłyszawszy o nieszczęściu Rustema, niema innego balsamu nad ten fatalistyczny dogmat: od Elbursu aż do trzciny nadbrzeżnej wszystko co istnieje, jest zdobyczą śmierci.

Kalewala przed wszystkimi eposami odznacza się tą nieugiętą, obiektywnością. Z równym spokojem przenosi ona nad słuchaczami i tryumf zwycięstwa i nieszczęście i błogosławieństwo i wyrok śmierci. Nieubłagany, jak wyroczny świat Pohioli, ta kraina lodów i śmierci, runoja przepuszcza przez ręce swoje równie czarne jak i białe pasma, nie dotykając się ich prawie. Ale każde z tych pasm, już z kłębka samego wychodzi w najwydatniejszym ubarwieniu.

Wprawdzie i tu spotykamy pewne, jakby przypadkowe przegrywki do wypadków, ale te wyraźnie zdają się napływać z późniejszego pochodzenia. I tak na samym wstępie runy pierwszej słyszymy, prawda, że przesłiczne zagajenie wieszczą, ale tak dziwnie odbiegające od ogólnego stroju, tak prawie: Owidyuszowskie, że niepodobna oprzeć się tu pokusom zwątpienia. „Oto, mówi poeta, jakaś żądza pociąga mię ku pieśni, ku pieśni o mojem plemienu. Oto słowa roztapiają mi się w ustach, dźwięki mi się wymykają, język mój ubiedzby chciał.”

Podobne zwroty spotykamy i w innych runach, szczególnie w ich zaczęciu, i te jednak również za późniejsze glossy uważać należy, jak i sam koniec epepei. Pocci nowożytni poczytują sobie za obowiązek pośredniczyć w akcji głównej, szczególnie tam, gdzie ta akcja dosięga wysokiego napięcia: wtedy zdaje się im prawowitem, odsłonić piersi, aby słuchacz poczuł tam przyspieszony puls. Jestto przywilej usprawiedliwiony psychiczną dojrzałością, jaka się dopiero wiekom późniejszym dostała w udziale. Poeta nowożytny uważa jakoby sam siebie za sprawcę podanych sytuacji i dlatego winien je przegradzać rytmami własnego współczucia. Tymczasem epos pierwotne uważa siebie jedynie za rzecznika woli bogów lub przeznaczenia, a jako rzecznik ich, ani za łzy, ani za krew przelaną nie odpowiada. Rzeczywiście też epos pierwotne zdaje się być dosłownie: mechanicznem odcisnięciem się wypadków na tle pamięci człowieka, bez troski i obliczeń na przyszłe

wrażenie słuchaczy. Znamieniem takim najwydatniej odznacza się *Kalewala*. W runie XXVII Lemminkajnen, rozdąsany na to, że go na ucztę weselną nie zaprosiła księżna Pohioli, najężdża jej pałac, wyzywa na bój pojedynkowy jej męża i zabija go w dziedzińcu i to w oczach żony jego, staruszki Ilpotar, i głowę zabitego wpycha na słup dziedzińcowy. Następnie mściciel wraca do komnat zabitego i wykrzykuje: „hej! dziewczę, niedobre dziewczę, przynieś mi wody: abym sobie umył ręce z krwi niepoczciwego gospodarza.” Cóż na to Ilpotar? Ona, przesuwa tylko dalej pasmo powieści. „Pani Północy, mówię poeta, rozgniewała się i zasmuciła; zebrała stu czarodziejów z mieczami, stu bohaterów z mieczami i tysiąc uzbrojonych, na zagubę Lemminkajнена.” A rozpacz żony? a piorunujące wrażenie nagłego, nieprzewidzianego przejścia?... Poeta je pomija i ponad tą niedostrzeżoną przepaścią dalej popycha tok wypadków, t. j. wojnę powszechną przeciw zabójcy, a następnie jego ucieczkę i inne przygody. To, co stanowi u nowożytnych prawdziwy punkt wyjścia subiektywności, wdanie się w życie wewnętrzne bohatera, w *Kalewali* jest czynnikiem stanowczo nieobecnym, nieznanym.

W cóż, więc pytamy, przejść mogły te wielkie zasoby poetyckie, jakie ożywiały ducha wieszczów pierwotnych, prawie jasnowidztwem gorejącą jeszcze intuicyą na rzeczy boskie? na jaką z funkcyi twórczych przedewszystkiem uderzyć mogły? Oto na władzę kształtującą, na organa postaciowania zdarzeń, scen przyrody i ludzi. W tym zawodzie pierwotni pieśniarze są niezrównanymi. W *Iliadzie*, w *Sakuntali*, ile wierszy, ile zdań, tyle brył spiżu korynckiego. Aby je zrozumieć, potrzebujemy je odczuć, my ludzie nowożytni; każdy z podobnych okrucichów ducha pierwotnego musi pierwój wywołać w nas cały proces psychiczny, walkę żywiołów moralnych i dopiero osadziwszy się do równowagi, stawić przed nami w całym uroku to, co dla tamtych było zwykłym powietrzem, oddechem. Ztąd owe „kwiaty morza” (*Fale*); owa „krew duszy” (*Łzy*), u Homera; ztąd „serce chore śmiertelnie;” „płkanie krwią” i „kopanie sobie grobu własną ręką” (*Rozpacz*); ztąd odezwane się konającego Soraba: „Przyszedłem, jako błyskawica, a odchodzę, jako powiew wietrzyka;” u Ferdusego.

Władza kształtująca rozciąga się tu nietylko do żywego malowania scen natury, albo uczuć i t. p.; panuje ona i w przedstawieniu całych typów. Kiedy Hektor idzie na śmierć niechybną w oczach matki, jakichże sprężyn używa ona na powstrzymanie syna? jaką jest akcja sceniczna w najstraszliwszej chwili? Oto akcja, jaką podpowiadają najpierwotniejsze instynkta; odsłania rąbek z piersi swoich, któremi go niedgdyś karmiła i kołła płacz jego i na te piersi go zaklina. Wysokie pod

1) Początek i piękniejsze ustępy z 4-ch run, pięknym wierszem przełożone przez p. Sewerynę z Żoch. Duchyńską. *Bibl. Warsz.*, 1869 r., t. III, str. 244 i dalsze.

tym względem miejsce zajmuje *Kalewala*, a nawet powiedzieliby można: miejsce odrębne. Do każdej dziedziny życia *Kalewala* wprowadza język cudnej plastyczności, przedewszystkiem oparty na symbolizmie przyrody.

Osmotar, dając przestrogi siostrze przed jej zamęciem, tak przemawia: „Dziewczę, siostrzo moja luba, ty listku młodej odrośli, słuchaj, co ci powiem! Oto odchodzisz od nas, kwiatku, puszczasz się w drogę, poziomeczko ty moja, a w daleką drogę, płatku jedwabny.” Kiedy dla wyleczenia ciężko zranionego Wajnamojnena stary czarodziej naciera mu ranę balsamem, takie daje mu zlecenie: „Wajnamojnen! nie chodź ty własnym ciałem, jedno chodź ciałem Stworzyciela; nie kraź siłami własnymi, lecz siłami wszechmocnego Boga; ani mów usty twojemi, tylko usty Najwyższego.” „Matko, mówi Lemminkajnen (ujrzawszy matkę, którą uważał już za umarłą, zamordowaną przez wroga), myślałem, że już cię utraciłem... ach! matko, ja *oczy z głowy wyplukałem*.” Kiedy głównego bohatera uciekającego przed pogonią zaskoczyła burza morska, na zażegnanie jej tak się odzywa: O! przepaścił rozkaż synom twoim i ty falo dzieciom twoim i ty Ahto, gospodyni bezdenności, każ opasć bałwanom; Wellamo, pogróż ludowi morza, niech mi brzegów łodzi mojej, niech mi bioder jej nie zlewa... Pierwój włos mój już widział wiatry, już zaznał burze i broda moja już widziała dni czarne na tém wód przestworzu, ale takiój nawałnicy nie pamiętam; dziś już wiatr jest ucieczką moją, dziś od bałwanów morskich czekam miłosierdzia.”

Napomknęliśmy wyżej o symbolizmie natury; a cóż jest ten symbolizm? nie jesteto wydostanie na jasnią najpierwotniejszych poglądów religijnych, które następnie w ciągu wieków pod naciskiem nowych wier, ustąpić musiały i kryć się, jako zwyciężone w pomroku? Ztądto ów tak dla nas pełen wielmożności język pierwotnego eposu, a szczególnie *Kalewali*, ztąd wołanie po imieniu na potęgę natury, z wiarą religijną, że wysłuchają, bo słyszą. Cóż piękniejszego nad głos Kaukomiela, kiedy zagrożony rozbiciem łódki swojej nad otchłanią, wyciągając ręce do natury woła: Przyjdź tu orle, turyańczyku (=Lapończyku), przyjdź, a przynieś mi trzy pióra; orle! trzy pióra, a ty kruku dwa pióra, na ochronę łódeczki mojej, na otulenie czółenka.”

Zdawałoby się niepodobnym, aby wieszcz poprzestający jedynie na prostych liniach, snujący całe dzieje duszy na gamie dyatonicznej, mógł podołać tam, gdzie postawione są najwyższe zadania. A jednak nad wszelki podziw wychodzi on tu zwycięzko. Nie wprowadzając subtelności, półcieni i podziałek skali psychologicznej, sięga do natury po najjaskrawsze barwy, wypuszcza namiętności, zostawiając im wolę niczem niepowstrzymaną, gromi coraz nowemi akordy, zdumiewa, odurza naturalnością. Przypominamy czytelnikowi ostatnie sceny z powieści o *Kullerwojnie*. Poeta miał tu przed sobą zadanie godne Szekspira. Na szczęście nie przeświadczał się o jego trudności i tém je zapewne ocalił. Pod pierwotną prostotą zawikły temat rozluźnił się sam; ani rozpięty, ani rozcięty węzeł intrygowy pękł pod muskularnym nacis-

kiem saméj akcji. Potrzebaby chyba przytoczyć cały poemat, aby pokazać czytelnikowi, do jakiego stopnia prawdą jest, że zdarzenia, uczucia, postawy mężów i kobiet, zgoła cały kłębek eposu toczy się od początku do końca własnym ciężarem, gorącą siłą postaciowania, jaką umysły pierwotne posiadały na podobieństwo ziemi dziewiczej, niespracowanej jeszcze długim rodzeniem.

Dla bliższego unaocznienia zestawmy tu dwa obrazy jednakowej treści, zasięgnięte z dwu najodleglejszych krańców kultury ludzkiej: z Indyi i z poblizów świata podbiegunowego:

Sakuntala wybiera się w podróż do oblubieńca swego, a córka Pohioli opuszcza także dom rodzinny i gotuje się do odjazdu w dalekie krainy z nowym małżonkiem. Obie więc żegnają się z ojczyzną. Obrazy, powtarzamy, jednakowe, ale przyjrzyjmy się ich oświetleniu: mamy przed sobą IV akt *Sakuntali* i XXIV runę *Kalewala*.

Sakuntala w orszaku przyjaciółek i pokutnika żegna kraj rodzinny.

„Wy drzewa gaju świętego, mówi Kanwa, czy słyszycie? Oto Sakuntala, która nigdy ust napojem nie orzeźwiła sama, nie napoiwszy was pierwej; która choć tak lubiła przystrajać się, a przecież odrzeć was nie śmiała z téj gałązki, co to pierwszą dobę rozkwitu wiosennego wita z hołdem, jakby dzień święty, a nie śmiała, kochając was; dziś Sakuntala opuszcza was, odjeżdża do małżonka swojego; błogostawcie ją, póki jeszcze jest z wami (słychać głos słowika). Słuchajcież drzewa! to głos błogostawieństwa, ten głos melodyjny jest odpowiedzią na westchnienia moich pieśni. (Głosy od drzew): „Bywajże zdrowa najmilsza Sakuntalo, oby na téj drodze, po której przejeżdżać będziesz, wiele szczęścia zakwitło tobie; oby tam czekały na ciebie jeziora, ozielenione tłumami lotosów, z gęstym baldachimem cieniodajnych liści; oby cię ochłoneły lotne obłoczki wonnego pyłku lotosów, a wietrzyk pieszczotliwie chłodził policzki twoje.”

Sakuntala (zbliżając się do krzewia malika) mówi:

„O! maliko, jak ty czule obwijasz się ramionami wokół oblubieńca twego Mango! ale i ja godną jestem twojéj miłości. Otul i mnie gałązkami, które zdaje mi się, jakobyś teraz ku mnie rozpościerała. O! to już poraz ostatni, bo daleko, daleko będę od ciebie... Patrz ojczu, oto brzemienna gazela wlecze się tam powoli, skoro cię ona obdarzy młodém kozłatkim, ojczu, wtedy pošlij do mnie łódkę z wiadomością.”

Sakuntala, jak widzimy, ma serce do natury; kiedy gazela niespodzianie chwyta ją za kraj sukni, kiedy dziewczica łzawo żegna ją, jak siostrę, a raczej jako siostra, to bez wątpienia czujemy tu ciepło społeczeństwa pierwotnego. Ale niéma już w niém owéj dziewiczości, co to zdawałaby się przenosić nas w zajutrzejszy dzień stworzenia. W kilku przytoczonych rysach czytelnik łatwo upatrzeć już mógł wkroczenie retoryki i zostawione po niéj ślady, jak po dotknięciu spoconéj dłoni na zwierciadle. Wielki rzeczywiście geniusz Kalidasy mniej był szczęśliwym we wskrzeszeniu ducha pierwotnego Indyi. Tego ducha, tę dziewiczość niewiedzy dobrego i złego Kalewala posiada jeszcze. Nie tak

krasomówczo żegna się narzeczona syna Kalewy z matką-przyrodą i z matką-rodzicą. „Czémże ja biedna, na odjezdnie, czém ja na rozstaniu się, matce drogiej zapłacę za mleko, czém ojcu za dobroć, bratu za miłość, siostrze za życzliwość?” „Ojcze, dziękuję ci za pierwsze moje życie, za ten pokarm, którym spożyła, za *wszystkie kąski*—a wszystkie były najśodsze. Dziękuję tobie matko droga, za kołysanie w dzieciństwie, żeś piastowała niemowlę, żeś mię piersiami karmiła... Może kiedyś wrócę do ojczyzny... oto wracam: już matka głosu mojego nie słyszy, już ojciec łkania nie słyszy, kiedy ja nad skronią jego płaczę, nad głową jego nucę! ach! młoda trawka wyrosła *nad ciałem matki, jalowiec rozpuścił igielki*, nad głową ojca. Kiedy wrócę, a ukazę się na dziedzińcu, nikt mię nie pozna, poznają mię tylko dwa drobiazgi: wstążeczka na dole parkanu i drążek na końcu pola; dzieckiem drążek ten zatknęłam, dziewczęciem wstążeczkę obwiązałam.”

Religia Kalewali jestto najpiękniejszy w swoim rodzaju antropomorfizm, osobliwsza harmonia i grozy przed potęgą złego i dziecięcego pieśczenia się z bogami dobroci. To, co powiedział niegdyś Mickiewicz o mitach Grecyi, w zupełności zastosować się daje do mitu Finów: posłużył on za precudną kanwę dla marzeń poetyckich przyszłego śpiewaka. Zdanie Mickiewicza jest słodyczą, jaką pszczoła wysysa z tych samych kwiatów, z których pajak wyssałby sok jadu. Rzeczywiście w systemie religijnym *Kalewali* i Feuerbach znalazłby wiele, wiele na podsylenie swoich poglądów: na każde uczucie ludzkie, na uniesienia rozkoszy, zemsty, błogości, przekleństwa, w *Kalewali* są bóstwa oddzielne. Jak w *Iliadzie*, i tu co chwila bohater nasz puka to do tych, to do tamtych drzewiczek, za którými mieszkają bogowie rozlicznych sfer przyrodzenia. Jestto religia kształtów i ludzi, a taka religia otwiera szeroki przestwór piersiom poety do oddychania. Z panteizmu nie się nie da zawiązać. W *Kalewali* niema panteizmu bezwarunkowo. I dlatego każda modlitwa, a są tam ich tysiące, to gorący monolog duszy; dla *Kalewali* cała natura żyje, a każde jój odezwanie się: wiatr, piorun, śnieg, świt, czy zachód słońca, zgoła każde zjawisko jest pulsem jakiegoś bóstwa.

Jako wskazówkę, przytaczamy modlitwę kobiety (wysyłającej stada swoje na dalekie pastwiska), arcydzieło antropomorfizmu:

„O! Mijelikki, ty stróżko lasów! ty boga gąszczów borowych dziecię w cienkiej koszuli i rąbku subtelnym, ze złotemi warkoczami; wszak to ty pasiesz stada w gajach Mecoli; paś je leciuchnemi rękami, spędzaj miękkimi palcami, odprowadzaj mi co wieczór stada moje z pełnemi wymionami. Kuipana! władzco lasu, siwobrody, szlachetny stróżu gęstwin, uwij sobie bicz z miękkich gałęzi, utnij różgę z prętów giętkich, i wokoło góry, od skał Linny przypędź stado moje na dziedziniec.”

Zgoła, religia dla człowieka *Kalewali*, jest nieustającym dopełnianiem samego siebie. Cokolwiek dzieje się ze strony człowieka, dzieć się powinno pod domyślnem zawróbieniem bogów. „Nie kroc

inaczej, mówi się tam, tylko stopami boga;" „ile razy oddychasz, oddychaj piersiami boga." Herodot powiada, że były takie wieki, „kiedy bóstwa jeszcze nazwisk nie miały." W *Kalewali* mamy ich tysiące, a niektóre bóstwa mają po kilka imion, jak w *Iliadzie*. Nic rzewniejszego, jak modlitwy bohaterów *Kalewali*, w chwilach niedoli albo niebezpieczeństw. Usłyszymy je nieraz w ciągu samej powieści.

Zwracamy się teraz do najpotężniejszego znamienia *Kalewali*.

Jako epos ludowe, *Kalewala* widocznie urosła z piosnek. Tam, gdzie stosunki dziejowe, albo nie dozwoliły wypłynąć na widownię geniuszowi, któryby sprowadził rozrzucone członki do całokształtu, albo mu wśród tej pracy wytrąciły ją z ręki, tam „pieśni ludowe," przedstawiają obraz albo niedokończonych formacyi, albo szczątków jakiejś rozbitej postaci.

Taki właśnie obraz przedstawiają pieśni *nasze*. Ta wstępna uwaga wyda się czytelnikowi jaskrawém zboczeniem od przedmiotu; ale bynajmniej nie zбочyliśmy. W *Kalewali* jest wiele ustępów, do tego stopnia przypominających pieśń *naszą*, czyto narodową, czy plemienną, że wśród studyów nad tem eposem, wzmiankowane podobieństwo nieraz zaćmiło wszelkie inne wrażenia. Kiedy narzeczona opuszcza dom matki, kiedy płacząc w chwili rozstania, żegna się z braćmi, rodzicami i siostrami, to zdaje się nam, że czytamy jedną z pieśni naszych weselnych. W pierwszych runach poeta mówi nam, iż dziewica, której narzucano małżeństwo, wstrętne dla jój serca, utopiła się z rozpacz. A ileżto razy w naszych pieśniach miłość zawiedziona, popchnęła dziewczę w odmęty „Dunaju." Wajnamojnen zapuszcza sieci, dla złowienia topielicy. Czyliż te same dzieje nie powtarzają się i w naszych pieśniach, co mówię: w naszych poetyckich tradycjach, od Wandy aż do Świtezianki. Komu ten rys wydałby się może zbyt pośpiesznie podciągniętym pod analogię, niech ową gawędkę piastunek: „Tu, tu, sroczka kaszkę warzyła i t. d." zestawii z tym początkiem runy 31-ój:

„Matka zwołała kurczęta swoje, stado łabędzi zwołała, kurczęta spędziła pod parkan, a łabędzie na rzekę. Przyleciał orzeł i zestrąszył je, przyleciał jastrząb i rozproszył je; przyleciał sokół i rozchwycił je: „jedno uniósł do Karyoli, drugie uprowadził na Północ, trzecie zostawił w domu..."

Szególnie ponętną w *Kalewali* jest kukułka, ptaszek wrózebnny kochanków, o którym ciągle głoszą i nasze pieśni ludowe. W *Kalewali* kukanie jój słycać od początku, przez cały poemat; jeszcze w ostatniej runie, Maryatta, pasąc jagnięta na górach, w krzewiu oliszowym słyży kukułkę i przemawia: „O! złota kukułko moja, wykukaj, wypowiedz mi srebrny ptaszku, wyśpiewaj piersią cynową, czy długo ja jeszcze będę pasterką jagniąt?"

Powszechny sposób zaczynania pieśni naszych od złudzeń, optycznych, jest ulubionym zwrotem i u naszego poety. Oto np.: *Śmierć Hassan-Aginicy* (w pieśni serbskiej):

„Co się bieli u góry zielonój?
Czyto śniegi? czy łabędzi stado?
Żeby śniegi, dawnoby stopniały,
Łabędzieby dawno odleciały;
Nito śniegi, ni stado łabędzi,
Ale namiot agi Hassan-Agi.”

W *Kalewali* jestto zwrot bardzo częsty. Tak np. w runie VI-ój czytany:

„Aż nakoniec dnia jednego,
Obrócił on o świtanu
Oczy na zachód półnoocy
I głowę podniósł ku słońcu;
Coś się czerni tam na morzu,
Coś na falach błękitnieje.
„Czyby to obłok na wschodzie?
Czy może świt rannój zorzy?”
Nie, nie obłok to na wschodzie,
Wcale nie świt rannój zorzy.
To był stary Wajnamojnen,
Czarotwórca wiekuisty.

Podobnie w runie XVIII. Siostra Ilmarynena stojąc nad brzegiem morza, dostrzega coś na falach i tak mówi:

„Co tam czerni się na morzu,
Co na falach błękitnieje?
Czy ty jesteś stado gęsi?
Czy ty jesteś stado kacze?
Jeśli tak, to wzbij się w górę,
Wzleć wysoko na podniebie i t. p.”

Ulubioną formą dla wyrażenia smutku, w *Kalewali* jest rozmowa zasmuconych, z matką lub krewnymi:

„Czego płaczesz? czego się smucisz?”
„Jakże nie płakać, nie smucić się i t. p.”
Komuż tu nie zatętni w uszach owa piosenka ludu naszego:
Wyszła dziewozyna...
„Czego ty płaczesz, czego lamentujesz?
Dziewczyno moja?”
„Jak ja niémam płakać,
Niémam lamentować:
Nie będę twoja.”

Zbliżając się do kresu naszego sprawozdania, wspomnieć winniśmy jeszcze jedno z wielkich zgrupowań mitu ludowego: *Hiawatę*, edgę amerykańską, jak ją nazwał sprawiedliwie jej twórca, Longfellow. Do tego wspomnienia obowiązuje nas dziwnie blizkie pokrewieństwo, jak samej treści, tak i jej kroju. *Hiawata*, jak Wajnamojnen, jest dziecięciem samej przyrody, a za przodka swojego ma jeden z jej elementów. Ten rys jednakże nie upoważniałby nas dalej, jak do podciągnięcia *Hiawaty* pod przyrodzoną wspólność pierwotnych poglądów człowieka. Ależ pokrewieństwo nieskończenie dalej tu sięga. Dziecko żywiołów zostaje mistrzem ludzi, jak i Wajnamojnen. Obaj posiadają tajemnicę czaru i zażegnywania potęg świata. Obaj do półboskiego serca przygarniają braci, jakkolwiek indyjski bohater ukazuje się w warunku już *narodowym*, fiński tylko w plemiennym, na półspółecznym. Obaj pobudzają siły natury do pracowania i rodzenia dla człowieka: ten zasiewa lasy, tamten kukurydzę cudem wyprowadza z ziemi. U obu na równi duch stoi „za pan brat” z przyrodzeniem, w rajskiej jeszcze prostocie i ufności. Obu pochłania *lewiatan* morski, obaj czarują pieśnią świat żywy i umarły.

Nakoniec, ograniczając się w szczegółach, wspomnieć należy, iż obaj, w poczuciu, że ich oko nie przeniesie wschodzącego światła chrześcijaństwa, cofają się wgląd widnokregu, z którego wyszli, i chowają się w pozaświecie, dokąd i jednego i drugiego odwiozła łódka pożegnalna. Również uderzającym jest podobieństwo w wykładzie: ten sam rytm, dwuczłonkowość obrazów, też same powtórzenia wiersza „dzikie odświecienia,” jak je nazwał Longfellow (*the wild reverberations*). Doprawdy, mimowolnie nasunąłby tu się mogła myśl o zapatrzeniu się Longfellowa w epos Finnów, ale na szczęście: posiadamy dokonany przez Schoolcraft'a zbiór starożytnych legend indyjskich, z których snuł powieść swoją Longfellow, oraz, jak dowiadujemy się od wielu powag naukowych, podania o „proroku, zesłanym dla oczyszczenia rzek i borów” dotąd istnieją wśród plemion, zgniecionych przez zdobywcę, wypędzanych coraz dalej w stepy, a opłakiwanych dziś, jedynie przez poetę z plemienia *bialonogich!* Zamykamy rzecz ustępami jedynakiej treści, zaczerpanymi z *Kalewali* i *Hiawaty*.

Zkąd początek tych pieśni?

„Gdzieśmy słowa te zebrali?
Wszędy, wszędy je znachodzę...
Gdym pacholę niegdys młode
Po wygonach ganiał trzodę,
Lub na błoniach pasał krowy,
Pieśń mi gwarzył mróz zimowy,
Deszcze pieśń mi pluskotały:
Rozhukane morza wały,
Straszne wichry, dębów szumy,
Pobrzmiwały tęskne dumy;

Dzieckiem jeszcze, ptacy leśni
Wyuczili mię swych pieśni ¹⁾.”

„Zapytacie mię, zkąd te dzieje? zkąd podania? Oto z łąk i borów, od jezior Pólmocy, pieśniarz stary znalazł je w gnieździe leśnych ptaków, w tropie żubra, w skrzydłach orła; wszystkie ptaki je śpiewały i łyska i nurek i dzikie gęsi i t. d.” (*Hiawata*, pieśń I).

Tak: Hiawata i Wajnamojnen są głęboko spokrewnionymi z sobą, lecz i różnica jest głęboką.

Rozstając się z ojczyzną, obaj obiecują jeszcze wrócić kiedyś do niej, ale Wajnamojnen szydzi sobie z nowego cyklu, przed którym ustąpić musi, a na odchodnym zostawia ludom Suomi swoją kantełę (lutnię); Hiawata przyjmuje gościnnie apostołów białonogich i pozwala im zasnąć na swoim łożu; kiedy żegnał matkę, to żegnał ją pocichu, „aby snu gościom nie zakłócić.”

CIOTKA WAWRZYŃCÓWNA.

PRZYZYNEK DO CHARAKTERYSTYKI LUDU CZESKIEGO.

PRZEZ

Karolinę Świetłą.

PRZEŁOŻYŁ

Bronisław Grabowski.

— Gdzie człowiek dziś spojrzy, wszędzie sąsiedzi pracują już po gajach—mówiła ciotka Wawrzyńcówna, powróciwszy do izby z ogródka, gdzie przy płocie na ciepłym słońcu kwietniowym garnuszek wodzianki zjadła była na obiad—możeby i ja mogła dziś w naszym lesie zrobić trochę porządek.

Gospodarz obojętnie odpowiedział staruszce: jak sobie chcecie. Tak z nią obchodził się zawsze. Nigdy jej nie rozkazywał, ale też nigdy za nic nie dziękował; przez cały rok nie słyszała od niego uprzejmego

¹⁾ *Kalewala*; runa I-a, przekład Sew. z Żoch. Duchyński.

słowa, chociaż był to rodzoniutki syn jedynego jój brata i po nieboszczyku ojcu objął gospodarstwo Wawrzyńców, na którém ciotka miała dożywocie. Ciężko mu było trzymać ją w domu, a szczególnież żonie jego, kobiecie skąpój i bez serca. A jednakże staruszka, mając prawo do własnej komory, zadawała się najmniejszym ponad oborą kątkiem, gdzie obok swój starój malowanej skrzyni, miała liche na noc pierzyny. Nie wymawiała się od żadnej pracy, szanowała każdego z domowników, a swawolnym dzieciom zrzednego synowca nigdy złego nie powiedziała słowa, lubo przez nierozum i z namowy matczynój nie mało jój częstokroć dokuczły. Znana to rzecz, iż gospodarze nasi żadnego podatku z taką niechęcią nie płacą jak te trochę dożywocia ludziom, co taką jak i oni krew mają w żyłach.

Ciotka Wawrzyńcówna (tak ją nazywali ludzie, gdyż urodziła się w domu, nazywanym domem Wawrzyńców) wzięła z komórki grabie, miotłę i szufłę. Kroki swe skierowała do lasu, który należał do ich gospodarstwa; był to piękny kawałek gęstwiny o kilkaset kroków za wioską pod dziką rozpadliną, nad którą wznosiły się góry do samego nieba.

Według zwyczaju ciotka Wawrzyńcówna ochoczo i żwawo zabrała się do pracy; szła jój ona niby jakiejś młodej dziewczeczce, lubo wodzianka na obiad niezbyt ją na siłach była pokrzepiła. Zgarniała pod drzewa suche liście, zbierała chrust, który wiatry zimowe strąciły i układała go w kupki, kamienie zaś, przyniesione z gór nawałnicą, rzucała do szufli i zasypywała niemi wyboje, jakie wody wiosenne były wyżłobiły. Potém miotłą czyściła krótką jeszcze i lichą trawę, żeby ta lepiej rosła i żeby kozy niezadługo czém pożywić się miały.

— Z liści będzie pewno na cały tydzień podściołki—mówiła staruszka do siebie półgłosem, rozglądając się po lasku z zadowoleniem— a z chrustu, gospodyni będzie miała na kilka razy ogień do śniadania. Na wieczór pastuch będzie musiał z dziesięć razy zajechać z taczkami, aby odwieźć to, com przygotowała.

I ciotka Wawrzyńcówna, obcierając czoło z potu, uśmiechnęła się radośnie, choć z góry już wiedziała, że nikt nie uzna jój pracy. Naraz staruszka drgnęła i nadstawiła uszu.

— Co to? Jakiś dźwięk doleciał ją z daleka. Wprawdzie zauważała już była, że się zciemnia, lecz sądziła, że to wieczór się zbliża. Zaniepokojona szła na brzeg lasu i tam spostrzegła, że nad nią zwiesza się ciężka, czarna chmura. Wtém z chmury wypadła silna wężykowata błyskawica tak nagle i rażąco, że staruszce aż w oczach się zaśkrzyło.

— Święty Boże!—krzyknęła przerażona ciotka—to niedobra na tegoroczny urodzaj wróźba! Jeśli zdarzy się burza już przed św. Jermym, będą jeszcze zimna, a te zniszczą zboże na polu, kwiat zaś na drzewach zwiednie od błyskawicy.

Wtém, nad górami zaszumiało, zahuczało, jak gdyby dziewięć zek popłynęło pędem; szara, falująca chmura pokryła góry płachtą

tak gęstą, iż ani można było zmiarkować, gdzie się podziały. Ciotce wydało się, że były tylko rozpadliny i przepaście, ale góry same znikły bez śladu. Naraz spadła na ziemię szalona wściekła nawałnica, z straszliwym hukiem zrywała wszystko i wywracała, a drogi nagle w głębokie zamieniała potoki.

Staruszka oglądała się niespokojnie na wsze strony, gdzie się ukryć przed ulewą, aby jęj do szpiku kości nie przemoczyła. Gospodyni marszczyła na nią czoło, gdyby chciała wieczorem na żerdzi przy piecu suszyć swoją suknią płócienną, a gdyby położyła ją w spichrzu, grube jak worek płótno nie uschłoby tam do rana: musiałyby nazajutrz wziąć na siebie do roboty suknie świąteczne, a toby znowu innego rodzaju zgorzenie wywołało.

Gdy tak stoi zakłopotana, wzrok jęj zawadził o chałupkę, wciśniętą w rozpadlinę skalną. Przez potoki deszczu dojrzała, że przy okienku stał mężczyzna.

Znowu ciotka zrobiła znak krzyża świętego, lubo na ten raz nie błyskało się wcale, wszelako zaiskrzyło się jęj w oczach, jak gdyby u nóg jęj poseł boży w ziemię uderzył. Staruszka poznała, że przy okienku w domu w skalnej rozpadlinie stoi stary Daniel, człowiek w najwyższym stopniu po całej okolicy okryczany.

Ludzie nie nazywali go inaczej tylko „ancykrystem,” albo „szatanem,” a człowiek ten osławiony kiwał na nią, by przed wściekłością żywiołów w jego domu szukała schronienia.

Ciotka Wawrzyńcówna, trzymając szufłę nad głową, by się zakryć przed potokami wody z nieba spływającej, długi czas stała zakłopotana, nie wiedząc co ma wybrać, czy niechęć swęj gospodyni, czy schronienie, jakie jęj dawał człowiek tak okropny, przed którym zawsze na tysiąc kroków schodziła z drogi.

Staremu Danielowi ze strony ludzkiej nie działa się krzywda; był to naprawdę dyabeł wcielony. Nieustannie sarkał na Pana Boga, wyrzucając Mu, że niedobrze rządzi na świecie; nieraz bluźnił nawet poprostu, twierdząc, że nie miał po co stwarzać świata, jeśli na nim lepszego zaprowadzić porządku nie myśli. Mawiał, że pragnąłby dnia sądneho doczekać nie dla czego innego, tylko żeby zobaczyć, jak to wszystko zginie i przepadnie, i że wtedy dopiero, jak się należy, lekko zrobiłoby mu się na sercu.

Stary ten bezbożnik miał we wsi na dole piękną po rodzicach chałupę, ale sprzedał ją i w rozpadlinie skalnej lichy domek sobie uklecił. Nie podobało mu się wszystko piękne, to, co innych ludzi cieszy i raduje: nie mógł wokół siebie widzieć łąk kwitnących, złotego zboża na polu, drzew uginających się pod owocem. Jedynie rozpadlina skalna przypadała mu do smaku; wszystko zaś, co budziło się do życia, co rosło i kwitło, wstręt mu sprawiało. Nie znosił wokół swego nędznego legowiska ani ździebełka trawy; skoro tylko coś zazieleniło się między kamieniami, wnet to wyrwał, wyrzucił, rozdeptał nogą, aby i gdzieindziej przyjąc się i rosnać nie mogło; ilekroć zaś na wiosnę ja-

skółki chciały gnieździć się pod jego strzechą, zaraz je ztamtąd wypłoszył, zrzucił im gniazdko zaczęte i Nielitośną nogą zdeptał, aby po niem ani pamiątki nie zostało.

Ciotka Wawrzyńcówna unikała go, kiedy był jeszcze chłopcem, a gdy oboje podrosli, nigdy na zabawie nie chciała z nim iść do tańca. Nie mógł jęj ktoś więcej dokuczyć, jak kiedy utrzymywał, że Daniel ją z pomiędzy wszystkich dziewcząt wybrał sobie, że nikogo tak nie kocha jako ją. Już naonczas miał w sobie tylko szyderstwo, złośliwość i jad. Gdy ją brał za rękę, zdawało jęj się, jak gdyby ją kto rozpalonem żelazem oparzył, a on właśnie, gdzie mógł, chwycił ją za rękę, rozumie się, jak ciotka sądziła, po to tylko, by ją tém do złości doprowadzać.

Jakże nie miała namyślać się, czy ma próg jego przestąpić, zwłaszcza gdy przypomniała sobie mimowoli, co jęj onegdaj dopiero powiadał o nim grabarz, człowiek pobożny i poczciwy, który usiłował błędną tę duszę naprowadzić na drogę prawdziwego poznania. Grabarzowi Daniel miał mówić, że właściwie niema nic w niebie, że to co tam ludzie o tém prawią, jest niczém inném tylko kłamstwem i złudzeniem.

— Że nic niema w niebie!—myślała ciotka.—Gdzież ten błędnik podział oczy i rozum? Przecież naokół siebie musiał widzieć i czuć same dziwy i cuda.

I ciotka oburzyła się w duchu, patrząc w świętym gniewie na legowisko tego wcielonego szatana. Zkąd się to wszystko na świecie wzięło, jeśli tam niczego niema nad nami?

Naraz ciotka namyślać się przestała, sięgnęła do skórzanėj kieszeni pod szerokim fartuchem i znalazła tam szczęśliwie obok zeschtęj skórki chleba swój różaniec. Wprawdzie nie lękała się tego, by jęj kacerz mógł wyrządzić krzywdę na duszy, jeśli niecny próg jego przestąpi, wszelako rada była że ma przy sobie coś świętego, poświęcanego. Obwinąwszy różaniec koło ręki, szła śmiałym krokiem ścieżką, wiodącą do rozpadliny przez wodę, gwałtownie z góry pędzącą.

— Pochwalony Jezus Chrystus—pозdrowiła Daniela ciotka Wawrzyńcówna z naciskiem, zamykając drzwi izby, w której daremnie szukała oczyma kropielnicy, obrazu świętego, Chrystusa na krzyżu, wianeczków, co na Boże Ciało na monstrancyi wisiąły i wierzbowych prątków, w Kwietnią niedzielę poświęcanych.

Stary Daniel zapraszał ją za stół pod okienko, jak gdyby nie widział jęj badawczego wzroku i nie słyszał pobożnego pozdrowienia.

— Dlaczego tak długo wahałiście się wejść do mnie pod strzechę? Przecieżeście się mnie nie bali?

I stary Daniel chrapliwym głosem rozśmiał się tak straszliwie, iż ciotkę Wawrzyńcównę mróz przebiegł po kościach.

Tak zasyczał wąż w raj, gdy chciał kusić Ewę, pomyślała sobie, głośno jednak odrzekła stanowczo i z powagą:

— Ja nie boję się nikogo z ludzi, boję się tylko Boga, pod którego władzą wszyscy żyjemy. Wahałam się wejść do waszego domu dlatego, ponieważ sądziłam, że nawałnica tak gwałtowna długo trwać nie będzie. Całe popołudnie byłam w gaju i chciałabym już wracać do domu.

— Tam w domu na was czekają i wzdychają za wami—docinał ciotce „ancykryst,” a oczy zpod gęstych brwi błyszczały mu niby dwie iskry z piekielnej otchłani.—Oni martwiliby się bardzo, gdyby was ta nawałnica porwała i gdzieś na inny świat zanosła, zkądbyście do nich wrócić nie mogli.

Ciotka posepnie zwiesiła głowę.

— Tak źle o moich gospodarzach nie myślę—mówiła drżącym głosem, ale w duszy powiedziała sobie, że zgadł stary Daniel i żal jój się zrobiło, że taka niepiękna rzecz, tycząca się syna po rodzonym jój bracie wyszła na jaw, choć z tém jeszcze żywej duszy się nie zwierzyła. Wszelako stary Daniel, jak to już była zauważyła, patrzył ze swego okienka prosto w dół na dom Wawrzyńców, a złe jego oczy z pewnością wypatrzyły to i wysledziły, co, jak sądziła, dla wszystkich ludzi było tajemnicą.

— Choć sobie tak nie myślicie, tak jest wszelako—twierdził uporczywie stary Daniel, umacniając staruszkę w domysłach, że chytrze stosunek jój z gospodarzami wyszpiegował.—Mnie nikt nie oszuka; jak spojrzę na człowieka, już go do głębi duszy przenikam i wiem doskonale co się w nim dzieje. Ale dobrze wam, że gospodarze krzywią się na was, a dzieci ich poniewierają wami. Czegoście im zostali w domu na karku? Czegoście nie poszli zamąż? Teraz bylibyście na swoim, a gdyby wam dzieci nie dobrze służyły, śmiało moglibyście wygnać je na świat Boży między obcych ludzi.

Dziwnym sposobem głos zawiódł starego bluźniercę; chciał jeszcze coś dodać, ale jakoś mu przez usta wyjść nie chciało. Co to mogło być takiego?

Znowu ciotka spuściła smutnie głowę; zaiste pod strzechą starego Daniela nic przyjemnego jój nie czekało.

— No, czemuście za mąż nie wyszli?—ciągnął dalej śmiejąc się jak zwykle, ale teraz śmiech ów brzmiał jakoś niby z musu—przecież z pewnością mieliście kawalerów dowoli? O ile wiem, mogliście wybierać między nimi. Czyście jakoś nie byli pewni siebie i baliście się by się mąż o tém nie dowiedział?

Ciotka dumnie podniosła głowę do góry.

— Niemam powinności spowiadać się wam i oczyszczać się z waszego zarzutu, bezwstydnym starcze; aniśmy z sobą spokrewnieni, ani pokumani. Ale uczciwy człowiek ma zawsze i wszędzie obowiązek bronić czci swojej. Wiedźcie przeto, że dlatego nie wyszłam za mąż, żem komuś ślubowała.

— A więc to prawda, że chcieliście się pobrać z Frankiem Błażyną—mruknął stary Daniel ponuro spuszczacą pomarszczoną głowę

na piersi; naraz jednak krzyknął z podwójną złośliwością.—Kiedy Franek pojął inną, najprędzej dlatego, iż miała większe niż wy wiano, czemuście i wy nie poszli za innego?

— Przecież wam tylko co mówiłam, żeśmy sobie z Frankiem ślubowali. Tam pod sosną, na rozstajnych drogach, gdzie dotąd jeszcze wisi ten stary wielki krzyż, pewnego razu w nocy pomiędzy jedenastą a dwunastą z soboty na niedzielę, gdy na niebie świeciły wszystkie gwiazdy, które Bóg stworzył ludziom na uciechę, a Dzieciątku Jezus do zabawy, ślubowałam, że jemu tylko służyć będę w miłości i wierności, a nikomu innemu.

Trzeba było słyszeć, jak „ancykryst” zgrzytnął zębami, odpowiedź ciotki widocznie czarnej jego duszy wielce zaciążyła.

— Ale ożenił się przecież, wziął inną, bogatszą od was, którą więcej niż was kochał, a przeto zwolnił was odrazu i nazawsze od ślubu waszego.

— Człowiek niema mocy zwalniać człowieka od ślubu, w obliczu nieba uczynionego: ślub taki obowiązuje aż do grobu.

Stary Daniel zmarszczył czoło.

— Tylko dajcie pokój z tém waszém niebem—krzyknął na ciotkę—przecież tam nic takiego niema; to, co o niém gadają, wszystko to bajki dziecinne i kołowaczna babska.

I znowu spod siwych brwi dwie iskry piekielne wypadły.

— Gdyby tam nic nie było, zkądżeby się wzięło to wszystko, co naokoło siebie widzimy, zkądby to miało początek swój i przyczynę?

Pobożna staruszka zastąpiła się przed bezbożnikiem tarczą niezłomnego przekonania, mimo to jednak mocno ścisnęła obiema rękoma różaniec, aby jój Matka Boska nie opuszczała i pozwoliła znaleźć właściwe słowa, któreby błędnikowi ślepemu mogły stać się światłem, oświecającem drogę do prawdy.

Długo w izbie nie było słychać nic prócz pluskotu deszczu, szumu wód z gór z jednaką ciągle gwałtownością pędzących i cykotania starego zegaru, wiszącego na ścianie.

— Wszystko, co naokół siebie widzimy—począł stary Daniel głuchym głosem, który jak gdyby zamiast z piersi ludzkich z otwartego wychodził grobu—nie jest niczém inném, tylko dotykającym, zbitym, kolorowym dymem bez podstawy i trwałości.

I „szatan” zaśmiał się, niby w piekle jego brat rodzony.

— Czy znacie drzewo bez korzenia? Prawda, że nie znacie! Chociaż korzenia nie widać u drzewa, ponieważ siedzi w ziemi głęboko, aby pień oparł się wiatrom i burzom, wszelako każdy, komu idzie o to, żeby dostać się do korzenia, potrzebuje tylko zabrać się do roboty, a z pewnością do niego się dokopie. Według mego słabego kobiecego rozumu, świat ten ma gdzieś swój korzeń i to tam pewno, gdzie, jak powiadamy, jest niebo, a ludzie ślepi nie widzą go, ludzie zaś tępego i mdłego ducha nie mogą albo nie chcą dokopać się do niego, a słabsi i leniwy krzyczą w gnuśności swój i głupocie, że go niema i chcieli-

by ze wszystkiego zrobić taką bańkę migotliwą i pustą, jak ich własne sumienie.

Po tych słowach, które ciotka ze łzami w oczach i z zapalem przemówiła, w izbie starego Daniela znowu nastąpiło długie milczenie, przerywane tylko cykotaniem starego zegara i szumem i hukiem pędzącej z gór wody.

— Prześliczny, doprawdy prześliczny wyrósł płód z tego waszego niebieskiego korzenia! Ten świat powszedni—i to mówią „ancykryst” pogardliwie głową potrząsnął— to same kłopoty, nikczemość, zmartwienia; każda godzina swoją troskę przynosi, każdy dzień ma swe osobne strapienie. Doprawdy, niewielka będzie szkoda, jak kiedyś ten świat przepadnie u licha!

— Nie powiem, żeby na świecie zawsze było przyjemnie, ale gdyby tak ludziom bez ustanku dobrze się działo, czyżby nie popadli w pychę i rozpustę? Przecież przykład tego codziennie na bogaczach widzimy.

— Oh! być bogaczem i mieć możność wynosić się nad innych, nie potrzebować jako wielcy panowie nikogo, to przecież rzecz bardzo piękna, jedyna, która mi się na tym świecie podoba.

— Mówicie, że wielcy panowie nikogo nie potrzebują? Onegdaj widziałam w kościele naszą księżnę, panią młodą i piękną, i serdecznie żał mi się jój zrobiło. Tylko nie śmiećcie się jak wprzódy, powiem wam zaraz dlaczego, a z pewnością przyznacie mi słuszność, jeśli choć raz zechcecie być sprawiedliwymi.

— Doprawdy ciekawym, co mi powiecie — mówił szczerząc zęby przyjaciel i krewniak Lucypera.

— Tak jest, żałowałam bardzo téj bogatěj i wielkiej pani — obstawała przy swoim ciotka Wawrzyńcówna. — Choć podobno zdrowa jak ryba, przecież dwaj lokaje musieli ją wysadzać z powozu i wsadzać napowrót, nieśli przed nią książkę do nabożeństwa, a gdy chciała uklęknąć w ławce, położyli przed nią aksamitną poduszkę. Gdy wyszła z kościoła, zaraz roztworzyli nad nią parasol, żeby ją głowa od słońca nie rozbolała. Słyszałam, jak naokoło mnie mówiono, że zachorowałyby jednę chwilę, gdyby nie miała dzień w dzień pieczeni, ciast i wina, że bosó ani stąpić nie może, bo inaczej zaziębiłaby się i mogłaby umrzeć. Innych sukni nie weźmie na siebie prócz jedwabnych, a bielizny nie może mieć innej tylko batystową; płótno robione w ręku, podobno mogłoby pokaleczyć jój delikatną skórę. Ty, mój Boże, — pomyślałam sobie, idąc do domu śmiało i ostro, z nowemi trzewikami w ręku, żeby ich nie rozdeptać, — Ty, mój Boże! jakże Ci dziękuję, żeś mię żadną taką wielką panią nie stworzył! Mam lat siedm-dziesiąt bez pięciu; biegam, jakby mię wiatr nosił; nie czuję ani gorąca, ani zimna; wszystko mi jedno, co gospodyni na stół postawi: mam zimą i latem do roboty jedną płócienną suknię i zadowolona jestem, jeśli dziur na nięj niema. Poznałam wtedy więcej niż kiedyindziej, że nie to co mamy czyni nas bogatymi, ale to, czego mieć nie

potrzebujemy. Tój niedzieli, w południe, bosa, na kamienistój drodze, na upale, kurzawie, z czczym żołądkiem, czułam się doprawdy szczęśliwszą i bardziej zadowoloną, aniżeli ta księżna, która zmęczona, z zamkniętymi oczyma rozwalą się w swój złocistój karecie, do której nie wolno było ani słońcu zaglądać, ani wietrzykowi zakraść się pocichu. Przynajmniej tak mi wydawało się, kiedy ją widziałam, jak koło mnie przejechała. Cały wieczór chwaliłam Boga, że urodziła się w mierności pod słomianą strzechą, i że Bóg zamiast bogactw dał mi siłę i zdrowie, że nie potrzebuję by kto na mnie pracował i kłopotał się o mnie, że zawsze mogła żyć z pracy rąk własnych i na samej sobie polegać.

Długo starzec siedział przed staruszką w głębokiém zamyśleniu. Zaprosił ją do siebie bynajmniej nie z dobrego serca, bojąc się, aby na ulewie nie zmokła, ale dlatego tylko, jak to pewno odgadł już każdy, aby jój mógł porządnie dokuczyć. Miał-ci na nią oddawna chrapkę, nienawidził ją kiedy była dzieckiem pilnóm i pobożném, nienawidził gdy była młodą dziewczyną, celującą między innymi cnotą i rozsądkiem, kiedy gardziła nim, że nie miał pięknych obyczajów, spokojnego charakteru i poważnej mowy, i z tego powodu nic sobie nie robiła z jego wielkiego, intratnego gospodarstwa, gładkiej powierzchowności i przenikliwego umysłu. Głównie jednak nie zwracała nigdy uwagi na to, że Daniel nie chciał żadnej innój dziewczyny, tylko ją jedną, i że wolał zostać w bczczeństwie, aniżeli pojąć którą z jój towarzyszek, chociaż wszystkie byłyby chętnie poszły za jedynaka, syna zamożnych rodziców. Chciał jój dokuczyć, a tymczasem ona mu dogrzyła należycie.

— To wam musi być przykro, kiedy spotykacie Franka?—zapytał Daniel ze szkaradnym uśmiechem.

— Dlaczegoż miałoby mi być przykro? Przecież względem niego nie nie zawiniłam.

— Ale on względem was zawinił.

— Nie jestem jego sędzią i nie wtrącam się do jego sumienia. Zresztą, Frankowi dobrze się powodzi, a ja niczego nie pragnęłam nigdy, tylko żeby mu się dobrze wiodło.

— Wy umiécie wszystko obracać na dobrą stronę. To rozumié się samo przez się, że nie przyznacie się przedemną, co czujecie w sercu, kiedy przypomnicie sobie, że kiedyś chciał się żenić z wami.

— Chętnie o nim wspominam—mówiła ciotka ze łzami w oczach—i dotąd dziękuję Bogu i Frankowi, że mi dozwolonóm było przeżyć naonczas tyle chwil radosnych. Poraz pierwszy widziałam Franka na weselu w sąsiedniej wiosce. Było to w zimie, jechaliśmy z tatusiem saniami. Tak mi zdaje się, jak gdyby to było wczoraj dopióro; dotąd jeszcze widzę samą siebie jak w zwierciadle. Miałam na sobie suknię czarną jedwabną, kapotkę i fartuch także jedwabne, ale stalowego koloru. Podobałam się każdemu, najwięcej jednak Frankowi. Wyszedł naprzeciwko nas do sieni, jako najstarszy pomiędzy družbami; miał

obowiązek gości do izby wprowadzać. „Witam cię, druchno!” mówił do mnie słabym głosem, jak gdyby go kto ścisnął za gardło. Więcej nie mógł wyrzec ni słowa, ale ja poznałam zaraz, że mu głęboko wpadła do serca. Wziął mię za rękę i od tej chwili przez cały dzień ręki mojej nie puścił. Ktoby to był powiedział, że z inną pójdzie do ołtarza?

I na rzęsach ciotki zdrząły dwie łyzy wielkie i ciężkie. Wstała od stołu i dodała:

— Bądźcie zdrowi; dęszcz ustaje, muszę wracać do domu. Gospodyni zechce ogień do wieczerzy rozniecić, muszę jej garstkę suchych szczypek przygotować.

Stary Daniel zatrzymywał ją przy stole.

— Pozostańcie tu jeszcze kilka chwilek—mówił do ciotki z niezwykłą sobie miękkością — tak prędko jak z wami jeszcze mi nigdy czas nie upłynął, choćby nawet z grabarzem, a przecież z nim rąbiemy się co się zowie. Czy wiecie co mi przyszło do głowy, kiedy słuchał waszego opowiadania? Przypomniałem sobie, że się starzeję i że potrzebuję kogoś przy sobie, coby nietylko posiedział zemną dla zabicia czasu, ale jeszcze pielęgnował, gdy mnie spotka choroba, coby mnie nakoniec do czarnej ziemi ułożył. Jak żyję na świecie, jeszcze od nikogo nic darmo nie żądałem, wiem, że każdego serce pełne jest chciwości. Chciałem właściwie wszystko to com za życia uskładał, rzucić gdzieś do wody, by tego ktoś czasem nie wytropił, skoro poczuję, że mój koniec blizki, ale teraz rozmyśliłem się inaczej.

Daniel zerwał się, pobiegł do pieca, wyjął ze ściany kamień, a oczy ciotki Wawrzyńcówny uderzył stos srebrników.

— To wszystko będzie wasze—mówił do niej—jeśli przeniesiecie się do mnie niezwłocznie, abyśmy razem gospodarowali. Jeśli zechcecie, mogę z wami nawet iść w kościele do ślubu: tożto będzie ludziom uciecha, kiedy zobaczą przy ołtarzu „ancykrysta“ z największą w całej okolicy nabożnością.

I stary szatan roześmiał się tak głośno, iż teraz ciotkę na dobre zdjęła trwoga. Wstała z powagą i z powagą pokręciła głową.

— Czyż wam już nie powiedziałam, iż zrobiłam ślub święty, że tu na ziemi nie będę służyła nikomu innemu tylko jednemu Frankowi?

Stary Daniel drgnął z niecierpliwości.

— Przecież Franek ma żonę, porządnie młodszą od niego, a przytém zdrową podobno jak ryba, pewno ona go przeżyje; niemacie więc co myśleć nawet, żebyście jeszcze kiedyś z nim pobrać się mogli.

— O niczém podobném nie myślę, nie czekam niczyjjej śmierci; owszem, życzę każdemu zdrowia i długiego na ziemi żywota: ale ślub jest ślubem.

I ciotka Wawrzyńcówna obstawała przy tém nieugięcie i nieodstąpiła ani na krok od swego postanowienia, chociaż stary Daniel, jako prawy potomek owego chytrego szkódnika, co na pustyni przystąpił był do Chrystusa Pana i kusił Go, odmalowywał jej w najpobawniej-

szych kolorach, jak się będzie dobrze u niego miała, jak będzie żyła przy nim w obfitości i jakie dostatki po jego śmierci zabierze.

Kręcąc głową i szydząc z jej prostoty, a nie wierząc, by przy swoim wytrwała, niebezpieczny dusz ludzkich zwodziciel puścił w końcu ciotkę Wawrzyńcównę.

— Rozmyślcie się inaczej — wołał na nią przez okno wzgardliwie — gdy gospodyni pocznie o was przy krajaniu chleba zapominać, a dzieci wyrzucają wam pierzyny do wozowni, abyście tam sypiali. Wtedy przypomnicie sobie to, co wam dzisiaj powiedziałem, zbierzecie manatki i przyjdziecie prosić pod mémi drzwiami, abym i ja przypomniiał sobie dzisiejsze moje słowa. Ale jako wy teraz udajecie głuchą, tak i ja głuchym zostanę: nie będę miał litości, będę śmiał się z was, gdy ztąd zobaczę, jak tam w domu najgorszą wkładają na was pracę, jak was przesładują od najstarszego aż do najmłodszego, jak skręcacie za płot od ogrodu, aby zapłakać w cichości. O, jakże będę śmiał się, jakże będę się cieszył z waszego poniżenia i poniewierki.

Ciotka nie dała zbić się z tropu.

— Niech mi się stanie to, co mi prorokujecie, niech się zatrapię między swojemi, nie odstąpię od tego, com Bogu przed wszystkiemi gwiazdami ślubowała.

— Ale przecież tam nad temi gwiazdami nic niéma, wierzcie rozumnemu człowiekowi, który przez całe życie nic innego nie robił, tylko badał te rzeczy i próbował umysłem nieuprzedzonym, babskimi wymysłami nie wykoszlawionym.

Ciotka Wawrzyńcówna wskazała tryumfująco ręką na tęczę, która niby most błyszczący wspaniale ponad ciemnymi w dali borami, przez cały widnokrąg pokryty chmurami, wyginała się z jednego końca nieba na drugi.

— Oto znak przymierza pomiędzy duchem świata a nami śmiertelnymi! — zawołała pełna radosnej dumy, ale już nie obejrzała się, spieszyła do domu, drząc cała od niedoznanego jeszcze nigdy wzruszenia, niecierpliwie pragnąc dostać się coprędzej do łózka, aby przy modlitwie zapomnieć o wszystkiém, co pobożna jej dusza dnia dzisiejszego usłyszała bluźnierczego i niezwykłego doznała.

Ciotka Wawrzyńcówna owego wieczora nie doczekała się chwili spokoju, w której mogłaby całą duszą oddać się pobożnemu rozmyślaniu. Skoro weszła na podwórze, gdzie gwałtowna nawałnica głębokie wyłobila bruzdy, usłyszała straszliwe w izbie narzekanie.

Gospodyni chciała na drugi dzień robić masło i przygotowywała potrzebne ku temu naczynia. Aby rano nie tracić czasu na mycie i wyparzenie, postawiła wszystko na podwórzu, żeby wyschło. Naraz spada ulwa. Gospodyni szczęśliwie zabrała wszystko do izby oprócz kierzni, którą woda unosić poczęła. Pobiegła za nią, lecz silny prąd wody bił ją po nogach, poślizgnęła się, nie mogła się utrzymać i upadła tak nieszczęśliwie na kamień z gliny sterczący, iż mąż zaniósł ją do izby omdlałą i bezwładną. Dzieci z straszliwym krzykiem otoczy-

ły bezprzytomną matkę, której z głębokiej rany na skroni krew płynęła. Ciotka Wawrzyńcówna przybiegłszy do łóżka gospodyni swojej, niesłuchanie przeleżała się jej zemdlenia, bladeści, oraz siniej barwy, która coraz więcej twarz jej powlekała. Wnet poznała, że to cień nieubłagany ręki śmierci, która dzieckom płaczącym tak gorzko, matkę porwać zamysła. Usiłując jednak panować nad sobą, próbowała wszelkich znanych sobie środków w celu zatrzymania krwi z rany płynącej. Przykładała na rozciętą skroń pajęczynę, talar z krzyżem św., kawałek jaskółczego gniazda, kwiat czarnej dziewanny, ale wszystko to na nic się nie zdało. Daremniemi także były zażegnania guślarzyki słynnej w całych górach, do której ciotka najstarsze z dzieci posłała; a gdy lekarzowi, po którego wyjechał gospodarz do miasta, udało się krew zatrzymać, gospodyni na kilka zaledwie minut oczy otworzyła. Nieprzewyciężona niemoc znowu ją powaliła na łożo, a w niemocy tej gasła cicho i powoli, niby płomyczek kagańca, któremu zbrakło oleju.

Nie spodziewała się ciotka Wawrzyńcówna, że odprowadzi gospodynię swą do grobu; wielce bolała nad tém i to tém więcej, iż cała cicha praca domowa i troska około rodziny, spadły na stare jej ręce. Robiła co mogła, krzątała się o ile sił jej starczyło, ale cóż kiedy starych lat przerobić już niepodobna było. Gospodarz uznawał, że nad siły staruszeki było to, co na nią spadło; poszukiwał więc jakiej młodziej pomocnicy, ale żadna do niego iść do służby nie chciała; zanadto znano go jako nieprzyjemnego zrzędcę, a dzieci jako rozpieszczonych swawolników.

Łatwo sobie każdy wyobrazi, z jaką szatańską radością Daniel poglądał przez las na dom Wawrzyńców, ze swój w rozpadlinie jamy. Po całych godzinach nie odchodził od okienka, śledząc z zadowoleniem, jak jego współzawodniczka musiała krzątać się po podwórzu i ogródku, jak wielokroć dziennie wchodziła do obórki, upadając pod brzemieniem szufl z otrębami, albo pod świeżą trawą dla bydła, którą ciężką kosą własnymi musiała narznąć rękoma; jak tyle razy wchodziła do wozowni z drzewem wyschlęm na słońcu, które tam na zimę, w kupki układała, jak znowu szła do stodoły, aby powoli w niej wszystko na przyszłe żniwa przygotować.

— O! przyjdzie ona do mnie, tylko co patrzeć—mówił chichocząc do rozpuku—może dziś jeszcze wieczorem zakołacze do drzwi, płacząc i narzekając, że tej u synowca pańszczyzny dłużej już nie zniesie, prosząc, bym się zlitował nad nią i spełnił to, com chciał dla niej uczynić onegdaj, gdy ją tu ulewa zapędziła. Ale napróżno, napróżno prosić mnie będzie: nie będę miał nad nią litości. Niech jej pomoże ten, którego, jak powiada, widzi i czuje we wszystkim, na co spojrzy, o czém pomyśli. Niech przekona się ta uparta nabożnisia, czy czuwa nad nią ów opatrzny obrońca, bez którego, jak powiada, włos człowiekowi z głowy nie spadnie; niech przekona się nareszcie, czy rzeczywiście coś podobnego istnieje.

Ten złośliwy monolog staremu szkodnikowi przerwał naraz odgłos drobnych, żwawych kroczków, które zbliżały się do jego legowiska, po stromej ścieżce z gór do rozpadliny wiodącej. Daniel ze zdumieniem nadstawił ucha, czyje to mogły być kroki? Tą stroną ludzie nie chodzili przez góry, nietylko z powodu przykrój drogi, ale i dlatego, by nie przechodzić koło mieszkania człowieka, o którym cała okolica myślała, że jeśli nie pozostaje w bezpośrednich z piekłem stosunkach, to przynajmniej już do piekła należy. Może bytło jaki sąsiad, który bawiąc w handlowych interesach poza górami, a otrzymawszy z Niemiec pilne zamówienie drobiu, lub zwierzyny, albo przedży, albo też wreszcie dartego pierza, śpieszył najkrótszą drogą do domu, by co prędzej załatwić interes i mało dbał o to, że rozpadlina prowadzi tuż obok mieszkania wyklętego bluźniercy. Ale pod skałą nie ukazał się handlarz drobiu, była lub masła, ale całkiem nieznaną Danielowi dziewczyną, z obcej wsi, dwadzieścia mniejwięcej lat licząca, smukła, z powagą w twarzy, zadumanym spojrzeniem, z wielkim węzełkiem sukien i bielizny pod pachą.

Stanąwszy tuż pod okienkiem, które każdy z miejscowych z takim wstrętem omijał, nie oglądając się ani na prawo, ani na lewo, zapytała starego Daniela głosem dźwięcznym i tklwym:

— Którędy droga do Wawrzyńców?

Stary Daniel zmierzył dziewczę surowym wzrokiem.

— Czego tam szukasz?—zamiast odpowiedzi szyderczo ją zapytał.

— Słyszałam, że tam potrzebują służącej—odrzekła z westchnieniem—spuszczając ku ziemi wielkie ciemne oczy.

Stary Daniel znowu ją zmierzył swém ostrém śledczém spojrzeniem.

Ubiór czarnookiej dziewczyny był porządny i dobrze uszyty z materii, jak na wieśniaczkę drogich, nawet zbyt kownych; na szyi miała sześć sznurków dobrych granatów, a między nimi trzy wielkie dukaty.

— Tegom się nie spodziewałam—ozwał się stary bezwstydnik szyderczo—że mię córka Franka Błażyny kiedyś pytać będzie, którą najkrótszą drogą do służby! Czyście nagle mienie stracili, że ci ojciec nie może dać wiana i zamiast chłopca poszukać, do służby posyła? Czy może przypadkowe podobieństwo mię myli i ty nie jesteś z rodu Błażynów?

Na te natrętne pytania, dziewczę poczerwieniało jak ogień.

— Tak jest—odpowiedziało z dumą—jestem z rodu Błażyny, najmłodszą z jego siedmiu córek, Milda mi na imię. Idę do służby nie dlatego, że ojciec mienie postradał i nie może mi dać wiana, owszem, dobrze nam się wiodło i ojciec dokupił wielki kawał łąki i lasu. Ale idę do Wawrzyńców do służby, aby, o ile można, wynagrodzić krzywdę, którą ojciec mój w młodszych latach wyrządził staruszce, żyjącej tam na dożywocie. Jak słyszę, w skutek śmierci gospodyni spa-

dły na nią wszystkie kłopoty domowe, a ja postanowiłam uwolnić ją od nich.

Bezbożnik spojrział na nią ze zwykłym sobie szyderstwem, które widocznie dziewczynę bardzo niemile dotknęło, gdyż, zaczerwieniwszy się poraz drugi po uszy, mówiła prędko:

— Ciotka Wawrzyńcówna i mój ojciec ślubowali sobie w młodości, że się pobiorą, a ciotka przysięgła mu, że nikomu innemu prócz niego w miłości i wierności służyć nie będzie. Ciotka Wawrzyńcówna dotrzymała wiernie swój obietnicy i przez wzgląd na mego ojca, odrzuciła wielu bogatych i porządnych kawalerów. Inaczéj postąpił sobie mój ojciec. Dał się zaślepić bogatém mojej matki wianem i opuścił kochankę wierną i rozsądną. Przy dobrej żonie wiodło mu się nieźle, ale nikt go nigdy naprawdę wesołym nie widział. Gdzie się tylko ruszył, wszędzie ciążyła mu jego niewierność, ciążyła i mnie także, skorom się o nią dowiedziała; od téj chwili niéмам pokoju i aby ulżyć swéj duszy i oczyścić pełne zgryzot sumienie ojca, stojącego nad grobem, idę znosić dobre i złe, razem z dawniejszą jego narzeczoną i służyć jéj tak, jak ona zamierzała służyć memu ojcu, nie odstępować jéj w ostatniej chorobie, czuwać nad jéj skonaniem, po śmierci zamknąć oczy, ubrać ją do trumny, usłać ostatnie posłanie i ze łzami i z modlitwą odprowadzić do grobu, jakby jéj wierna, miłująca córka rodzona.

Stary Daniel, słuchając tych słów, nie przestawał uśmiechać się pogardliwie i głową potrząsać.

— A ja ci powiem coś innego, kochanko—mówił do pobludłej dziewczyny.—Kawaler porzucił ciebie, dla innej bogatszej, tak, jak ojciec twój porzucił był tę starą nabożnisię dla twojej matki.

— Mylicie się, najzupełniej się mylicie!—zawołała gniewnie dziewczyna—nie porzucił mnie narzeczony dla jakiejś bogatszej lub piękniejszej, ale ja porzuciłam mego narzeczonego, ponieważ nie wiedziałam w nim tego, czegom przedewszystkiém od przyszłego męża wymagała. Z początku bardzo mieliśmy się ku sobie oboje, ale kiedy mu wspomniałam, że myślę wziąć do siebie ciotkę Wawrzyńcównę, nigdy mi na to nie dawał odpowiedzi, a gdy pewnego razu spytałam go poprostu, dlaczego milczy na te moje słowa, poprostu mi oświadczył, że nie myśli pokutować za winę mego ojca i że obcego człowieka nigdy nie przyjmie do swego domu. I z niesłychaną poznałam przykrością, że niéma on tak szlachetnego serca, jak zawsze sobie myślałam i poznanie owo wielce mnie zmartwiło. On zauważył to niebawem i coraz przykrzejszemi słowy łajał mnie za mój nierozum, za moję względem niego niesprawiedliwość... Co wam będę długo prawić, dość, że wkrótce przestaliśmy rozumieć się wzajemnie, a ja bynajmniej nie starałam się powolnością załagodzić sprawy, nie był on bowiem takim, za jakiego miałam go. Przestał chodzić do nas, a ja go wcale nie zapraszałam. Postanowiłam więc sobie dla uspokojenia rozżalonego serca, iść za ciotkę Wawrzyńcównę do służby.

Stary Daniel zmrużył jadowite swe oczy tak okropnie, iż zdawało się, że z nich same iskry się sypią.

— Gospodarz u Wawrzyńców jest wprawdzie wdowcem, ale czterdziestka dawno mu już minęła. Nie byłci on nigdy ładnym chłopcem, ale teraz nawet najlichszy w okolicy parobek nie wygląda tak lichy jak on. Jeśli przyjdzie tam, gdzie go nie znają, każą mu czekać w sieni, a od czasu, jak jest wdowcem, jeszcze żadne z naszych dziewcząt nie zapraszało go do siebie, a to coś zawsze znaczy. A panny nasze wyglądają ślubu niby zbawienia. Niewiele tu zyskasz, kochaneczko droga, a nie będziesz miała czém pochwalić się przed ludźmi.

I stary dyabeł zęby na dziewczynę wyszczerzył.

Z oczu Mildy wypadła na bluźniercę taka błyskawica, iż mimowolnie cofnął się od okienka.

— Wyście to zapewne ten, którego tutejsi ludzie nazywają szatanem, ponieważ zaprzecza, by w ludzkich sercach coś dobrego urodzić się mogło?

Zapytanie to zrobiła tak wyniośle, że staremu Danielowi przytrafiło się to, czego jeszcze nigdy, o ile zapamięta, nie doświadczył; zarumienił się wobec Mildy, jakby żak jaki.

— Tak, tak!—wyjąkał zakłopotany starzec—jak sędzę, tak mię nazywają niektórzy prostacy, którzy więcej innym wierzą, aniżeli własnym oczom, własnemu doświadczeniu, własnemu przekonaniu.

— Ktoby się tam sprzeczał z wami—rzekło dziewczę, dumnie wznosząc głowę do góry.

— Szalony ten, kto szydercom pozwala ściągnąć się z drogi prawdy.

I dziewczę, odwróciwszy się ze wstrętem od bluźniercy, o którym przez góry wieść aż do jej domu doleciała, nie czekało już, by jej wskazał, którędy coprędzej dostać się do Wawrzyńców. Biegło prosto na dół, aby, jak się zdaje, co prędzej uciec od tak strasznego człowieka.

— Zadzieraj nosa do góry, zadzieraj, ty pyszałko!—wołał za Mildą starzec drząc ze złości—niezadługo jednak wyjdzie na jaw, po co wynosisz się za dożywnicą, czego szuka rozżalona dusza twoja, czy pociechy w dopełnieniu obowiązku, czy téż rozpusty i hulanki tam, gdzie cię nikt nie zna. Zabłądziłaś tutaj, aby uniknąć dozoru rodzicielskiego, porzuciłaś narzeczonego, bo nie dość ci na jednym mężczyźnie, chciałaś mieć kochanków we wszystkich, co ci wpadną w oko. Zobaczmy my to niezadługo, co cię do nas przywiodło, usłyszę ja i tutaj, jak będziesz biegała na tańce, z parobkami wóczyła się po nocach, straszyla narzeczone i żony...

Milda zatrzymała się na chwilę i z niewysłowioną pogardą zwróciła się ku staremu Danielowi.

— Jakże moglibyście wierzyć, że w ludziach jest coś dobrego, kiedy w was nic podobnego niema—odparła ze szlachetną godnością.

Błądnik wściekle zgrzytnął zębami, tak do żywego nikt mu jeszcze nie był dopieklł, jak to młode, niedoświadczone dziewczę, a przecież wiódł był spory z proboszczami, urzędnikami i nauczycielami. Z każdego sporu wynosił tryumfujące przeświadczenie, że jeśli przeciwnika swego nie przekonał, to przynajmniej zaszczerpił mu w duszy cierń, którego ten nie prędko się pozbędzie, ale który długo tam boląc i zawadzać będzie.

— Tylko miej się na baczności, ty obłudnico!—wołał za nią, kipiąc złością i wściekłością—możesz każdemu zatkać oczy i uszy, ale nie staremu Danielowi. Ja czuwać będę i żaden twój zamiar, żadna chytrosć i obłuda nie ujdą mego oka. Wszystko wysledzę, a kiedy najmniej spodziewasz się tego, roztrąbię po świecie, czém się wydajesz i czém jesteś...

Ale Milda nie obejrzała się wcale, poczytując potwarczego starca za niegodnego odpowiedzi. Poważnie, wolnym krokiem szła do wioski, a rozejrzawszy się po dolinie, nie rozpytując się już więcej, zmierzała prosto do domu, gdzie miała wejść do służby, aby dopomódz staręży żywotnicy i aby zapomnieć narzeczonego, który tak mało miał w sobie uczucia i litości i na którym serce jęj tak boleśnie się zawiodło.

Łatwo się każdy domyśli, że stary Daniel dotrzymał swojej obietnicy i teraz dopiero zważał na wszystko, co się w domu Wawrzyńców działo.

Milda rzeczywiście została w służbie; wszystkie ciężkie, męczące prace, które w ostatnich czasach wykonywała staruszka, na co Daniel z taką radością poglądał, teraz spełniało dziewczę rażno, jak sarenka, a w każdym jęj kroku znać było ochotę i zadowolenie ze swęj roboty. Ciotka Wawrzyńcówna siedziała teraz wygodnie pod jabłonią w ogrodzie, skrobiąc tam przed południem kartofle na obiad, po południu zaś z wielkięj, staręj ksiązki odmawiając modlitwy.

Milda na inną pracę staruszce nie pozwalała. Daniel często oczyma bystręmi, jak u rysia, widział, jak staruszka za dziewczyną, biegającą tu i tam, jak fryga, robiła znak krzyża świętego, a zółć kipiła w nim, gdyż zdawało mu się, że aż do niego szept jęj błogosławieństwa dolatuje; zdawało mu się, że przed nim migocze odbłask tego błęgiego spokoju, oprzemieniającego duszę staruszki, która tak nagle i niespodzianie najtroskliwszą córkę była znalazła.

Nie chciał „ancykryst” własnym wierzyć zmysłom, uporczywie utrzymywał, że to nie prawda, co na własne widział oczy. Nie mógł wytrzymać, przemógł samego siebie i kilkakrotnie ciemnym wieczorem wylazł ze swęj dziupli i ostrożnie, aby go kto nie spotkał i nie poznał, skradał się do domu, niby lis, obchodzący gołębnik, stawał pod oświetlonęmi oknami izby, rzucając na nią chciwe spojrzenia. Wszelako widział to tylko, co za dnia w ogrodzie; wzrok jęgo napotykał jedynie obraz cichy i rozkoszny: ciotka siedziała na stołku obok półki, poglą-

dając z upodobaniem na stół, przy którym Milda z dziećmi albo przebiegała groch lub soczewicę, albo też darła pierze.

Rzadko kiedy zwracała pracowita Milda marzycielskie swe oczy na staruszkę, która starała się domownikom wieczorne uprzyjemniać chwile, opowiadając im jakieś dawne zajmujące zdarzenie, albo też podania, powoli w pamięci młodszego pokolenia niknące. Milda nie zwracała uwagi, że gospodarz, palący fajkę pod piecem, nie spuszcza z niej oczu, nie zauważyła, że za pługiem nie chodzi już tak zgarbiony, że coraz bardziej zapomina zrzędzić i marudzić, że dba o swoją powierzchowność, jak jeszcze nigdy nawet za lat młodszych; nie zauważyła, że kupił sobie takie suknie odświętne, jakich niemiał żaden wieśniak w okolicy, a w których wyglądał nietylko o połowę młodszy, ale nawet jak narzeczony przed ślubem. Tębardziej wszakże zauważył to stary Daniel, kipiąc coraz bardziej gniewem, że się jeszcze nie spełnia jego proroctwo, że zamyślona Milda ciągle siedzi w domu, bawi się z dziećmi, pilnuje obowiązku, a jeśli kiedy po wieczery przed północą do łóżka wyjdzie z domu, to stąpa tylko powoli nad potokiem po łące i pocichu, ukradkiem gorzko zapłacze nad tęp, że słodki sen młodocianej miłości nie wypełnił się tak, jak sobie tego była życzyła.

Stary Daniel myślał, że na dobre rozchoruje się ze złości, gdy pewnego dnia rano usłyszał wesołą muzykę w dolinie i huk uroczystych strzałów i ujrzał drużynę weselną, wracającą z kościoła. Na jej czele postępowała blada Milda, poglądając zafawionemi oczyma na dwu pięknych, wystrojonych chłopców, którzy ją, jako drugą ukochaną matkę, z widoczną dumą prowadzili do domu. Tak długo prosiły ją były dzieci, aby ich nie opuszczała, aby na zawsze została przy nich, zwłaszcza dziewczątko, które teraz prowadząc uśmiechniętego od szczęścia ojca za rękę, niosło w drugiej ręce poduszkę z rozmarynowym na niej wieńcem. Tak długo ścisnęło ją było za szyję, aż Milda rozplakała się rzewnie i przyrzekła, że nie opuści ich do śmierci i że przywiązanie ich każdą inną miłość jej zastąpi.

Wszelako stary Daniel niedługo się gniewał.

— Teraz to zobaczymy, teraz dopiero zobaczymy—mówił ze śmiechem co rano i co wieczór, stojąc przy oknie na czatach.

Stawał tak na wywiadach całe dnie, tygodnie i miesiące i nie dopatrywał nic innego nad to, co mu dawno było znanem. U Wawrzyńców ludzie żyli ciągle w zadowoleniu i spokoju. I teraz młoda gospodyni nie ruszyła się z domu, przy robocie była pierwszą i ostatnią, a gdy pewnego razu „szatan” przez kilka dni nie widząc jej koło domu, znowu cieszyć się zaczął, że teraz w końcu poleciała na odpust, gdzie będzie hulala do woli, toż się dopiero zawiódł. W piękny dzień niedzielny po południu pokazała się mu znowu nad potokiem, na kwitnącej łące i niosła coś w różową zawiniętego pierzynkę, białą chustką zasłoniętego od słońca, coś, co z wyrazem szczęścia i radości przyciskała do serca. A gospodarz odmłodniały, z rozpromienionem obliczem, w którym przebijało się toż samo uszczęśliwienie co i w jej twarzy, przystą-

pił za nią na paluszkach i objąwszy ją w pół ręką, usta swe do jęj czoła przycisnął, a ona przytuliła się do niego z zaufaniem i miłością.

Widok ten przeszył jego stare, pełne zawiści serce, niby rozpalonym prętem żelaznym. Padł na zydelek stojący pod oknem i do wieczora nie ruszył się z miejsca. Siedział tam niby skamieniały i tak siadywał dzień w dzień ponuro, z głową na piersi spuszczoną, z oczyma odwróconemi od okna.

Ani razu nie wyszedł na próg, aby wołać na przechodniów i natrząsać się z ich wiary. Sąsiedzi zauważyli to i zdumieni pytali jeden drugiego, co to ma znaczyć. Wszelako gdy „szatan” pozwolił na wiosnę muchołowce ulepić gniazdo pod belką, tuż prawie nad ulubioném jego niegdyś okienkiem, gdy dopuścić, by trawa rosta między kamieniami pod progiem, ba, gdy nawet tuż obok drzwi wykwił cały pęk modrego, jak niebo rozchodniku, a on takowego nie wyrwał i nie zdeptał: ludzie poczęli domyślać się, że coś krucho z Danielem i wyprawili grabarza, aby przekonał się, czy stary błędnik nie mięknie w swęj ztwardziałości i czy nie zamyśla czasem o pokucie.

Ulegając ich wezwaniu, grabarz udał się do słynnego kacerza, lubo zarzekł się był, że nigdy już progę jego domu nie przestąpi; za ostatniój u niego bytności miał z nim spór tak gwałtowny i zacięty, że zapomnieć go nie mógł, ciągle mu tkwił w mózgu i serce toczył. Tak szkaradnych błędów, jak naonczas, stary Daniel nigdy jeszcze przed nim nie był wypowiedział.

Grabarz znalazł posiwiątego grzesznika wychudłym, żółkłym, skurczonym na łożku.

— Wam jakoś niedobrze?—rzekł, przystępując do niego.

Bezbożnik długo nie ruszył się z miejsca i milczał uporczywie.

Grabarz lubo gniewał się nań niemało, wszelako żał mu go się zrobiło, gdy słyszał, jak Daniel ciężko i nierówno oddychał.

Nakoniec starzec słabym ruchem ręki wskazał na piec.

— Weźcie więc sobie to, co tam za tym poczerniałym kamieniem znajdziecie—mówił głuchym głosem. Chciałem to rzucić gdzieś do jamy i tam zasypać, albo wpakować do wody, by to sobie zabrała i nikt nie dostał ni grosza z tego, co po mnie zostanie...

Grabarz nie wiedząc czego się trzymać, przystąpił do pieca, gdzie ruszył kamień oznaczony, który łatwo się wyjmował. Wielce się zdziwił, ujrawszy w otworze owe srebro, które naonczas tak mało na ciotce Wawrzyńcównie zrobiło wrażenia.

— Co mam z tém robić?—zapytał grabarz zdumiony.

Stary Daniel znowu milczał uporczywie i długo grabarzowi kazał czekać na odpowiedź, nie chciała mu wyjść przez usta, zawsze tak zacięte i zuchwałe.

— No, więc w mojem imieniu—powiedział z wysileniem, spazmatycznie odwracając się ku ścianie—no, więc w mojem imieniu dajcie to... na szkołę...

Grabarz sądził, że się przesłyszał, albo, że stary Daniel majaczy w chorobie. Czekał niecierpliwie, że ten słowo swoje odwoła i że śmiać się będzie z samego siebie i z tego co powiedział, nie chciał bowiem chwycić go za słowo i dawać choć trochę poznać, że do niego jakąś wiarę przywiązuje. Ale głośny błędnik i kacerz okrzyczany nie pisał ni słówka, a gdy zniecierpliwiony w końcu grabarz nachylił się nad nim, aby z^ust jego nabyć pewności, na co pieniądze przeznacza, czy rzeczywiście zamierza poświęcić na wychowanie tych istot, na jakie zawsze wymyślał, co się zmieści, przeklinając je ryczałtem razem z tym światem, na którym się urodziły, z tém niebem, co było nad nimi: usłyszał tylko szept, przerywany głębokim bolesnym westchnieniem, a w szepcie tym rozeznał jedynie te słowa:

— Widać jest coś takiego...

Nim wieczór zapadł, stary Daniel swój zacięty, niezmordowany, szalony bój z doczesnym żywotem zakończył.

Z DZIEDZINY PRZYRODOZNAWSTWA *).

Ks. Renard i J. Murray zakomunikowali sekcji geologicznej Stowarzyszenia Brytańskiego ¹⁾, którego sesya odbyła się r. z. w Sheffield, rezultaty badania materyałów добыtych z dna centralnego oceanu Spokojnego, przez wyprawę naukową okrętu „Challenger“ (Napastnik). Przestrzeń, z której pochodziły dostarczone księdzu Renard do badania materyały, rozciąga się od wysp Sandwichskich do 30° szerokości południowej. Materya wulkaniczna, jak znaleziono, grała bardzo ważną rolę w tworzeniu się dna, będąc obecną pod formą kamyczków (*lapilli*) i popiołu, rozrzuconych w wielkiej obfitości w „czerwonej glinie.“ *Lapilli* prawie wszystkie należą do typu bazaltowego, przechodząc od bazaltu feldspatowego do pokrewnych skał. Z kształtów odłamków wulkanicznych, które często pokryte są manganem, z ich połączenia z popiołem wulkanicznym, oraz z ich budowy litologicznej widać, że nie mogą pochodzić z podmorskich potoków lawy. Są to raczej niespojone produkta wulkaniczne, tak zwane *lapilli*, których nagromadzenie w oceanie Spokojnym tworzy szereg tufów podmorskich.

Jednym z najgodniejszych uwagi faktów, wyświetlonych przez te sondowania na oceanie Spokojnym, jest to, że znaczną część w for-

*) Dokończenie—patrz zeszyt za styczeń r. b.

¹⁾ *Nature*, 18 September, 1879.

macyi tych pokładów osadowych zajmują palagonity, zupełnie identyczne pod względem cech litologicznych z takimiż utworami Sycylii, Islandyi i wysp Galoppagos. Małe kamyczki (*lapilli*), od 2—3 cali w średnicy, spojone są zeolitami.

Pomiędzy minerałami, obecnymi w popiele wulkanicznym, znajdują się romboidalne tablicowate kryształy plagioklasu, augitu, magnetytu oraz nieco hornblendy. Na szczególną uwagę zasługuje zupełny brak ziarenek kwarcu, co jest w zupełnym przeciwieństwie z pokładami nadbrzeżnymi. Fakt ten wszakże, zdaniem pomienionych badaczy, nie jest tak niespodziewany, jak powstanie zeolitów w stanie wolnym. Drobne, promienisto-włókniste kulki utworzone zostały w szlamie, wykazując cechy krystalograficzne. Oprócz tych kulek zeolitycznych, inne kryształy tego samego rodzaju napotykać się w kształcie drobnych pryzmatów, i to w tak wielkiej liczbie, iż stanowią prawie trzecią część czerwonój gliny. Te ostatnie, podobnie jak i kulki zeolityczne, zdaniem autorów, należą do jednego gatunku mineralogicznego.

Aleksander Agassiz ogłosił pod koniec 1879 r. obszerny raport o sondowaniach amerykańskich w morzu Karaibskim, dokonanych przez parowiec „Blake“ z początku pozostający pod dowództwem znakomitego badacza przyrody, kapitana Sigsbee. Raport ten ¹⁾ zawiera bardzo bogaty zbiór ciekawych informacji, odnoszących się do różnych gałęzi nauk przyrodniczych, i dla tego uważamy za właściwe podać niektóre szczegóły, dotyczące téj podróży i zebranych podczas niéj rezultatów naukowych.

Al. Agassiz wsiadł na parowiec „Blake“ w Waszyngtonie, 27 listopada 1878 r. Wyprawa naukowa, według pierwotnej instrukcyi, miała udać się do Nassau, i tam poświęcić pewien czas na sondowania, aby ustalić związek między fauną północnego krańca ław Bahamy i cieśnin Florydzkich. Z powodu ostrego powietrza, projekt ten nie dał się wykonać, i wyprawa zmuszoną była skierować się ku cieśninie S. Heleny, i zamiast przeczynać prąd morski zwany Gulf-Stream, aby się dostać do Nassau, „Blake“ skierował się do Key West, a następnie przez Kingston i Jamaikę, wzdłuż północnych brzegów Kuby, przez dawny kanał Bahamski. We wschodnim końcu tego kanału dokonano szeregu sondowań, w kierunku od Caya Crux do Lobos Light. Nic szczególnego tu nie napotkano; znaleziono wszakże kilka okazów pławów rurkonośnych (*Siphonophora*) głębi morskich, opisanych niedawno przez Studera w czasopiśmie: *Zeitschrift für wissenschaftliche Zoologie*. Następnie napotymano często więcej lub mniej kompletne okazy tych syfonoforów, przyłączone do liny drucianej. Studer podaje długą listę głębokości, z których dobywały się, przyłączone do liny sondującej; wszakże zdaniem Agassiz'a, nie jest rzeczą

¹⁾ „Report on American Dredgings in the Caribbean Sea.“ By Alexander Agassiz.

pewną, aby te pławy rurkonośne pochodziły z głębokości, wskazywanej przez drut. Prawdopodobnym jest, że one zazwyczaj żyją w pewnej głębokości, pod powierzchnią, a niektóre z nich, jak *Cassiopea*, wolą przebywać blisko dna. Dopóki wszakże, powiada Agassiz, nie będziemy posiadać przyrządów tak zbudowanych, aby te dawały nam pewną wskazówkę co do bezpośrednich głębokości, w których pojmane zostały zwierzęta, żyjące w różnych odległościach między powierzchnią a dnem, ryzykownym byłoby oznaczać odpowiednią głębokość miejsca przebywania wielkiej liczby zwierząt morskich, takich jak pławy (*Acalepha*), rurkonośne (*Siphonophora*), skrzydłopławy (*Pteropoda*), liczne otwornice (*Foraminifera*), oraz inne tym podobne, zwyczajnie których mało są znane.

Niedaleko Nuevitas, w głębokości 994 sążni, dobyto wielkie odłamki krędy białej, złożonej głównie z globigeryn (*Globigerinae*) i rotalin (*Rotalinae*). Dobyto również wielkie ilości szlamu i gliny białej, która okazała się być tylko białą krędą w rozmaitych stanach skupienia. Jeżeli istniejące w tej głębokości warunki, powiada autor, podobne są do warunków okresu krédowego, łatwo możnaby pojąć, jakim sposobem mięczaki i inne istoty zostały zachowane, będąc niegdyś pogrążone w tę jednorodną substancją.

Przy jednym z sądowań, dokonaniem pomiędzy przyładkiem Maysi a Jamaiką (z głębokości 1200 sążni), dobyto pierwszy okaz t. z. *phormosoma*. Te jeżowce, zupełnie wydęte i półkuliste, a które Agassiz widział żywe po raz pierwszy, bardzo przypominają t. z. *Perischoechinidae*, i mają z nimi wiele wspólnych punktów podobieństwa, wielkiego znaczenia pod względem budowy.

Okolica, nad którą głównie pracowano w tym roku, rozciąga się od St.-Thomas do Trinidad. W ciągu sezonu zajęto nie mniej nad 200 stacy i dobyto przeszło 230 próbek i okazów z głębokości, wynoszącej od 100—2412 sążni. Kilka próbek dobyto przypadkowo z wody płytkiej, ale te nie wchodziły w skład głównie obmyślanego planu. Jakkolwiek otrzymano z Indyi zachodnich niektóre okazy bardzo ciekawych zwierząt kręgowych, jednak nic nie wskazywało, aby fauna wschodniego krańca morza Karaibskiego, co do istoty swojej, różną była od fauny zatoki Meksykańskiej i cieśnin Florydzkich. Nie jest ono z pewnością wcale tak bogate w życie zwierzęce na wielkich głębokościach. Rzadko bardzo dobywano z głębokiej wody, t. j. z głębokości pomiędzy 1500 i 2400 sążni, bogate próbki, tak pospolite i zwyczajne w zatoce na głębokości od 1200—2000 sążni. Znalezione jednak, co było nierównie ważniejszym dla powodzenia wyprawy, że szereg większej liczby gatunków, żyjących w głębokim morzu, rozciąga się w granicach bardzo łatwo dających się badać przez sondowanie, i niebawem odkryto, że przy robieniu poszukiwań, głównie na głębokości od 300—1000 sążni, nietylko otrzymywano prawie wszystkie gatunki, rozciągające się do linii 2000 sążni, ale nadto otrzymywano je w znacznej ilości. To, ma się rozumieć, pozwoliło zebrać

wielką ilość potrzebnego materiału, a zbiory wyprawy 1878/79 r!, połączone ze zbiorami poprzedniego roku, dokonane również przez A. Agassiza, oraz z dawniejszemi zbiorami hr. Pourtales, na statku „Bibb,” jak również zbiory „Hasslera,” czynią tę kolekcję z głębi morskich nie wiele niższą od zbiorów, dokonanych przez „Napastnika“ (Challengera).

A. Agassiza uderzyła była nadzwyczaj wielka liczba gatunków, które, jakkolwiek nie identyczne, były co najmniej bardzo pokrewne z gatunkami, przywiezionemi przez Challengera. Uczony naturalista sądzi, że ogólne zarysy fauny głębi morskich są obecnie znane, i że jakkolwiek wiele ciekawych form zostanie niewątpliwie wydobytych z wód płytszych, na głębokości od 100—300 sążni, z tém wszystkiem jednak trudno się spodziewać, aby można było co dodać do typów, odkrytych przez wyprawy naukowe ostatnich lat dziesięciu. Jak słusznie powiedział Moseley, jeden z naturalistów, należących do wyprawy Challengera, której, jak wiadomo, przewodniczył sir Wyville Thomson, monotonnem jest znajdować ciągle te same bezkręgowce przy głębszych sondowaniach, i tylko na płytszych wodach można otrzymać świetne rezultaty po kilku miesiącach pracy. Z doświadczeń przeszłych dwu lat A. Agassiz wyprowadza wniosek, że granica fauny głębi morskich dochodzi do 300 lub 350 sążni od powierzchni, a fauny nadbrzeżnej 100 do 150 sążni; w granicach od 100 do 300 albo 400 sążni rozciągają się gatunki, które nie są ani nadbrzeżne, ani też nie mają wielkiego rozszerzenia geograficznego, należąc do gatunków znajdujących po za tą głębokością. Ale ta wyższa granica fauny głębi morskich musi naturalnie zależeć od temperatury, i niewątpliwie zmienia się bardzo z przyczynami miejscowemi lub częściowo miejscowemi.

W kierunku wysp Karaibskich napotkano wielkie nagromadzenie materji roślinnej i szczątków lądowych t. z. *débris*, zaniezione z głębokiej wody na wiele mil od brzegu. Na głębokości 1000 sążni znajdowano, w odległości od 10—15 mil (angielskich), masy liści, kawałków bambusu, trzciny cukrowej, muszli lądowych, oraz innych lądowych *débris*, które niezaprzeczenie dostają się tam działaniem wiatrów. „Znajdowaliśmy często, powiada dalej autor, pływające po powierzchni masy roślinności, więcej lub mniej przesiąknięte wodą i gotowe już opaść na dno. Dobywane przy sondowaniach próbki zdziwiłyby niewątpliwie paleontologa: z formami skorupiaków głębi morskich, oraz promieniaków, ryb, jeżokorów, gąbek i t. p., mieszały się liście drzew pomarańczowych, gałęzie bambusów, drzew orzechowych, muszli lądowych, a formy te królestwa zwierzęcego i roślinnego były w takiej obfitości, iż trudnoby mu było rozstrzygnąć, czy ma do czynienia z fauną morską, czy też lądową. Taką próbkę szczątków kopalnych możnaby naturalnie objaśnić tém, że reprezentuje ona płytkie ujście, otoczone lasami, a jednak głębokość mogła wynosić do 1500 sążni.”

Jak objaśnia autor, zbiory dokonane przybyły do Cambridge, i będą przesłane jak najprędzej do zdeterminowania tym naturalistom,

k którzy przedsięwzięli sporządzenie sprawozdań z różnych grup kolekcji lat ostatnich. Z tego to powodu Agassiz dotyka w ogólnych zarysach tylko najciekawszych typów. Pomiedzy otwornicami (*Foraminiferae*) jest pewna liczba typów, zanotowanych przez Brady'ego w zbiorach wypraw statków „Challenger“ i „Porcupine;“ pomiedzy gąbkami gatunki zbliżone do *Phoronema*, *Hyalonema* i inne; piękny *Dactylocalix*, wykazujący sposób wzrostu od najprostszdej formy globularnej; oraz olbrzymia *Euplectella*. Zbiór gwiazd morskich jest bardzo mały i nie zawiera nic godnego uwagi. Kolekcja holotypy zawiera, oprócz form z głębi morskich, wymienionych w poprzednich sprawozdaniach autora, nierównie większą liczbę gatunków, niż w roku zeszłym, rodzaje pokrewne z *Malpadia*, *Caudina*, *Echinocucumis* i t. d.

Echinotypy są bogato reprezentowane. Zebrana została wielka kolekcja kędziornic (*Comatulae*), oraz pewna liczba okazów *Rhizocrinus* (dosłownie: korzeniowłos), ale tylko kilka z nich w dobrym zachowaniu się stanie. Kolekcja pentakrynów jest bardzo bogata: znajdowano je w Montserrat, St.-Vincent, Grenadzie, Gwadelupie i Barbados, na wielu miejscach i w takiej obfitości, iż naraz wyciągano przeszło po 100 sztuk, ale szczegóły te pomijamy, nie mogąc iść za Agassizem krok w krok, ani nawet wyliczać tego, co przytacza w raporcie, ograniczając się na tém, co jest najważniejsze.

Kolekcja węzogonów (*Ophiura*)¹⁾ jest może najbogatsza. Zdają się one grać najważniejszą rolę w determinowaniu charakteru fauny. Napotykają się wszędzie, na wszelkich głębokościach, częstokroć w niezliczonej ilości. Za każdym razem, przy zarzucaniu sondy, nie brakowało przynajmniej jednego ich reprezentanta. W niektórych miejscach literalnie *dno morskie było niemi wybrukowane*, podobnie jak mielizny wyłożone bywają nieraz gwiazdami morskimi i jeżowcami, a liczne gatunki, uważane dotąd za nadzwyczaj rzadkie, znajdowane były rzeczywiście w wielkiej obfitości. Bardzo liczne, a może i wszystkie gatunki głębi Atlantyku, dobyte przez „Challengera,“ odnalezione zostały powtórnie w wielkich ilościach. Te rzadkie gatunki, tym razem w obfitości znajdowane, są: *Sigsbeiu murrhina*²⁾, *Ophiozona nivea*, *Hemieuryale pustulata* i *Ophiocanax hystrix*.

Staranne poszukiwania hrabiego Pourtalesa w cieśninach Florydzkich, wyprawa „Haslera,“ badania „Challengera,“ oraz dwie wyprawy parowca „Blake“ ustaliły większą część gatunków węzogonów, gdyż, jak powiada Agassiz, pomiedzy ogromną masą otrzymanych tym razem okazów, liczba nowych gatunków jest stosunkowo niewielka.

Hydroidy i mszanki (*Bryozoa*) były głównie reprezentowane przez te same formy, które zebrane zostały w roku zeszłym, albo w dawniejszych wyprawach do cieśnin Florydzkich.

1) Pentakryny, kędziornice, węzogony i t. p., należą wszystkie do gwiazd morskich, rzędu jeżokorów (*Echinodermata*).

2) Tak nazwaną została na cześć naturalisty, kapitana Sigsbec.

Korale, jakkolwiek bogate w okazy i gatunki, zawierają niewiele dotąd nieopisanych. Bardzo piękne okazy większych, pojedynczych koralu, otrzymanych przez wyprawę „Challenger”, a których poprzednio nie znajdowano podczas sondowań w zatoce Meksykańskiej, oraz cieśninach Forydzkich, dobyte zostały obecnie; takimi są: *Flabellum*, *Trochocyathus*, *Ceratotrochus*, i inne.

Z pomiędzy skorupiaków znaleziony był *Bathynomus giganteus*, odkryty w roku zeszłym, *Astacus zelandicus*; z pomiędzy mięczaków najważniejsze typy wymienione w raporcie Dalla.

Kolekcya ryb jest znakomitą; specjalną jej cechą jest wielka liczba typów żabo-rybowatych (*Lophioid types*), jakie zawiera. Otrzymano również wiele rodzajów, zebranych przez wyprawę „Challenger”. Niektóre z rzadkich ryb morskich, tylko przypadkiem łapanych w morzu, są jużto zupełnie dojrzałe ryby głębi morskich, już ich młode. „Ciekawa to kwestya, powiada A. Agassiz, gdzie pozostają młode, zanim zostaną stałymi mieszkańcami wód głębokich.”

Fauna morska wschodniej części morza Karaibskiego była w zimowym sezonie bardzo ubogą. Z wielkiej liczby odłamków syfonoforów (rurkonośnych), ciągle znajdujących, wnosić można, iż są tam bardzo licznie reprezentowane. W pobliżu wysp niewiele znaleziono reprezentantów życia morskiego. Wszystko pozostaje jużto w niewielkiej odległości pod powierzchnią, albo téż odparte jest od wysp w stronę morza. Wskutek tego fosforescencya jest mniej świetną, niż w zatoce meksykańskiej, chociaż tu i owdzie masy pławów grzebykonośnych (*Ctenophora*), pływając w rozmaitych głębokościach, sprawiają bardzo uderzające oświetlenie; nagłe błyski światła pojawiają się niespodziewanie, jak gdyby pochodziły z wielkich kul ognistych, unoszących się w niewielkiej odległości pod powierzchnią. Najgodniejszą uwagę zjawiska fosforescencyi sprawiane bywają przez mały okaz, pokrewny *Syllis*, który porusza się po powierzchni wody z szybkością nadzwyczajną, dokonywając podziwienia godnych obrotów i znacząc drogę swoją jasną linią światła. Z pomiędzy form wód głębokich liczne gatunki, jak: *Gorgonia* i *Antipathes*, przy ich dobywaniu sprawiają zjawiska fosforescencyi.

Jednym z najbardziej interesujących rezultatów, zdobytych przez wyprawę tegoroczną, jest wyświetlenie kwestyi co do dawniejszej ciągłości kontynentu południowo-amerykańskiego, przez sondowania, które ostatecznie uzupełnione zostały przez wyprawę Blake'a, pod kierownictwem kapitana Bartlett prowadzoną. Kwestyi téj, ze względu na jej ważność, nie możemy zbyć kilkoma słowami. Sondowania te, w połączeniu z poprzednio dokonanymi, pozwalają nakreślić z dostateczną ścisłością szkic dawnego kontynentu i otrzymać tym sposobem wyjaśnienie szczególnego geograficznego rozmieszczenia fauny i flory Indyi

Zachodnich (wysp). Jak wiadomo, Kuba, wyspy Bahama, Haiti i Porto-Rico, zamiast wykazywać (jakby to sądzić należało z ich obecnego blizkiego sąsiedztwa z Florydą) stanowcze pokrewieństwo w swój faunie i florze ze Stanami Południowymi, przedstawiają przeciwnie niewątpliwą łączność z Meksykiem, Hondurasem i Ameryką Środkową; wyspy karaibskie wykazują po części to samo pokrewieństwo, jakkolwiek pokrewieństwo z fauną i florą Wenezueli i Brazylii jest jeszcze wybitniejsze.

„Z tych sondowań, ciągnie dalej Agassiz, starając się odbudować stan rzeczy, jaki istniał w poprzednim okresie, przedewszystkiem uderzeni zostajemy faktem, że wyspy wirginijskie są wycięciem rozległej ławicy (*the outcropping of an extensive bank*). Największa głębokość pomiędzy temi wyspami nie przenosi 40 sążni, jest więc taka, jaką znaleziono na ławie na wschód od Porto-Rico i stusąźniowa linia tworzy w rzeczywistości zarys wielkiej wyspy, która obejmowała całe wyspy Wirginijskie, Porto-Rico, rozciągając się cokolwiek w stronę morza. Stusąźniową linią tworzy również obszerna wyżyna, łącząc Anguilla, St. Martin i St. Barthélémy; łączy również Barbudę i Antyguę, tworząc ławę Saba, łączy St. Eustatius, St. Christophore, Nevis i Redonę. Tworzy wydłużoną wyżynę, rozciągającą się od Bequia do południowo-zachodniej Grenady i biegnie więcej lub mniej równolegle do brzegu Ameryki Południowej, od wysp s. Małgorzaty, pozostawiając stosunkowo wązki kanał pomiędzy stusąźniową linią na południe od Grenady i obejmując Trinidad i Tobago w swoich granicach, biegnie ku Południo-wschodowi, w kierunku prawie równoległym do linii nadbrzeżnej. Na zachodnim krańcu morza karaibskiego, stusąźniową linię tworzy olbrzymia ławica od wybrzeża Mosquito, rozciągając się na $\frac{1}{3}$ odległości od głównego lądu, do wyspy Jamaiki. Ławy Rozalinda i Pedro, utworzone przez tę samą linię, oraz kilka innych mniejszych ław, oznaczają położenie więcej lub mniej ważnych wysp, które niegdyś istniały między wybrzeżem Mosquito i Jamaiką. Badając linię długości 500 sążni, znajdujemy, że Jamaika jest tylko północną kończyną olbrzymiego przylądka, który niegdyś rozciągał się ku Haiti, od głównego lądu, sięgając od Costa-Rica, do północnej części wybrzeża Mosquito i pozostawiając jedynie stosunkowo wązki przesmyk pomiędzy 500-sąźniową linią, obejmującą Haiti, Porto-Rico i wyspy Wirginijskie, w jedną olbrzymią wyspę. Przejście między Kubą a Jamaiką ma głębokości 3000 sążni, między Haiti i Kubą nie mniej nad 873 sążni, i to ostatnie jest prawdopodobnie odnogą Atlantyku. Pięćset-sąźniowa linia łączy, jak olbrzymia wyspa, ławy łączące Anguillę z St. Barthélémy, biegnąc na południe i włączając Gwadelupę, Marie Galante i Dominikę. Ta linia tworzy zatem olbrzymią wyspę z wysp północnych, rozciągając się od Saba-Bank, do Santa-Cruz i pozostawiając wązki tylko kanał pomiędzy wschodnim krańcem linii 500-sąźniowej, biegnącej naokoło Santa-Cruz. Ponieważ Santa-Cruz i St. Thomas oddzielone są kanałem 40 mil (angielskich), gdzie największa głębokość nie

przechodzi 2400 sążni, to okoliczność ta jasno wykazuje związek z północnymi wyspami archipelagu Karaibskiego raczej, niż z St. Thomas, co zresztą wskazuje dokładnie geograficzne rozmieszczenie mięczaków. Pięćset-sążniowa linia łączy znowu w jedną olbrzymią całość, rozciągającą się na północ od ujścia Orinoco, wszystkie wyspy do południowej części Martyniki, pozostawiając Barbados na wschód i wązkie przejście pomiędzy Martyniką, a wyspami Dominika i ś. Łucyi. W czasie zatem tego związku, morze Karaibskie było połączone z Atlantykiem tylko wązkiem przejściem, kilka mil (angielskich) szerokością, pomiędzy St. Lucia i Martyniką, oraz jednym nieco szerszym i znacznie głębszym pomiędzy Martyniką i Dominiką, innym pomiędzy Sombrero i wyspami wirginijskimi, oraz stosunkowo wązkiem przejściem pomiędzy Jamaiką i Haiti. *Morze Karaibskie zatem musiało być odnogą oceanu Spokojnego*, albo też być połączone z nim wązkiemi przejściami, których ślady znajdujemy w pokładach trzeciorzędowych i krędowych międzymorza Panama i Nicaragui. Środkowa Ameryka i północna część Ameryki południowej musiały w tym czasie być szeregiem wielkich wysp z przejściami pomiędzy nimi od oceanu Spokojnego do morza Karaibskiego."

W ten sposób mniej więcej odbudowywa Agassiz dawne kształty ładu tej części świata. Ze względu na ważność tej kwestyi, oraz tę okoliczność, iż wywody podane oparte są na ściśle naukowych podstawach, pozwoliliśmy sobie podać z niej nieco obszerniejszy wyjątek. W następstwie autor rozbiera prawdopodobny kształt i kierunek dawnych prądów morskich, ale kwestyą tę pomijamy, gdyż i tak poświęciliśmy raportowi autora dosyć miejsca w stosunku do ram naszych sprawozdań, a co uwzględnione być winno z powodu ważności przedmiotu.

*

*

Profesor Gümbel z Monachium, zakomunikował bawarskiej Akademii nauk rozprawę o wulkanach szlamistych i ich produktach, których badanie doprowadziło go do następujących rezultatów. Masa wyrzuczonego szlamu niczem innym nie jest, jak rozmiękczoną skałą warstwowaną, złożoną z gliny i piasku, pochodzącą z blizkiego sąsiedztwa i prawdopodobnie przyniesioną z niewielkiej głębokości. Zawiera ona często szczątki organiczne, podczas gdy prawdziwe produkta wulkaniczne (jak lava, pumeks, i t. p.), nie biorą udziału w jej tworzeniu. W wyjątkowych tylko razach te ostatnie dostarczają materiału wybuchowego, i żaden podobny przypadek dotąd nie jest znany z pewnością.

Oprócz obfitego wypływu wody, dobywanie się gazów przy wysokim ciśnieniu, wiąże się koniecznie z wulkanami szlamistemi. Między nimi pierwsze miejsce zajmuje węglowodór. Wysoka prężność gazów dobywających się i długie trwanie zjawisk, nie dowodzą istnienia wielkiego nagromadzenia w głębi ziemi, gdyż przy takim przypuszczeniu zapas ten musiałby się wyczerpać w stosunkowo krótkim czasie. Stałe

tworzenie się węglowodoru, głównego z tych gazów wybuchowych, z konieczności każe przypuszczać obecność organicznych części, w głębi położonych skałach osadowych, co potwierdza się przez regularne napotykanie oleju skalnego, nafty, asfaltu, oraz materii bitumicznych, w związku z wulkanami szlamistymi. Nie jest rzeczą nieprawdopodobną, by fosfowodor wytwarzał się również podczas procesu rozkładu, a obecność tego gazu dostarczyłaby zadawalającego wyjaśnienia dobrowolnego zapalania się dobywających się gazów, co tak często ma miejsce. Z drugiej strony, obfitsze znajdowanie się kwasu węglanego zdawałoby się wskazywać pewne zbliżenie do procesów wulkanicznych.

Domieszka soli rozpuszczalnych, zwłaszcza chlorku sodu, w masie szlamu, może być w części objaśniona tą okolicznością, że wiele wulkanów szlamistych położone są w bliskości morza, albo też na gruncie napojonym wodą morską. Popiera to obecność jodu i bromu w masie soli utworzonych. Można również przyjąć, że warstwy przylegające do kanału wybuchowego mogą zawierać w obfitości sole, i wpływająca woda bierze z nich swoje części solne. Otóż te ostatnie mogą być rozpuszczone z innych pokładów przez wodę, przed dostaniem się tej ostatniej do wulkanów szlamistych, a następnie pozostawione w suchym szlamie po wyparowaniu wody.

Sposób rozmieszczenia wulkanów szlamistych wykazuje pewien ogólny związek z okolicami i wybuchami wulkanicznymi. Wszakże bywają one znajdowane w krajach, wolnych obecnie od zjawisk wulkanicznych; ale w tym przypadku już to zdarzają się w okręgach, które często zakłócone bywają przez podnoszenia się i opadania lądów, już też ograniczone do szlaków wielkich geotektonicznych szczelin i linii rozłamu, przecinających skorupę ziemską i sięgających nieraz do znacznych głębokości.

Ze wszystkich tych faktów wynika, zdaniem profesora Gumbela, że prawdziwe ognisko zjawisk, związanych z sobą przez daleko większą liczbę wulkanów szlamistych, nie może być bezpośrednio identyfikowane z ogniskiem działalności wulkanicznej głębi ziemi, ale że te zjawiska przypisać należy raczej obecności pewnych skał osadowych i zawieraniu przez nie domieszek, zdolnych dostarczyć substancji bitumicznych. W odosobnionych przypadkach być może, że gazy związane z procesami wulkanicznymi, wytwarzają zjawiska, podobne do zjawisk zwykłych wulkanów szlamistych, albo też łączą się z gazami węglowodornymi prawdziwych wulkanów szlamistych, podobnie jak odwrotnie te ostatnie gazy często pojawiają się pomiędzy wyziewami wulkanicznymi. Skały osadowe, wciągnięte do procesu, muszą być położone głęboko w skorupie ziemskiej, gdzie warunki (ciepło i t. d.), potrzebne do wywiązania gazów, oraz materiały bitumiczne z domieszek organicznych są obecne, a jednocześnie skorupa ziemska poprzecinana jest przez szczeliny dosyć głęboko, aby te pozwalały materiom lotnym, w ten sposób utworzonym pod ciśnieniem, dostać się na powierzchnię. Takie przyjazne okoliczności zdarzają się najczęściej

tam, gdzie młodsze utwory osadowe są głęboko zagrzebane i poprzeciane głębokimi szczelinami pod działaniem wulkanicznym. Tym sposobem widzimy, jak zjawiska wulkanów szlamistych pozostają w pewnym dalekim związku z prawdziwem działaniem wulkanicznym. W innych przypadkach działanie wulkaniczne mogło poniekąd doprowadzić do warunków utworzenia się gazów wybuchowych i substancji bitumicznych bliżej powierzchni i do wyższych pokładów skały osadowej. Taki związek pomiędzy wulkanami szlamistymi a działalnością wulkaniczną w ogóle może być przyjęty w Sycylii. Pomimo to, zjawiska tak zwanych wulkanów szlamistych tak są zasadniczo odrębne od zjawisk prawdziwej działalności wulkanicznej, iż należałoby uwolnić się od związku, widocznie narzucanego przez nazwę, przez używanie nowego terminu, t. z. „Schlammsprudel.”

* * *

Jakkolwiek w jednym z artykułów poprzednich, mówiąc o podniesionej przez Normana Lockyera kwestyi natury pierwiastków chemicznych ¹⁾, wypowiedzieliśmy przekonanie, że wobec tego nowo odkrywane pierwiastki chemiczne tracą na znaczeniu, skoro pierwiastki, według wszelkiego prawdopodobieństwa, mogą się w następstwie okazać ciałami złożonemi, z tém wszystkiem jednak, obowiązek kronikarza każe nam zanotować niektóre nowo-odkryte metale.

Nowo odkrytym metalom, w rudzie miedzi i niklu z Oteroë, małej wysepce, w pobliżu miasta Krageroë, Skjergaarden (w Norwegii), dr. Tellef Dahll dał nazwę *Norwegium* ²⁾. Pomieniony minerał praży się, otrzymany produkt rozpuszcza się w kwasie i strąca się siarkowodorem, a osad przemyty, wolny od niklu, znowu się praży. Otrzymany w ten sposób produkt jest tlenkiem norwegium. Rozpuszcza się go w wodzie królewskiej (mieszaninie kwasu solnego z saletrzanym) i po strąceniu w obecności pewnej części potażu, i tym sposobem otrzymuje się szmaragdowo-zielony osad hydratu metalu norwegium. Metal sam jest biały, bardzo kowalny, twardości takiój, jak miedź; topi się w temperaturze nizkiej czerwoności, ma ciężar gatunkowy 9.44, trudno rozpuszczalny w chlorowodorze (kwasie solnym), łatwo w kwasie saletrzanym; rozpuszcza się również w rozcieńczonym kwasie siarczanym. Inne szczegóły, dotyczące tego metalu, dla braku miejsca pomijamy, ile że i z pomocą wyżej przytoczonych, czytelnicy mogą sobie utworzyć pewne pojęcie o tym nowym pierwiastku chemicznym.

Podług *Moniteur Scientifique* (lipiec, 1879), jeszcze przed kilkoma laty A. Guyard odkrył metal w platynie handlowej, otrzymywanej z rud rosyjskich, i metalowi temu, z grupy metali platynowych, nadał

¹⁾ *Comptes rendus*, 1879 r. t. II, XXXIX, str. 47.

²⁾ *On the Nature of the Elements*, by Norman Lockyer. Ob. *Bibl. Warsz.* poszyt za miesiąc wrzesień 1879 r.

no nazwę *Uralium*. Po srebrze jestto najbielszy ze znanych metali. Kowalność jego jest tak wielka, jak najczystszej platyny, ciągliwość zaś jeszcze większa. Metal ten jest tak miękki, jak ołów, nie jest lotny, a jego punkt topliwości bardzo się zbliża do punktu topliwości platyny. Ciężar gatunkowy jest również bardzo wielki i wynosi 20.²⁵, t. j. metal ten jest przeszło dwadzieścia razy cięższy od wody. W swoich własnościach chemicznych bardzo trudno daje się odróżnić od platyny.

L. F. Nilson podaje do wiadomości ¹⁾ o odkryciu nowego metalu, któremu dał nazwę *Scandium*. Metal ten nie został dotąd otrzymany w stanie zupełnie czystym. Rozcieńczony kwas saletrany sła-
bo działa na ten metal przy ogrzaniu do czerwoności; silniejsze nierównie jest działanie kwasu solnego. Scandium zajmuje miejsce między cyną i torem (*thorium*). Inne własności i zachowanie się tego metalu względem odczynników pomijamy.

Pomijając odkryte niedawno minerały amerykańskie, australskie i inne, jak: *mallardyt*, *luckit*, *randyt*, *stybjanit*, *huntylit*, oraz liczne minerały szwedzkie, o których pisze Blomstrand, w liście swoim do *Berliner deut. chemische Gesellschaft* (1879, XII, 1723), powiemy słówko o wielkim meteorycie, spadłym przed kilkoma miesiącami w Stanie Jowa Ameryki Północnej, a o którym zdaje sprawę prof. Peckham, w liście do wydawcy jednego z naukowych dzienników na drugiej półkuli ²⁾. Meteoryt ten spadł o godzinie 5 po południu, d. 10 maja 1879 r., w Estermills. Jeden odłamek jego, ważący 500 funtów, upadł niedaleko drogi żelaznej i zakopał się w ziemię na głębokość 14 stóp. Inna część jego, ważąca około 170 funtów, spadła w odległości 2 mil angielskich od pierwszej miejscowości. Mniejsze kawałki, ważące po kilka funtów, rozrzucone zostały po okolicy. Spadnięciu towarzyszył łoskot nadzwyczajny, podobny do grzmotu i uderzenia piorunu. Wymieniony wyżej mniejszy odłamek ma wymiary: 15 cali długości, 18 szerokości i 6 grubości. Część metaliczną stanowi aliaz żelaza, niklu i cyny; połowa masy jest materią kamienistą, składającą się z ciemnozielonych mas krystalicznych, otoczonych jasno-szarą powłoką.

W czerwcowym numerze *Dziennika Amerykańskiego* ³⁾, znajdujemy artykuł prof. Marsh'a, w którym autor, podając spostrzeżenia swoje nad dzisiejszymi koźmi, przytacza ciekawy zbiór faktów paleontologicznych, mających związek z domniemanem pokrewieństwem zwierząt jednokopytnych, obecnie żyjących (*existing Solid-ungulates*). Podług Marsh'a, najpospolitszą formą polidaktylizmu (wielopalczasto-

¹⁾ *Berliner deutsche chemische Gesellschaft*, 1879 r. nr. 6.

²⁾ *Silliman's Journal*, July, 1879 r., pag. 77.

³⁾ *American Journal*, June, 1879 r.

ści) u żyjących koni jest obecność nadzwyczaj małego palca (*extra small toe*) i kopyta od strony wewnętrznej, już to na przedniej parze, już na wszystkich czterech nogach; wszakże prof. Marsh wspomina o źrebięciu z trzema palcami (*toes*) na jednej nodze przedniej i dwoma na drugiej, oraz o klaczy (dotąd żyjącej), która ma trzy palce na każdej nodze przedniej, oraz mały palec (*a small extra digit*) na każdej nodze tylnej. Można się było spodziewać, powiada, częstszej obecności nadzwyczajnych palców (*extra digits*) na przedniej nodze, ale anormalny rozwój palca od strony wewnętrznej jest ciekawy. O amerykańskich przodkach konia, profesor Marsh mówi co następuje: „Jeżeli badać będziemy szczątki najdawniejszych przedstawicieli konia w tym kraju, to znajdziemy, że zwierzęta te były wszystkie wielopalczaste (*polydactyle*) i małych rozmiarów. Ponieważ to trwało aż do ery najszej, to musiał mieć miejsce stopniowy wzrost wielkości, oraz zmniejszanie się liczby palców, aż nakoniec powstał obecny typ konia. Pierwiastkowy przodek konia, dotąd nieodkryty, miał niezapreczenie pięć palców na każdej nodze. Najdawniejszy członek grupy, obecnie znany *Eohippus*, miał cztery dobrze rozwinięte palce, szczątkowy palec na każdej nodze przedniej, oraz trzy palce z tyłu. Zwierzę to było tak wielkie, jak i lis, i szczątki jego pochodzą z pokładów leżących u spodu Eocenu.

W bezpośrednio wyższym oddziale Eocenu, występuje inny rodzaj konia, *Orohippus*. Był on podobny do swego poprzednika wielkością, ale miał tylko cztery palce z przodu, a trzy z tyłu. Na wierzchu Eocenu znaleziony został trzeci pokrewny rodzaj *Epikhippus*, bardzo podobny do poprzedniego, t. z. *Orohippus*, w palcach, ale różnił się zębami. Blisko podstawy następnej formacji, miocenicznej, występuje nowe ssące z rodzaju konia: *Mesohippus*. To zwierzę było prawie tak wielkie, jak owca, i miało trzy zwykłe palce zawiązek jednego, na każdej nodze przedniej, oraz trzy tylko palce z tyłu. Na wyższym nieco horyzoncie, znaleziony został blisko pokrewny rodzaj *Miohippus*, który ma zewnętrzny, czyli piąty palec, zredukowany do szczątkowego (*reduced to a short remnant*). W Pliocenie górnym trójpalczasty koń, *Protohippus*, prawie tak wielki jak osieł, napotyka się w wielkiej obfitości, a jeszcze wyżej, blisko spokrewniony z nowożytnym koniem, z jednym tylko palcem na każdej nodze, t. z. *Pliohippus*, występuje na scenę. Prawdziwy *Equus*, tak wielki, jak obecnie istniejący koń, pojawia się właśnie ponad tym horyzontem i szereg staje się zupełnym.

Uwagi te profesora Marsh'a *Dziennik Amerykański*, wyżej wspomniane, objaśnia ciekawym szeregiem rycin, przedstawiających budowę odpowiednich części w przedstawicielu konia w pomienionych pokładach.

* * *

W sprawozdaniu, zakomunikowaném Wiedeńskiej Akademii nauk, w maju 1879 r., dr. K. T. Liebe opisuje jedną jaskinią moraw-

ską, zwaną Wypustek. Kości zwierząt ssących, znalezione w tej jaskini, przedstawiają następujące gatunki: *Lynx vulgaris* (ryś), *Felis Catus* (kot dziki), *Canis spelaeus* (wilk jaskiniowy, dyluwialny), *Canis familiaris* (pies), *Vulpes vulgaris* (lis), *Vulpes lagopus* (lis biegunowy), *Gulo borealis* (rosomak), *Martes abietinum* (kuna), *Erminea* (gromostaj), *Arvicola amphibius* (szczur wodny), *Lepus variabilis* (zając), *Myoxus glis* (koszatka), *Sciurus vulgaris* (wiewiórka) i kilka innych. Podług d-ra Hochstettera, oprócz 17 gatunków, podanych przez d-ra Liebe, jaskinia zawiera jeszcze szczątki następujących, jakimi są: *Elephas primigenius* (mamut), *Rhinoceros tichorhinus* (nosorożec włnisty), *Equus fossilis* (koń), *Bos priscus* (bizon), *Cervus tarandus* (renifer), *Ursus spelaeus* (niedźwiedź jaskiniowy), *Felis spelaea* (lew jaskiniowy), *Hyaena spelaea* (hyena jaskiniowa), i niektóre inne. Liczba wszystkich ssących tej jaskini dochodzi do dwudziestu dziewięciu.

Porównanie tych kości z kośćmi otrzymanymi z jaskiń turyngskich, prowadzi do ciekawych rezultatów. Jasną jest rzeczą, że wspomniana wyżej jaskinia morawska zajmowana była w ciągu długich okresów jużto przez familie hyen, jużto przez familie niedźwiedzi, a przypadkowo nawiedzana była przez jaskiniowe lwy, wilki i rysie, podczas gdy jej liczne galerye boczne, które niekiedy wychodziły na otwarte powietrze, dawały schronienie mniejszym zwierzętom drapieżnym, jak np.: kuna, rosomak. Niektóre zwierzęta mogły dostać się do jaskini w stanie szkieletów, ale większą część szczątków stanowią jużto zwierzęta, które zamieszkiwały ją i wyginęły w niej, już te, które były przyniesione jako zdobycz przez tamtejszych mieszkańców. Cała fauna jaskini jest przeważnie fauną leśną, co dowodzi, że w ostatnich czasach dyluwialnych, w jej sąsiedztwie miały przewagę lasy; gdy tymczasem badanie jaskiń turyngskich i innych pokładów tego samego okresu w północnych Niemczech, wykazuje również jasno, że cała ta okolica była nagim stepem, zupełnie pozbawionym lasów. Ztąd wynikałoby, że górzysty kraj południowych Czech i Morawii był punktem wyjścia, z którego pierwotny las rozszerzył się po wielkim dyluwialnym stepie środkowej Europy, na północ od Alp.

*

*

*

Profesor H. G. Seeley przedstawił Towarzystwu geologicznemu, na jedném z posiedzeń 1879 roku, dowody, które, zdaniem jego, wykazują, że pewne gatunki rybojaszczura (*Ichthyosaurus*), rodziły prawdopodobnie żywe dzieci. Opisał on kilka okazów, w których szczątki jednego lub wielu małych osobników zachowane zostały w większych. Jeden z nich był opisany i przedstawiony w r. 1822 przez Jägera; o innym podał wiadomość, w r. 1846, dr. Channing-Pearce, który przypuszczał, że dostarcza to dowodu na korzyść opinii, iż rybojaszczury rodzą się żywe. Inne okazy zachowane są w muzeach w Niemczech, a jeden w Madrycie, i większa ich część była badana przez autora, który przytacza stan zachowania małych osobników (w przeciwieństwie ze stanem śladów ryb i głowonogich, szczątków po-

karmu, które zawsze są znajdowane w okolicy żołądka większych osobników), jako dowód, że nie zostały one pożarte przez większe. Położenie małych szkieletów, z głową wogóle zwróconą w stronę miednicy większych osobników, dowodzi, iż były do siebie w stosunku rodziców i potomstwa ¹⁾.

* * *

W rozprawie o fizycznym początku mgławic, [dr. Croll, znany z licznych prac swoich z zakresu geologii, zwłaszcza w stosunku do okresu lodowego, stara się zbadać początek ciepła słonecznego. Ostatecznie musi ono pochodzić jużto z ciężenia, już z ruchu w przestrzeni: ale kiedy pierwsze źródło energii nie mogłoby wystarczyć dłużej nad 20 do 30 milionów lat, przy dzisiejszym stosunku promieniowania słonecznego, zapas pochodzący z ruchu w przestrzeni, zależny od stosunku tego ruchu, mógłby naturalnie dojść do pewnej określonej ilości. Masa równa masie słońca, poruszająca się z prędkością 476 mil (angielskich) na sekundę, posiada dostateczną energią do pokrycia obecnego stosunku promieniowania słonecznego na 50 milionów lat.

Ten ruch postępowy musi być zamieniony na ruch cząsteczkowy przez uderzenie. Jedyńm przypuszczeniem, jakie stawia ta teoria, jest istnienie materji i ruchu. Przypuśćmy, że dwa ciała, których masa, każdego oddzielnie, wynosi połowę masy słońca, zbliżają się do siebie z prędkością 476 mil (angielskich) na sekundę; uderzenie ich zamieniłoby cały ruch w ciepło, dostarczając znaczną jego ilość do zastąpienia obecnego stosunku promieniowania na 50 milionów lat. Każdy funt tej masy, w skutek zatrzymania się ruchu, posiadałby taką ilość ciepła, któraby była w stanie stopić 90 tonn (1350 centnarów) żelaza. Cała masa mogłaby być zamienioną na gaz, rozpalony do białości, o temperaturze, o której nie moglibyśmy sobie utworzyć pojęcia, t. j. przynajmniej 140000 razy większej, jak powiada dr. Croll, niż temperatura łuku Volty, o którym mówiliśmy w jednym z ostatnich naszych sprawozdań ²⁾.

T. Skomorowski.

1) „The position of the smaller skeletons, powiedziano w sprawozdaniu, with the head generally turned towards the pelvic region of the larger ones is also regarded as indicative of their standing in the relation of parent and offspring.”

2) Ob. *Bibl. Warsz.* z r. 1879, poszyt za miesiąc maj.

G Ł O S Y

PRASY ZAGRANICZNEJ

O NASZEM PIŚMIENICTWIE.

W *Widomościach literackich* za ubiegły miesiąc uczyniliśmy wzmiankę o *VII Roku*, jednego z najpełniejszych zbiorowych pism niemieckich: *Dioskury*, które już ze względu na swój ustrój składowy, w osobliwszy sposób zdaje się nam charakterystycznym ¹⁾. Poświęcać cząstkę indywidualności autorskiej, zrzekać się owego uroku, jaki w pewnym stopniu sprawiać musi pisarzowi wystąpienie z pracą swoją *na własną rękę*, zgoła pozwolić, aby myśl jego lub natchnienie stało się jedynie składową sylabą jakiegoś zbiorowego wyrazu czci, idei lub człowiekowi poświęconego, jestto bez zaprzeczenia jedna z wysokich cnót obywatelskich. Ale tym razem inne pobudki, niemniej poważne, skłaniają nas do zwrócenia uwagi czytelnika na *Dioskurów*. Jedno z najpocześniejszych miejsc zajmuje w nich praca p. Henryka Blumenstoka: *Dziady*, Adama Mickiewicza (Adam Mickiewicz's: *Todtenfeier*). Na ten posąg literacki, wielkiemu imieniu wystawiony, składały się dwie siły: tekst główny jest pióra p. Blumenstoka, przekład zaś wierszem p. Siegfrieda Lipiner'a. Utwórcę studjum, powtórnie dopiero wspomnianego przez nas, czytelnicy poznają z mających się przytoczyć ustępów. Imię zaś p. S. Lipinera, spodziewamy się, że przypomną sobie z powodu jego przekładu: *Głosy s. Teresy* ²⁾ a jesteśmy pewni, że z powodu przekładu *Dziadów* głęboko do serca im zapadnie. S. Lipiner jest dziś *uznanym bohaterem* w piśmiennictwie niemieckim. Niechże nam wolno będzie o tej osobistości, spokrewnionej i dźwiękiem nazwiska i wspólnością zamiłowania przedmiotów, odezwać się kilku wyrazami, aby uprzedzić czytelnika, kto to zasiadł do instrumentu na wykonanie wiekopomnej kompozycji. P. Siegfried Lipiner, który tkomaczy nasze arcydzieła, jest utwórcą pomiędzy innymi: *Wyzwolonego Prometeusza* (*Der Entfesselte Prometheus*). Podług zdania prasy niemieckiej *Prometeusz* ten śmiało spojrzeć może w oczy swojemu współimiennikowi męczeństw, którego wielki Shelley postawił w swojej tragedji. Ale jakże różnymi od siebie są ci dwaj Prometeuszowie. Shelley'owy gigant dla wyzwolenia ludzkości musi zdeptać wprzód Zeusa i królestwo olimpijskie, u Lipiner'a wyzwala on ją koniecznym pojęciem wiary i przywróceniem religii. Tym samym duchem tchnie ostatni jego poemat: *Renatus* (*Odrodzony*).

¹⁾ *Die Dioskuren*. Literarisches Jahrbuch. Siebenter Jahrgang (str. 172 — 193.

²⁾ *Biblioteka Warszawska*, 1879 r. tom II, str. 314.

Podobno równie podniosły strój ma trzymać niewydany jeszcze jego poemat: *Echo*. Spodziewają się, że będzie to w połączeniu z dotychczasowymi jego utworami, akt ery w odbudowaniu tego, co zburzyła armia pesymistów z Schopenhauerem na czele. Otóż takięto potęgi młodzieniec tłómaczył *Dziady*. Najpiękniejsza ich część, którą mamy w tej chwili pod ręką, a którą łatwo z pierwszych już dźwięków poznać po jej grozie metafizycznej, po najwyższym napięciu siły elektrycznej, która przypomina i *Kaima* Bajronowego i *Fausta* i wszystkich razem *Prometeuszów*, przełożoną została przez pana Lipinera wierszem białym-piorunującym. Tęm lepiej oceni ją publiczność niemiecka. Inne z przytoczonych wierszy są rymowe. I tu jednak miarę dokładności czytelnik brać może np. z tego wstępnego zagajenia *Dziadów*:

Ueb'ral Däster, ueb'ral Schweigen,
Was mag kommen, was sich zeigen.

„Ciemno wszędzie, głucho wszędzie,
Co to będzie, co to będzie.”

Z powodu zdania Mickiewicza o Garczyńskim, wypowiedzianego tak gorąco w listach i odczytach paryzkich, p. Blumenstok słusznie upatrując tu dogmat samego twórcy *Dziadów*, przytacza przekład niemiecki ustępu z ody Garczyńskiego (w *Wacławie*) wyborym siedmiomiarem, w strofie dłuższej, a czteromiarem w krótszej, który prosimy porównać z pierwtworem:

Genius! du wirst mit Rachengesang mir auch die Brust beseelen,
Und so voll Gefühl soll mein sein, wieder Mutter Schluchzen,
Racheschnaubend, wie nicht einmahl in der Hölle man Raohē träumt,
Ja, die Menschen und der Himmel, sie sollen es ihm bezeugen:

Wie dem Herzen der hohe Gedanke,
Wie den Gedanken, der Thatenschwang,
Wie die Zeit, dem Prophetengesange,
Wie der Wahrheit, die Unsterblichkeit.

„Geniuszu! i ty pierś natchniesz zemsty pieśnią,
I śpiew mój będzie czuły, jak płacz matki,
Mściwy, jak w piekle zemsty sobie nie śnią,
I ludzie, niebo, staną mu na świadki:

Jako sercu—myśl wysoka,
Jako myśli—czynów dzielność,
Jako—czas pieśniom proroka,
Jako prawdzie—nieśmiertelność.”

Wróćmyż do *Dziadów*, czyli, jak w języku tłómacza niemniej namaszczonego nazywają wyrazem, do *Święta umarłych*.

„Z uczuciem religijném, mówi p. Blumenstok, każdy współziomek poety, każdy znawca piśmiennictwa rodzinnego, wymawia to słowo *Dziady*—z uniesieniem nabożeństwa. Nikomu nie przyjdzie tu na myśl ani źródłostowne, ani kulturalne znaczenie wyrazu! Nie! budzi się tu

natychmiast głęboki w myślach, wiekuisie piękny poemat Adama Mickiewicza. Imienia tego od imienia księżęcia pieśniarza oddzielić niepodobna; niepodobna czytać *Dziadów*, a nie zapuścić siebie całego w to epos, nie wchłonać go w siebie, z całym tytanicznym jego poletem, z fantazyjnemi i mistycznemi jego zdaniem, jego ujemnościami. Jest to utwór narodowy i nie da on się porównać ze współrodniemi utworami innych ludów. W *Dziadach* wprawdzie każdy odkryć może to, co tylko zachce każdy *szperacz* literacki: może z niego wywołać zakłębienie: ducha i duchy Manfreda, może rozmyślać o świecie z Faustem i Hamletem, opłakiwać cierpienia Wertera, kroczyć po piekłach Dantego i truchleć przed grozą *piekielnej komedyi* (*höllische Komödie*) Zygmunta. Wszyscy poeci mają za wspólny swój pierwiastek jedno: geniusz. Mamy tu jeden i ten sam geniusz i ztąd możliwość paralelizmu; ale znów geniusz każdego poety oddzielnego, który wypowiada świat *swoich* uczuć, myśli i zasobów. Co najpowierzchniejszemu sądowi o arcytworach wielkich poetów obecnego wieku podobnym się wydaje, to: ton główny, krój pieśni, ta sama skarga, ten sam ból, to samo wydzieranie się na jaśnią, toż samo ocknięcie się ducha i wybuch płomiem. Co tylko wzruszało umysły, co drgało w przeczuciach młodych serc naszego wieku, wszystko to odzwierciedla się w jego pismach i jakkolwiek drażnić to może dumę mas, muszą one kroczyć za śladem takich duchów, jak żeglarze trzymać się muszą szlaku tych, co pierwsi na nieznany ocean puścić się odważyli. Takim pionierem i przewodzącą drogą dla swojego społeczeństwa był Mickiewicz."

Nadzwyczaj umiejętnie p. Blumenstok wywodzi duchową genezę *Dziadów*. Należy nam jednak tok wywodów autora pod tym względem przyjmować z pewnemi zastrzeżeniami. Podług niego część pierwsza ma w podstawie swojej mit ludowy, i z tego względu ta część przedewszystkiem ma być narodową. Fantazyjna strona *Dziadów*, mówi dalej, zesnuje się życia rzeczywistego ze światem metafizycznym, bytu widomego z królestwem duchów: był to fakt dany poecie w wierzeniach ludu, w jego pieśni wcielonych. I w tém znamieniu, podług autora „Mickiewicz przypomina Szekspira.“ Nic sprawiedliwszego nad to zdanie p. Blumenstoka! Wszakże i Goethe na ludowych żywiołach wzbił się do wysokości swego *Fausta*. Jak w Niemczech, jak w Anglii, tak i u nas: ludzie porządku klasycznego nie z samowiednego wstrętu deptali po tych żywiołach z pogardą, a przynajmniej... z lekceważeniem. Pochodziło to raczej z pewnego rodzaju gnuśności; poskąpili tego estetycznego zachodu, jakiego wymaga wogóle zdjęcie pierwszych warstewek z mitu, pod którymi tuż zaraz leży jego poetyczność; woleli mit gotowy, ociosany, starożytny. Szkoła romantyczna, jak wszędzie tak i u nas, a książkę pieśni nad wszystkimi, zadali sobie pracę skierowania się ku mitowi ludowemu z tém godłem, że co duch ludzki w ciągu wieków i pokoleń składał w dziedzinę obiektywną—w świat, jako ideę, jako pojęcie, to wy dostać z niej powinien jako pięknotę. Na to wielkiemu człowiekowi nie potrzeba koniecznie

być naśladowcą. Mniej więc sprawiedliwie p. Blumenstok w dalszym ciągu *Dziadów* wprowadził mitowy i duchowy świat Goethego i Byrona (str. 175). Wszak i Byron protestował dobitnie przeciwko zdaniu Goethego, który w *Manfredzie* chciał widzieć odbicie przeprowadzonego w *Fauscie* wcielenia myśli metafizycznych. Nic podobnego, podług nas, w dalszym ciągu *Dziadów* dostrzedz się nie daje. Mickiewicz nie więcej jak tylko odnalazł pierścień Kunegundy, wy dostał na jaśnią ową myśl religijno-filozoficzną z tradycyi, jaką pierwotna społeczność w nią złożyła. Jako naczelny dowód przeciw mniemaniu szanownego miłośnika naszej poezyi, przytaczamy ten fakt, że najgłówniejsze z konkretnych sprężyn tego poematu nic wspólnego z otoczeniem *Fausta* mieć nie mogły. Oto jedyne *ale*, z jakim przeciw wybornemu, z sercem i rozumem poprowadzonemu studyum p. Blumenstoka, odważyliśmy się wystąpić. Oprócz braterskiego usposobienia ku przedmiotowi, widać w tém studyum i głębokie wniknięcie w tajniki duszy bohatera i rozległe czytanie i wpatrzenie się w postacie przeszłości: jest tu i Kołłątaj, i Euzebiusz Słowacki, i Ursyn, i Czacki, i Baliński, i bracia Śniadeccy.

Kończymy tę część sprawozdania energicznym wierszem, wyjętym z tekstu studyum:

O! strebe nach des Himmels Licht,
Zerbrich, was kein Verstand zerbricht,
Damit durch uns der Klumpen Erde
In neue Bahn geleitet werde.

* * *

Zwracamy się teraz ku innéj sferze.

Oddawna w naszej prasie, szczególniej codziennéj, odzywały się głosy niezadowolenia, to podziwu, z powodu, że prasa angielska, tak niegdyś baczenie wglądająca w objawy naszej umysłowości, uporczywie zachowuje milczenie właśnie w chwili żywszego i samowiedniejszego jéj ruchu. Jednakże ta apatyczna postawa, jak wiemy, zmieniła się. Z kolei przychodzi nam dotożyć poważny szczegół, dowodzący téj zmiany.

Jeden z najdojrzałszych organów naukowój prasy angielskiéj: londyńskie *Athenaeum* koniec roku zwykł był zamykać rozległym artykułem p. t.: *Literatura stałego ładu* (*Continental Literature*) w alfabetycznym porządku narodów. Przez długie lata napróżno wyglądaliśmy tam wzmianki o piśmiennictwie naszym. Aż wreszcie doczekaliśmy się sprawozdania.

W grudniowym zeszytcie *Athenaeum* podany jest obraz głównych zjawisk, który, jak czytamy w innych pismach angielskich, przyjemne sprawił *zdumienie*,—zdumienie, powtarzamy, bo publiczność dziwi się, że dopiero dziś jéj gazety literackie głoszą to, o czém wiedziała już cała wykształcona atmosfera Łądu. Artykuł, o którym mówimy, napisał dla *Athenaeum* p. Adam Bełcikowski. Jedną z trzech kolumn

jego sprawozdania zajmuje dział historii i dziejów literatury. Co się tyczy poezyi, autor nasz mówi, że „złote dni poezyi w Polsce—i podobno nietylko w Polsce—przeszły.“ Młodszemu pokoleniu, mówi sprawozdawca, brak tętna duchowego, nie ma ono ideału, a co najwyżej, stara się zdobyć sobie doskonałość formy. Wspomina Stanisława Grudzińskiego, Biernackiego i wydanie utworów Słowackiego przez prof. Małeckiego. Co do sceny polskiej, autorowi ze smutkiem wyznać przychodzi, że repertuary zapełnione bywają półświatowemi utworami pióra francuzkiego! Jednakże autor wymienia z uznaniem trzy imiona z komedyi polskiej: Józefa Blizińskiego, Kazimierza Zalewskiego i Michała Bałuckiego; o tragedyi i dramacie historycznym mówi z pewnego rodzaju tęsknotą, iż rzadko one ukazują się na deskach teatru w Warszawie, w innych zaś miastach istnieją tylko trzy teatry i to biędne, o prywatnych tylko środkach. Wymienia jednak utwory W. Rapackiego, Adama Bełcikowskiego, Juliana z Poradowa i *Franceskę da Rimini*, p. H. W. Odrębne stanowisko, mówi dalej, zajmują utwory Wł. Okońskiego. Najszerzej rozpisuje się sprawozdawca o dziejopisarstwie. „Historya, mówi p. Bełcikowski, zawsze była ulubionym przedmiotem pracy u Polaków, dlatego tóż od niej zaczynam. Ze zbiorów materyaków wspomnieć wypada o II-m tomie Kodeksu dyplomatycznego Wielkopolski, listów Andrzeja Zebrzydowskiego biskupa krakowskiego, o 1-ój części zbioru: *Codex Diplomaticus Civitatis Cracoviensis* i innych. „Z zakresu właściwej historii p. Bełcikowski wspomina o *Historyi pierwotnej Polski* J. Bartoszewicza, uważając za szczególniejszą zastęgu to, że zajmuje się stosunkami Czechów, Rusi i innych Słowian, zostających wówczas w związku z Polską. O *Historyi* p. Bobrzyńskiego odzywa się w ten sposób: „Dzieło to wywołało niezwykle wrażenie. Historyą we właściwem znaczeniu wyrazu to dzieło nie jest; jestto traktat napisany w duchu politycznej filozofii, dziś panującej w zakresie badań nad przeszłością tego państwa. Odznacza się ono pesymistycznym poglądem autora na dzieje Polski i takich osobistości jak Zygmunt I i syn jego Zygmunt August.”

Najpokaźniej przedstawiającym nas w obliczu publiczności angielskiej będzie podobno ten z końcowych ustępów sprawozdania, którego bohaterem jest Jubilat.

„W dziale o powieści, mówi p. Bełcikowski, najpierwsze miejsce należy się wspomnieniu o obchodzonym w tym roku jubileuszu Nestora współczesnego piśmiennictwa polskiego—J. I. Kraszewskiego. Uroczystość na cześć jego obchodzona w Krakowie, nadała powszechny rozgłos jego imieniu i spowodowała, że tam, gdzie piśmiennictwo nasze było mało znanem, albo zupełnie nieznanem, dowiedziano się z zadziwieniem, że jeden Polak napisał nie mniej jak pięćset tomów; że więc piśmiennictwo to nie może być tak nieznanym i tak ubożuchnym, jak sobie wyobrażano. W tym roku (1879) nasz weteran napisał nie mniej jak dziesięć powieści w osmnastu tomach, nie mówiąc już o innych jego dziełach.”

Najpierwsze miejsce po Kraszewskim p. Bełcikowski przeznaczą pani Elizie Orzeszkowej; następnie wymienia T. T. Jeża, Z. Kaczkowskiego. Kończy ogólnym podaniem liczby wychodzących pism czasowych, około 120: 40 w Galicyi, 15 w Poznaniu i na Szlązku, 60—70 w Królestwie Polskiem.

Zachowując się obiektywnie w niniejszem streszczeniu artykułu p. Bełcikowskiego, w ogóle wdzięczni mu jesteśmy, że przyczynia się do przebudzenia prasy angielskiej z tój obojętności, której podobno—*my sami* byliśmy powodem.

KRONIKA PARYZKA,

LITERACKA, NAUKOWA I ARTYSTYCZNA.

Uroczystość w Akademii francuzkiej: mowy Henri Martin i Ksawerego Marmier.—Rozprawa profesora Fustel de Coulanges *O własności w Sparcie*.—*Pamiętniki pani de Rémusat*, z czasów pierwszego cesarstwa.—*Pamiętniki Meternicha*.—*Les Rois en exil*, powieść Alfonsa Daudet.—Poeta Sully Prudhomme.—Przekład dzieł Schopenhauera: *Ustęp o kobiecie*.—Przedmowa A. Dumasa do nowego wydania prac dramatycznych.—*Anna Kerwiller*, dramat Legouvégo.—*Melidona*, powieść Edwarda Schure.—Wykopaliska na polach Maratonu.—*Mieszkania ludzkie w różnych epokach*, p. Karola Lucas.—*Robotnicy w Europie*, p. Le Play.—Biblioteka narodowa w Paryżu.—*Ojciec zadżumionych*, przekład p. W. Gasztowtta.—Uroczystość Mickiewicza.—*Pan Tadeusz*.—*Monseigneur Vladimir Czacki*, zyciorys nuncjusza.—Prace bibliograficzne p. Gustawa Pawłowskiego.—Koncerta panien Bulewskich.—Otwarcie kursu profesora Chodźko: lekcya wstępna.—*Jubileusz Kraszewskiego*.

Przyjęcie znakomitego historyka Henri Martin odbyło się w Akademii w połowie listopada. Nigdy może podobna uroczystość nie poruszyła tak żywo literatów i polityków, nigdy jeszcze nie zamąciła tak głęboko olimpijskiego pokoju nieśmiertelnych. Mnóstwo okoliczności, na których obliczenie starczyć nie mogą nasze ramy, zbiegło się tu razem, i z prostej uroczystości akademickiej uczyniło prawdziwy dramat. Zawzięte walki stronnictw politycznych, wstrząsające dziś Francją, dostarczyły mu podostatkiem żywiołów

Długie życie Thiersa, po którym krzesło obejmował Henri Martin, przeważny wpływ jaki minister Ludwika Filipa wywierał na ogólne wypadki w świecie, wyższe jeszcze stanowisko prezydenta Rzeczypospolitej, wielkiego finansisty, który umiał obliczyć siły Francyi i wycisnąć z niej miliardy, oswobodził kraj od najazdu pruskiego; nakoniec prace znakomitego historyka i ekonomisty: wszystko to po-

ruszało mnóstwo najważniejszych pytań, w dziedzinie polityki i teorii społecznych. Jakże tu mówić o Thiersie, bez ocenienia jego działań w sprawie Wschodniej, podniesionej w roku 1840, za jego ministeryum? On pierwszy jak wiadomo, użył Słowiańszczyzny na poparcie polityki francuzkiej. W tym celu ustanowił katedrę, zatytułowaną mylnie *katedrą języka i literatury słowiańskiej*, jak gdyby na całym obszarze, zajęтым przez ludy mówiące po słowiańsku, istnieć miał tylko jeden język i jedna literatura! Jakże tu mówiąc o Thiersie nie podnieść pytania o własności, skoro on w roku 1848, stanął jako jeden z najznakomitszych obrońców prawa własności osobistej, gdy to prawo zagrożonem było przez socyalistów paryzkich? Jakże znów rozbierając dzieło świetnego historyka wojen i tryumfów Napoleońskich, nie pokazać, że on to właśnie, tak dziełem swoim, jak również sprowadzeniem zwłok cesarza z wyspy Świętej Heleny, rozdmuchał w płomień iskrę Bonapartyzmu, tlejącą w sercach, a témsamem utworował drogę dla nowego cesarstwa, któremu okazał się później tyle wrogim?

Wszystkie te pytania tak żywotne, tak palące w dzisiejszym stanie umysłów, mąciły w dziwny sposób zwyczaje akademickie i poważny pałac Mazaryniego przemieniały na Forum. Aby uniknąć skandalicznego starcia, rozważni akademicy, usunęli kilka miesięcy temu z areny swojej, ostatniego ministra napoleońskiego, Emila Oliviera, który jako pełniący obowiązki dyrektora, w chwili gdy Thiers umarł, wprowadzać miał nowego członka w podwoje Akademii. Zastąpił go Ksawery Marmier, zuany podróżnik i literat, daleki od sporów politycznych.

Jeśli jedne trudności usunięte zostały, inne zato nie dały się usunąć. Henri Martin, szczerzy republikanin, zapalony zwolennik rewolucji 1789 r., zanadto ma wybitny charakter polityczny, aby mógł w mowie swojej nie potrącić o najdrażliwsze zagadnienia. Jakoż mowa jego cała, wbrew akademickim tradycyom, była rozprawą polityczną. Nie mógł wypowiedzieć w niej wszystkiego co mu leżało na sercu. W sprawie zwłaszcza słowiańskiej, był on od dawnych lat silnym i stałym przeciwnikiem Thiersa; był promotorem innej zupełnie polityki, opartej na federacyi wszystkich ludów aryjsko-europejskich¹⁾. Okoliczności zmuszały go do milczenia; odczuli jednak ten przymus obecni, i to właśnie milczenie stanowiło dramatyczną stronę jego akademickiej rozprawy. Niechcąc i niemogąc ogarnąć w niej długoletniego zawodu Thiersa, pokazał go ze strony najsympatyczniejszej dla siebie, jako patryotę, jako syna wielkiej rewolucji, jako jęć gorącego

¹⁾ Prace Henri Martina, przyczyniły się najwięcej w roku 1868 do zmiany prawa Thiersa z roku 1840, dotyczącego katedry słowiańskiej w kolegium francuzkiem: nowe prawo dało jęć tytuł katedry *języków i literatur słowiańskich*. Rzecz naturalna, że ani Izbie, ani rządowi francuzkiemu, nie szło tu o samą nazwę, jak to wyjaśnił w Izbie prawodawczej Carnot, b. minister oświecenia.

apologistę. Pomija on działania Thiersa za monarchii lipcowej, nie dotyka jego wschodnio-słowiańskiej polityki, przeciw której niegdyś tak stanowczo sam występował; z zapałem zato przypomina słowa Thiersa, wyrzeczone z trybuny w roku 1848: „jestem, mówił on, stronnikiem rewolucyi! Pragnąłbym, aby rząd rewolucyjny pozostał w ręku ludzi umiarkowanych, ale gdyby ten rząd przejść miał w ręce ludzi mniej umiarkowanych odemnie i przyjaciół moich... nie opuszczę dlatego sprawy; będę zawsze stronnikiem rewolucyi!”

Łatwo pojąć, jak te słowa, odbite o ściany pałacu akademickiego, zamącić musiały tradycyjny ich spokój, jak dziwnym dysonansem odbrzmiewała tu owa apoteoza rewolucyi.

Odpowiedź Marmiera miała zato czysto akademicki charakter. Z życia Thiersa opuścił on zupełnie stronę polityczną, a podniósł tylko znaczenie dzieł literackich, niestychany blask i czarodziejski urok stylu. Pokazuje żelazną jego wytrwałość w pracy. Jakim sposobem, pyta, Thiers mógł podolać tylu podjętym trudom? W odpowiedź na to przytacza jego własne wyrazy: „Zwolennicy wiecznego pokoju nie znają ani człowieka, ani jego przeznaczenia na ziemi. Świat jest wszechstronną działalnością, człowiek stworzony do działania. Czyto przeznaczony do szczęścia, czy też skazany na cierpienie, to pewna, że wtedy życie najmniej mu ciąży, kiedy silnie zajęty pracą.”

I na potwierdzenie tych słów Thiersa, Marmier pokazuje bezustanną jego działalność. Co dnia wstawał równo ze świtem i natychmiast chwycił za pióro. Do ostatnich chwil zachował wiernie ten zwyczaj. Podczas wakacyi parlamentu, zwykł był często powtarzać: „Moje wakacye, to ośmnaście godzin codziennj pracy!”

W podrózach swoich Thiers niemniej był czynnym, ztąd ogromne odnosił z nich korzyści. W roku 1836, uwolniony od obowiązków ministra, pośpieszył do Włoch. W Rzymie, pod przewodnictwem Ingres'a, zwiedzał z zapałem odwieczne pomniki, kościoły i galerye. Te starożytne zabytki Romy, katakomby i bazyliki średniowieczne, dzieła mistrzów z epoki odrodzenia: wszystko to porywało jego umysł spragniony wiedzy, a zarazem wysoko artystycznej.

Cieciwość nauki nie opuszczała go do ostatnich dni życia. Mając lat osmdziesiąt, codziennie zwiedzał naprzemian, to muzeum historii naturalnej, to obserwatoryum, to jakiś inny zakład ściśle naukowy. Z Le Verrierem badał obroty ciał niebieskich, z uczonym Pasteur czynił sam doświadczenia chemiczne; w galeryach zoologicznych, z mikroskopem w ręku, śledził kształty najdrobniejszych żyjątek. Prace te podejmował w celu utworzenia wielkiego dzieła, o związku człowieka z otaczającym go światem, o pierwotnym jego początku i ostatecznym przeznaczeniu. Śmierć przerwała tę olbrzymią pracę; pozostały z niej przecież ustępy niemałej doniosłości.

Mniej względnym okazał się Marmier, w ocenieniu prac historycznych Henri Martin'a. Podnosi on wysoko jego historję Francyi, objętą w szesnastu wielkich tomach, zaszczyconą trzykrotnie najwyższą nagrodą akademicką; czyni jednak w niej niejakię zastrzeżenia.

Gorący legitymista, w królestwie jedynie widzi całą potęgę, całą chwałę Francji. Dzieje dla niego rozpoczynają się od Klowisa, w czasach krucyat dochodzą najwyższej apoteozy. Henri Martin, głosi nie mniej chwałę krzyżowych wojen, postać Ludwika świętego otacza jasną aureolą, ale początki narodu swego i pierwsze promienie jego chwały, odnosi do nierównie dawniejszych czasów.

Inicytorem wielkiego historyka Francji był Joachim Lelewel. Dzieło naszego archeologa o numizmatyce galskiej, otworzyło mu oczy; zobaczył jasno, że Gallowie, w dziejach Francji, nie byli jakąś abstrakcją, godną zająć tylko erudytów, ale że krew Gallów płynie w żyłach Francuzów dzisiejszych, jak się wyraził Lelewel ¹⁾. Przypominamy sobie, z jakim uniesieniem Henri Martin, na jednej z dawniejszych konferencji (1869 r.), opowiadał licznym słuchaczom radość, jakiej doznał w chwili, kiedy prawda uderzyła go pełnym blaskiem. Przedtém już pisał on o Gallach, lecz nie rozumiał ich znaczenia, nie pojmował ich wpływu na obecne dzieje Francji; dziś zaś w żywiole galskim, widzi jedyne kryterium, na którym opiera całą przeszłość, a co więcej i przyszłe odrodzenie narodu!

Ten zapal historyka dla Gallów, nie podoba się ani legitymistom, ani też demokratom. Legitymiści patrzą z pogardą na dzieje, poprzedzające królestwo germańskich Sykambrów, demokraci zaś radziby zatrzeć cały wątek odwiecznych podań, aby tém świetniej rozpoczynać dzieje od wielkiej rewolucji. Dziwna zaprawdę ich ślepotą! Henri Martin lepiej służy sprawie ludu, niż wszyscy demokratyczni teoretycy. Gdy ci opierają się na abstrakcyi, podnosząc prawa człowieka, bez względu na jego ród i przeszłość dziejową; on tymczasem, z praw uświęconych wiekami, wyprowadza prawa na przyszłość. Dzisiejszy lud francuzki, według niego, to krew z krwi, kość z kości starych Brenusów i Wercyngetoryksów; to granitowy pokład, po którym przepłynęły rzymskie i germańskie powodzie, a który mimo to pozostał solą ziemi, kamieniem węgielnym przyszłego społeczeństwa.

Idei tej nie zrozumiał Marmier, niesłusznie też wyrzuca historykowi jego druidyczne mrzonki, jak gdyby Henri Martin chciał budować Menhiry na gruzach chrześcijańskich przybytków!

Zostawiamy na boku wiele innych, równie ważnych pytań, poruszonych obiorem Henri Martin'a, na następcę Thiersa w Akademii. Dodajmy za to kilka rysów, określających sympatyczną osobistość nowego akademika.

Urodzony w roku 1810, liczy on blisko lat siedmdziesiąt. Piękny to starzec w całym słowa znaczeniu. Rosły i kształtny jak dąb, rysy ma dorodne i wyraziste, oko czarne tryskające życiem. Rumiane lica pięknie odbijają obok białej brody i śnieżnych włosów. Znany

¹⁾ Tę samą myśl sformułował nasz historyk w dziele polskiem p. t.: *Narody na ziemiach słowiańskich.*

cuorny portret jego, malowany przed laty trzydziestu, słynnym pędzlem Ary Scheffera. Oblicze zmieniło dziś charakter, nabrało powagi, lecz nie zatraciło młodzieńczego uroku.

Dziecinne lata spędził w Pikardyi, w rodzinném mieście St. Quentin, gdzie ojciec pełnił urząd sędziego trybunału. Miał lat ośmnaście, kiedy, po ukończeniu nauk szkolnych, udał się do Paryża. Tu ojciec umieścił go przy notaryuszu w mniemaniu, że z czasem upodoba sobie ten zawód. Ale nieprzeparty pociąg pchał młodzieńca na drogę literatury. Zbudzony romantyzm rozpłomienił jego wyobraźnię. Pod wpływem nowych pojęć, napisał w roku 1830 szczególny romans: *Wolfthurm (Wileza Baszta)*; podpisał ją pseudonimem „Irwen,” gdyż nazwisko Martin, zbyt pospolite w Paryżu, raziło smak młodego załęca.

W dniach lipcowych czynny wziął udział w walce na ulicach Paryża; posłuszny ojcu, nie opuszczał jednak archiwów, mimo że praca biurowa dziwnie mu była wstrętną. Po ustalonym porządku we Francyi, okoliczności zbliżyły go z Pawłem Lacroix, żyjącym dotąd, i głośnym w świecie pod pseudonimem Jacob le Bibliophile. Lacroix zajmował już wydatne stanowisko w literaturze; kierował czterema dziennikami, miał wstęp do wszystkich redakcyi. Pod jego życzliwą opieką młody orzeł poprobował skrzydeł do lotu; jakoż wywalczył wkrótce byt niezależny; złagodzony tém ojciec, uwolnił go wreszcie od wstrętnego mu notaryatu.

Mając lat 21, Henri Martin poślubił młodą panienkę w mieście Saint-Quentin; z tą nieodstępną towarzyszką przeżył już lat blisko 50, z nią przetrwał ciężkie lata początkowego zawodu, z nią przyszedł do znaczenia i dostatków. Za rok poważna para obchodzić ma złote wesele.

Od 1830—1835 roku młody autor, pod skrzydłami przyjaznego mu Jakóba Bibliophila, zasilał liczne dzienniki i przeglądy płodami swego pióra. Porzucił wkrótce romantyczny pseudonim; pod własném imieniem pisywał do *Merkurego*, do *Gastronoma*, do *Guardzisty narodowego*, do dzienników mód, do ilustrowanych albumów salonowych. Krytyki literackie, nowelle, obrazki z życia, satyry i ulotne poezye, rozsiewał tu i owdzie z niesłychaną łatwością. Zamikowany w legendach i podaniach, zbierał je skwapliwie, odtwarzał w sposób prawdziwie poetyczny; w tym celu wyuczył się wschodnich języków.

W zbiorze stu i jednéj powieści, czytamy: *Odwiedziny w Saint-Germain* i parę innych pełnych życia nowelli. Wkrótce potem wydał dwa historyczne romanse: *Libellistę* i *Tankreda de Rohan*. Zabrał się wreszcie do pracy ściśle historycznej, p. t.: *La vieille Fronde* i skreślił cały szereg obrazków o czasów wojny domowój przeciw Mazari-niemu, za małoletności Ludwika XIV. Praca ta była przygotowaniem do innéj, nierównie obszerniejszój, którój Henri Martin zawdzięcza głównie imię swoje: mówimy tu o *Historyi Francyi*. Autor rozpoczął to dzieło za podniętą Pawła Lacroix: wydawał je częściowo, zrazu

beziemiennie; na dziesiątym tomie dopiero, ośmielony powodzeniem, położył swoje nazwisko. Publikacja przeciągnęła się od r. 1833—1836, obejmowała piętnaście małych tomów. Pierwsza to była historia Francji w tak szerokim zakresie, dotąd istniały tylko bogate monografie. Młody historyk zadowolił nią ziomków i zyskał gorący ich poklask: sam przecież nie czuł się zadowolonym; w miarę jak widnokrąg dziejowy rozwidniał się przed nim, widział tém wyraźniej niedostatki pracy wykonanej nazbyt dorywczo. Podczas gdy wydawcy rzucali w świat powtórny nakład, autor wzbogacony doświadczeniem, zabrał się do zupełnego przerobienia dzieła, dopełniał je coraz nowemi materjami. Wreszcie, po siedmnaścieletnich trudach, doprowadził je do końca i uczynił ważnym pomnikiem narodowym. Historia ta, wydawana częściowo do 1854 r., objęta w dziewiętnastu wielkich tomach, zjednała trzykrotnie autorowi pierwszą nagrodę akademicką i ustaliła jego sławę. Tymczasem nowe badania nad religią, obyczajami i poezją starych Gallów, odkryły świat nowy przed niezmordowanym badaczem: przerobił znów dzieło swoje, oparł je na nowych podstawach i wydał po raz czwarty w r. 1860.

W ciągu téj pracy, Henri Martin, żył się ze starymi Gallami, gorącą ukochał ich miłością; ocenił wielkie ich zalety, poznał wady, które nie pozwalały im zawiązać się w potężne i jednolite państwo. Zrozumiał wytrawny historyk, że w takim stanie rzeczy podbój Cezara stał się dziejową koniecznością. Nie powstrzymał rzymskich legionów wojenny geniusz Wercyngetoryksa, nie stawiły im tamy wysilenia i ofiary klanów galskich. Wielką tę chwilę wziął Henri Martin za przedmiot dramatu: osnuł go ściśle na faktach historycznych, ozdobił całą fantasmagoryą druidycznego świata; wiersz silny, pełen harmonii, podnosi wartość utworu. Henri Martin okazał się w nim znakomitym poetą. Wspaniała ten dramat p. t.: *Wercyngetoryks*, ukaże się wkrótce w przekładzie polskim.

Przed dziesięciu laty niezmordowany pracownik rozpoczął wydawnictwo popularnej historii: było to streszczenie prac poprzednich, dostępne dla ogółu. Publikacja ta, ozdobiona drzeworytami, objęta w czterech wielkich tomach, zjednała mu znów pierwszą nagrodę akademicką (20,000 franków). Tu także Henri Martin wprowadził nowy żywioł: ukazał Francją w grupie ludów aryjsko-europejskich, w obliczu ludów turańskiej cywilizacji. Streścił on tu długoletnie badania swoje nad słowiańszczyzną; pod tym względem dzieło historyka francuzkiego zasługuje na szczególną uwagę badaczy naszych, z których nie jeden, przez złe pojętą miłość kraju, patrzy na Polskę jako na społeczeństwo oderwane od innych ludów aryo-europejskiej cywilizacji, opartej na indywidualizmie. Tak wyłączny pogląd musiał sprowadzić, i w rzeczy samej sprowadził, mnóstwo błędów w ocenieniu dziejowego życia Polski. Dla nas przecież określenie miejsca, jakie naród nasz zajmuje pomiędzy aryjskimi a turańskimi ludami, nieskończenie większą ma wagę, niżeli dla Francji. Bodajby Henri Martin przykła-

dem swoim zachęcił badaczy naszych do rozpatrzenia się we własnych pracach i dopełnienia ich, jak to po tylekroć czynił znakomity historyk francuzki!

Na jedném z ostatnich posiedzeń Akademii Nauk Społecznych, profesor historii Fustel de Coulanges odczytał bardzo ważny memoriał o pierwotnych formach własności w Sparcie. Streścił w nim całoroczny kurs wykładany w Sorbonie w ciągu roku 1878. Wybrał on Spartę za przedmiot badań swoich, gdyż ta, według opinii powszechniej, reprezentuje w starożytności ustrój społeczeństwa ściśle komunistyczny. Autor powstaje przeciwko tej opinii, tak sprzecznój z duchem cywilizacji europejskiej.

Przebiegłszy poglądy starożytnych autorów na instytucje Sparty, Fustel de Coulanges okazuje wyraźnie, że żaden z nich nie mówi o wspólném posiadaniu ziemi. Rys tak charakterystyczny nie mógłby ująć uwagi takich badaczy jak Herodot, Ksenofont, Arystoteles, Plutarch i tyłu innych. Były wspólne stoły, ale ziemia nigdy nie była wspólną. Przeciwnie, nawet kiedy Arystoteles mówi o stanie ziemi w Lacedemonii, używa zawsze wyrażeń, które w greckim języku oznaczają zupełne jój posiadanie; mówi o donacyach, testamentach, nawet wprost o dziedzictwie. Na poparcie wywodów swoich, profesor przytacza dwa starożytne teksty: Heraklidesa i Plutarcha. Cytuje téż ważną uwagę Tucydyesa, że w Lacedemonii wszyscy obywatele noszą jednaką odzież i prowadzą jednaki rodzaj życia, lecz nie posiadają równych dostatków. Powtarza wreszcie słowa Arystotelesa, że za czasów jego, w Sparcie majątki spoczywały w ręku niewielu rodzin. Profesor udowadnia, że w czasach pierwotnych liczba właścicieli ziemskich daleko była większa.

W drugim rozdziale autor rozpatruje sposób uprawy roli w Lacedemonii. Prawo zabraniało tam obywatelom trudnić się bezpośrednio rolnictwem; praca ta ciążyła wyłącznie na ujarzmionych Iłotach. Ci zajmowali ziemię panów swoich i płacili z niej czynsz ograniczony prawem. Pozostała oprócz tego w Lakonii miejscowa ludność, niezupełnie pokonana przez Doryjczyków, posiadająca własną ziemię.

Trzeci rozdział poświęcony domowemu życiu Spartanów. Herodot, który pilnie badał ich obyczaje, nie wskazuje nigdzie radykalnej różnicy między stanem rodzin w Lacedemonii a w innych częściach Grecji. Ani Tucydyes, ani Ksenofont, ani Arystoteles, nic podobnego nie nadmieniają.

Fustel de Coulanges dowodzi stanowczo, że wspólność żon nigdy nie istniała w Sparcie; małżeństwo było aktem świętym; jednożeństwo powszechnie panowało, według Herodota i innych starożytnych autorów. Władza ojca nad dziećmi nie była absolutną, rząd nakazywał synom ćwiczenia wojskowe, mimo to działy wracała wieczorem pod dach rodzicielski. Spartanie, równie jak inni Grecy, mieli swe groby rodzinne.

Niesłusznie też pomawiano Spartę o brak węzłów rodzinnych. Każda rodzina posiadała własny dom i własne ognisko. Dyonizyusz z Halikarnasu świadczy, jak dalece to domowe sanktuarium szanowanym było w Lacedemonii. „Wszelkie, mówi on, złamanie porządku, publicznie popełnione, pociągało surową odpowiedzialność; ale rząd nie miał prawa mieszać się do spraw domowych. Wrota podwórca stanowiły granicę jego władzy; poza niemi panowała zupełna wolność. Domy bogatych obywateli urządzone były ze zbytkiem; kobiety używały wszelkiej swobody i przeważną wywierały władzę. Sami tylko mężowie powoływani byli do życia publicznego: wszystek czas poświęcali sprawom państwa.” Stwierdza to profesor wielką liczbą autentycznych tekstów.

W następnym rozdziale mówi o publicznych ucztach *Syssytyach*. Wielu nowożytnych pisarzy utrzymuje, że zwyczaj ten świadczył o wspólności majątków, a przynajmniej że był szczątkiem pierwotnego komunizmu. Z tekstów jednakże widzimy, że uczy publiczne nie odnoszą się do najdawniejszych wieków Sparty. Herodot mówi, iż nieznanne były w pierwotnym społeczeństwie; zaprowadził je Likurg. Plutarch widzi w nich reformę tegoż prawodawcy; Ksenofont twierdzi wyraźnie, że przed Likurgiem Spartanie jadali osobno w domach własnych. Wspólne uczy opisane są dokładnie w rozrzuconych tu i owdzie tekstach: profesor zebrał je razem i objaśnia kategorycznie.

Naprzód: Mężowie sami brali udział w tych ucztach, kobiety nie były do nich przypuszczone, zarówno jak i dzieci. Grecy historycy zapisali to najwyraźniej. Owóż nieobecność kobiet i dzieci u wspólnego stołu, dowodem jest, że te uczy nie były wcale instytucją komunistyczną; rodzina bowiem cała, oprócz męża, jadała w domu przy swym stole. Plutarch zapisał ciekawy szczegół, że Spartanin sam kupował codziennie na targu żywność dla całej swej rodziny.

Powtórę: Wspólna uczta odbywała się raz na dzień, wieczorem. Niekiedy obywatel wymawiał się od niej obrzędem ofiarnym przy domowym ognisku. Część nieodłączną ofiary stanowiła uczta rodzinna: obok wspólnych stołów, widzimy też i biesiady domowe.

Potrzebie: Wspólne wieczerze nie odbywały się kosztem miasta: każdy obywatel obowiązany był dostarczyć część żywności wskazaną prawem; a Plutarch oznacza nawet wymaganą ilość mąki, wina, séra, fig i pieniędzy na mięso. Państwo nie dostarczało nic; rząd nie karmił jednostek.

Poczwarte: Ubodzy nie brali udziału w ucztach wspólnych. „Trzeba, mówi Arystoteles, aby każdy członek przyniósł oznaczony dziak; ale są obywatele ubodzy, dla których byłoby to ciężarem. Prawo zatem wymaga, aby każdy, kto się uchyla od wspólnego stołu, tracił zarazem tytuł obywatela.” Dodaje uwagę, że prawodawca zamierzał utworzyć instytucją demokratyczną, ale chybił zupełnie celu; przeciwnie, uczy nie miały wcale demokratycznej cechy.

Fustel de Coulanges okazuje na koniec, iż te wspólne wieczerze stanowiły rodzaj tajemnych towarzystw i narad. Rozprawiano wiele u tych stołów, ale tajemnica musiała być ściśle zachowana. Kiedy Spartanie wchodziłi do sali, mówi Plutarch, przydujący u stołu odzywał się do każdego ukazując drzwi: „Zadne słowo tędy nie wyjdzie!” Wstęp do towarzystw nadzwyczaj był utrudniony; wotowano tajemnie na kandydatów: jedna kula czarna zabraniała przystępu.

Wykazawszy dowodami, że wspólny stół nie miał kumonistycznego charakteru, profesor okazuje cel jego rzeczywisty. Szło tu prawodawcy o przedłużenie życia obozowego podczas pokoju, o utrzymanie ścisłych związków między współobywatelami. Pragnął on przyzwyczaić obywateli do posłuszeństwa, utrzymać ich w karności, nagiąć ich do życia publicznego, dać uczuć Spartanom, że należą raczej do państwa, niżli do siebie samych. Prawodawca niemniej chciał wygnać zbytek, a zaprowadzić surową wstrzeźliwość.

W innym rozdziale autor rozbiera prawo cywilne w stosunku do posiadłości ziemskich; w innym znów oblicza majątki ruchome w Sparcie. Zbija tu mylne wieści, powtarzane za Plutarchem, jakoby wszelkie bogactwa wygnane były ze Sparty, a pieniądze prawie tam nieznane. W samymże Plutarchu autor znalazł przeciwne dowody; Ksenofont i Arystoteles mówią obaj, że ludzie bogaci w wielkiem tam byli poważaniu i radzi przechwalali się ze swych bogactw. Miłość Spartanów do pieniędzy znaną była pomiędzy Grekami. Przytaczają nawet wiele dowodów przedajności: otrzymywano tam wszystko za pieniądze od eforów i królów. Wprawdzie historycy Grecy odnoszą tę chciwość złota i rozmiłowanie w zbytkach do czasów, kiedy Lizander opanował Ateny; w przeszłości zaś podnoszą wstrzeźliwość i prostotę Spartanczyków. Profesor cytuje przeciw faktą, świadczące, że miłość zbytku panowała tam w czasach nierównie dawniejszych.

Fustel de Coulanges nie wyczerpał dotąd zajmującego przedmiotu: powróci do niego na przyszłym posiedzeniu Akademii. Rzecz to nadzwyczaj ważna, dziś szczególnie, kiedy niektórzy ekonomiści francuzcy, znani dotąd z węższych poglądów, jak Laveley, stają się propagatorami idei komunistycznych. Usiłują oni dowieść, jakoby komunizm, przeważający w instytucjach Turków, Arabów, Mongołów, Chińczyków i ogólnie ludów turańskich, miał być również cechą plemienia aryjskiego; ztąd wyprowadzają wniosek, że realizacja komunizmu w Europie przyczynić się może do dalszego rozwoju jój cywilizacji. Taki gwałt społeczny gdyby mógł nastąpić, nie tylko że zniszczyłby do gruntu wszelkie tradycje historyczne, ale co więcej, zburzyłby fizjologiczno-psychiczne instynkta ludów europejskich, u których przez czterdzieści wieków dziejowego bytu, indywidualizm oparty na osobistym dziedzictwie ziemi, był główną zasadą moralności. Ślady zaś komunizmu, jakie się tu lub owdzie pojawiają, są tylko przypadkowym wyjątkiem. Dowodem na to historia Rzymu, a bardziej jeszcze historia

Rzeczypospolitych greckich. Z tego to powodu badania p. Fustel de Coulanges tak głębokie sprawiły wrażenie.

Co do Słowian, niezliczone dowody historyczne pokazują najściślejszą jedność ich plemienną z innymi ludami aryjskimi. Naruszewicz, jak mówi sam, dlatego tłómaczył dzieła Tacyta, że wśród rzeszy germańskich widział ojców dzisiejszych Słowian. W ostatniem dziele swoim uczony W. A. Maciejowski, wyjaśnia rozszerzenie prawa magdeburskiego do Kijowa i Smoleńska tém właśnie, że owe prawo, tak silnie indywidualistyczne, było słowiańskiem w duchu. Dodajmy do tego sam instykt włościan, tak nad Wisłą, jak i nad Dnieprem, instykt pędzący ich do wyrobu indywidualizmu, do dziedziczenia osobistego. Wszystko to razem jakże silnie zbija rozumowania tych teoretyków, którzy opierając się na wyjątku z jakiegoś pisarza lub budując systema na podstawie samego racjonalizmu, rozszerzają u nas idee komunistyczne!

Bodajby ci propagatorowie tak fałszywych idei, zwrócili pilną uwagę na znakomite dzieło profesora Fustel de Coulanges, o ustroju społecznym w Sparcie!

Pamiętniki pani de Remusat, znane częściowo z ustępów drukowanych w *Revue des Deux Mondes*, pojawiły się w osobnem wydaniu. Pierwszy tom wyszedł właśnie zpod prasy, dalsze ukażą się niebawem. W ciągu dni dziesięciu wyczerpane zostały trzy nakłady. Świadczy to nie tyle o wartości dzieła, jak raczej o gorączkowym stanie umysłów we Francyi. Stronnictwo republikańskie przyklaskuje tej publikacyi, widząc w niej nowy akt oskarżenia przeciw cesarstwu.

Łatwo pojąć oburzenie Bonapartystów. Zapytują oni, dlaczego pamiętniki te, pisane przed sześćdziesięciu laty, tak długo spoczywały w ręku spadkobierców autorki? dlaczego nie wydał ich rodzony jej syn, zmarły niedawno akademik? Ztąd podejrzenie, że dzisiejszy wydawca, Paweł de Remusat, uczynił z pamiętników babki nowy oręż przeciw nienawistnemu stronnictwu, że aby osiągnąć cel tém pewniej, zaostrzył ten oręż i palącym zaprawił jadem.

Pani de Remusat, dama dworska Józefiny, przez czas konsulatu i cesarstwa, kreśliła dorywczo pamiętniki swoje w chwilach wolnych od służby pałacowej. Po powrocie Napoleona z wyspy Elby, spaliła je z przestרחu. W lat kilka później, poraz drugi spisała je z pamięci. Chateaubriand miał w ręku ów powtórny rękopism. „Koloryt jego słaby, mówi on, są to wspomnienia, odbite z dawnych wspomnień.” Taki sąd Chateaubrianda musi zdziwić każdego, ktokolwiek rzucił okiem na wydane dziś pamiętniki; barwa ich bowiem jaskrawa aż do zbytku, snąc przeszły przez pędzel namiętnego kolorysty.

Nie myślimy wdawać się w szczegóły: skandaliczne sceny, jakimi autorka do przesytu karmi czytelników, budzą w nas obrzydzenie. Nie potrzeba być Bonapartystą, aby uczuć wstręt do osoby, która po-

zyskawszy zupełną ufność rodziny cesarskiej, korzystając przez lat kilkanaście z jej względów, wypłaca się potwarzą i niewdzięcznością.

Pamiętniki te oburzyły samychże legitymistów. Krytyk ich organu *Union*, wyraża się nadzwyczaj ostro o tej skandalicznej publikacji. Przytaczamy tu jego słowa: „Jeżeli ci, którym służysz, wydają się w oczach twoich godnymi potępienia zbrodniarzami, opuść niezwłocznie ich dom. Ty czynisz inaczej! Przybierasz ton cnoty obrażonej, pokazujesz pierwszego konsula, jako złoczyńcę godnego szubienicy, a jednak zostajesz pod jego dachem, siadasz do jego stołu; przedstawiasz go jako nikczemnika, jako bandytę, bez czci i wiary... a przyjmujesz jego dobrodziejstwa!”

Ta właśnie strona skandaliczna podoba się publiczności i nadaje dziełu tak wielki rozgłos. Nie wiemy, o ile wnuk wydaniem tych pamiętników, przyczyni się do zabicia nienawistnego mu stronnictwa, to wiemy tylko, że znieważył pamięć babki, pokazując światu nikczemny jej charakter.

Inne jeszcze pamiętniki z czasów pierwszego cesarstwa, ukażą się niebawem w druku. Czy wszystko tu nosić będzie rzetelne piętno prawdy, trudno nam o tym wyrokować; wyszły bowiem zpod pióra zaprawnego jadem nienawiści, a drukowane w trzydzieści lat po skonięciu autora, mogły także uleść wielu przeistoczeniem. Mówimy tu o pamiętnikach Meternicha, które drukują się równocześnie w Wiedniu, Londynie i Paryżu. Niektóre przeglądy otrzymały od wydawców mniejsze lub większe ustępy i te, jako nowość, ogłaszają w kolumnach swoich. Przytaczamy z nich ciekawy opis ostatniego spotkania dyplomaty z cesarzem Napoleonem. Było to w Dreźnie, na krótki czas przed przystąpieniem Austrii do koalicji.

„Słuchałem go przeszło pół godziny, pisze Meternich, przerwałem na koniec uwagą, że w tym wszystkim, co mówię, widzę konieczną potrzebę zawieszenia wojennych działań.”

„Fortuna, rzekłem, chybić może, tak samo, jak zdradziła Waszą Cesarską Mość w roku 1812. W czasach zwyczajnych, armie stanowią małą część ogólną ludności; dziś lud wszystek powołany pod broń. Armia dzisiejsza wyciśnięta z przyszłej generacji! Widziałem żołnierzy, to niedorośla dziatwa. Czujesz się N.Panie potrzebnym koniecznie narodowi, ale i naród potrzebny ci nawzajem. A kiedy zginie ta cała armia niedorostków, świeżo dziś zaciągnięta, pytam, co dalej będzie?”

Na te słowa Napoleon uniósł się gniewem; zbladł, rysy jego dziwny przybrały wyraz.

— Nie jesteś pan żołnierzem!—zawałał ostro—nie wiesz, co się dzieje w duszy żołnierza. Ja wzrosłem na polach zapasów, a człowiek jak ja, mało się troszczy o życie miliona ludzi!

Rzekłszy, a raczej wykrzyknawszy te słowa, rzucił w kąt sali swój kapelusz. Stałem oparty o konsolę, między dwoma oknami; słowa te głęboko mnie poruszyły.

— Czemu W. C. Mość udajesz się do mnie?—zapytałem—czemu wśród czterech ścian pokoju czynisz mi podobne zwierzenie? Otwórzmy drzwi naościę, bodajby te słowa odbrzmiały po wszystkich krajach Francyi. Sprawa, którą przedstawiam, nie utraci nic na tém.

Napoleon powściągnął się; ton głosu jego był odtąd spokojniejszy, ale słowa niemniej znaczące.

— Francuzi—rzekł—nie będą się na mnie uskarżać; dla oszczędzenia ich, poświęcałem Niemców i Polaków. Straciłem trzykroć sto tysięcy ludzi w kampanii rosyjskiej; w tej liczbie, ledwie było trzydzieści tysięcy Francuzów.

— W. C. Mość przepominał—zawołałem—że mówi wobec Niemca.

Napoleon począł przechadzać się ze mną po sali, okrążając ją, podjął z ziemi kapelusze. Mówił znów o swoim małżeństwie.

— Tak jest—rzekł—popełniłem wielką nedorzecznosc, biorąc za żonę arcyksiężniczkę austryacką.

— Jeśli W. C. Mość chce wiedzieć moje zdanie, wyznam najotwarciej, że Napoleon *zwycięzca* popełnił błąd—odpowiedziałem spokojnie.

— A więc cesarz Franciszek chce zdetronizować własną córkę?

— Cesarz—odrzekłem—zna tylko powinność swoją i wiernie jej dopełni. Cokolwiek los przeznacza córce jego, cesarz Franciszek jest przedewszystkiem monarchą, a dobro ludów swoich więcej waży, niż wszelkie inne względy.

— Tak—przerwał Napoleon—co pan mówisz, nie dziwi mnie bynajmniej; wszystko to utwierdza mnie w przekonaniu, że popełniłem błąd wielki. Pojmując arcyksiężniczkę austryacką, chciałem połączyć teraźniejszość z przeszłością; gotyckie przesady z instytucjami mego wieku. Omyliłem się, czuję dziś cały ogrom méj winy; okupię to może kosztem tronu, lecz pogrzebię świat pod jego zwaliskami.

Rozmowa przeciągnęła się do pół do dziewiątej wieczorem. Zapadła już noc czarna. Nikt nie śmiał wniknąć do gabinetu. Żywa dyskusya nie przerwała się ani na chwilę. Po sześć kroć słowa moje były wyraźnym wypowiedzeniem wojny. Nie przytaczam tu wszystkich słów Napoleona, w tym przedłużonym sam na sam; uwydatniłem tylko najważniejsze punkta, te właśnie, które bezpośrednio odnoszą się do mojej misyi. Z jakie dwadzieścia razy odbiegliśmy od przedmiotu; ktokolwiek znał Napoleona i miał z nim do czynienia, wcale się nie zadiwi.

Kiedy mnie cesarz żegnał, głos jego spokojny był i łagodny. Nie mogłem już dojrzeć jego rysów; odprowadził mnie do drzwi sali.

— Zabaczmy się jeszcze, mam nadzieję—zagadnął—kładąc rękę na klawce.

— Gotów jestem na usługi W. C. Mości—odrzekłem—lecz nie mam nadziei osiągnięcia celu misyi mojej.

— A więc— odparł Napoleon, uderzając mnie po ramieniu— czy wiesz pan co nastąpi? Wy nie będziecie walczyć ze mną.

— Zgubiony jesteś, Najjaśniejszy Panie!— zawołałem żywo.— Przeczuwałem to, gdy tu wchodził: odchodzę najsilniej o tём przekonany!

W kilka dni potём armia francuzka zginęła pod Lipskiem, przytłoczona liczbą, a bardziej jeszcze zdradą korpusów saskich!

Ostatnia powieść Alfonsa Daudet p. t.: *Les Rois en exil*, żywe obudziła tu jacie. Autor, głęboki psycholog, przedstawia jednego z wydziedziczonych monarchów w fikcyjnej osobie Krystyana, króla Dalmacyi i Illiryi. Przebywa on w Paryżu: tu otoczony wymysłami najwytworniejszej cywilizacji, wśród zabaw i uciech, zapomina o wszystkim. Dnie całe trawi na bulwarach, wieczory w teatrze, noce w arystokratycznym klubie, przy zielonym stoliku, gdzie rozrzuca złoto pełną garścią.

Krystyan nie żałuje straconego królestwa, żal mu tylko listy cywilnej. Zrazu wystawia weksle, zaciąga długi, ale kredyt wyczerpał się nakoniec. Pozostały przecie inne środki ratunku. Eks-król wymienia orderzy za brzęczącą monetę; rozdaje tytuły książąt, hrabiów, baronów. Królowa zabrała z Raguzy koronę, drogocenny klejnot, zachowywany w rodzinie przez lat sześćset. Krystyan, w tajemnicy przed żoną, kazał wydobyć z niej dyamenty, zastąpić je błyszczącymi szkiełkami. Spostrzega to królowa, posądza o kradzież domowników. Stary sługa przyjmuje na siebie winę i hańbę, dla ocalenia królewskiego honoru. Podczas gdy stary Gruel ucieka z Paryża, odsadzony od czei i wiary; eks-król przegrywa w klubie złoto, otrzymane za sprzedaż koronnych klejnotów.

Ów król, tak nisko upadły, ma jednak dość liczne stronnictwo, wierne zasadzie królewskości. Stronnictwo to przedsiębierze zbrojną wyprawę do Illiryi. Dwustu młodych Dalmatów wsiada na statek, towarzyszy im garstka szlachty francuzkiej, „gotowa służyć dobrej sprawie,” naczelne dowództwo obejmuje pułkownik z armii Karlistów. Zbrojny oddział wyruszył do Raguzy, gdzie królewszczycy pobudzili już proletaryat miejski do powstania. Król niebawem pośpieszy, ale niestety, uczta pożegnalna w Fontainebleau nazbyt długo się przeciągnęła. Krystyan wypowiedział tajemnicę do ucha jednej z współbiesiadniczek. Policya uwiadomiona telegrafem, zatrzymuje króla w chwili, kiedy wsiada na statek; ostrzega władze raguzkie o zamachu. Królewszczycy, pochwyceni u brzegu, skazani na śmierć, padają z okrzykiem: „Niech żyje król!” Krystyan tymczasem bawi się jak poprzednio, topi wyrzut sumienia w odmęcie szalonej rozpusty.

Obok tego króla, autor pokazuje piękną postać królowej Fryderyki. Dzielna ta kobieta łączy w sobie wielkie cnoty z królewską prawdziwie powagą. Waleczna, jak dawna amazonka, przez pół roku broniła się w Raguzie; onato dowodziła na szanćcach, ona pilnowała

ambulansów, ona była duszą wszystkiego. Wyparta z gniazda, nie traci wiary w przyszłość, nie upada na duchu. Aby zabezpieczyć tron dla syna, pracuje dniem i nocą, nie spuszcza z oka Illiryi, utrzymuje korespondencją z członkami królewskiego stronnictwa, przyjmuje tajemnie wysłańców. Układa manifesta, podsuwa je do podpisu królowi. Mimo to Fryderyka jest kobietą w wielkiem słowa znaczeniu; zacierą się całkiem w obec ludzi, własne trudy i prace składa na karb niedołęznego męża. Znosi cierpliwie codzienne zniewagi; gniew i boleść kryje głęboko w sercu. Raz tylko pękła struna zbyt mocno wyciągnięta, kiedy król gotów był podpisać zrzeczenie się praw do korony, w zamian za powrót skonfiskowanych dóbr, wartości dwustu milionów. Wówczas królowa rzuca mu w oczy grad palących pocisków; słowa sypią się z jęj ust, niby ogniste race: cicha kobieta staje się straszną lwicą.

Tęj nieszczęśliwej została jedyna pociecha w małym synku. Zара wzrasta pod okiem matki, otoczony jęj miłością i opieką. Przewodnikiem jego uczony Elizeusz Merault, syn langwedockiego wieśniaka, niegdyś zaciętego przywódcy królewszczyków. Biegły w naukach mistrz ten, nie umie jednak obchodzić się ze strzelbą. Razu jednego, gdy próbował karabinka małego Zary, wystrzelił mu przypadkiem oko. Nerw sympatyczny między obu źrenicami, nadwergżony został: biędne dziecko zagrożone ślepotą. Nieszczęśliwa matka idzie z nim do najbiegłego z okulistów paryzkich; ten powie całą prawdę, nie zna bowiem królowej, ani następcy tronu.

— Jeżeli dziecko zdrowe—rzecze doktor—operacya nie przedstawia niebezpieczeństwa. Rozbiera więc chłopczyka, auskultuje, mierzy go przenikliwym wzrokiem.

— Pani!—doda po chwili namysłu—ślepotą grozi mu w rzeczy samej, a jednak, gdyby moim był synem, nie śmiałbym przedsiębrać operacyi. Zdrowie jego wątkę; krew nadzwyczaj uboga.

— Krew królewska!—zawoła Fryderyka w uniesieniu rozpaczy.—Chwila ta niszczy wymarzoną jęj przyszłość. Biędne dziecko nie zniesie operacyi; ślepy król panować nie może. Miłość macierzyńska przemaga wreszcie nad dumą królowej.

— Mniejsza o tron, mój Boże!—zawoła ze łzami—niech, aby żyje: nie odbieraj mi dziecka!

Scena to bardzo dramatyczna; charakter królowej oddany po mistrzowsku. Ostatnia powieść Daudeta nie ustępuje poprzednim jego utworom.

Odczyty poezyi zaczynają coraz bardziej upowszechniać się w Paryżu; kilka miesięcy temu, Franciszek Coppée zajął publiczność tutejszą czterema z rzędu konferencyami, na których odczytał kilkanaście poematów swoich, dodając do nich ciekawe komentarze, słowem, wyprowadzając tajemne pobudki, pod których wpływem rozkwitały jego liryczne pieśni i poetyczne obrazy. Francuzi żartowali

dowcipnie z tych poufnych zwierzeń, wygłaszanych z katedry; słuchali ich jednak z żywym zajęciem i przyklaskiwali chętnie pięknym zwrotkom swego ulubieńca.

W tych czasach wystąpił inny poeta, Sully Prudhomme; ten już nie dał się słyszeć osobiście, ale znalazł biegłego zastępcę w Monny-Sullym, świetnym artyście teatru francuzkiego.

Tak Coppée, jak Sully Prudhomme, zajmują dziś pierwsze miejsce na Parnasie francuzkim. Niechże nas kto nie posądzi o zacofanie, jeśli wspominamy arcy-klasyczny *Parnas*; piszemy w Paryżu, a tu Apollo z muzami nie jest takim, jak u nas anachronizmem. Greckie mity, czyto w malarstwie, czy w poezyi, nie rażą oka, ani ucha północnym Ateńczykom, za jakich uważają się Francuzi. Co więcej, istnieje tu, jak już wspomnieliśmy, szkoła tak zwanych *Parnasistów*, którzy wzięli sobie za cel, doprowadzić formę poetyczną do najwyższej doskonałości: Sully Prudhomme i Franciszek Coppée, głównymi są filarami tej szkoły.

Obaj poeci, w równym stopniu mistrze co do formy, w duchu rzeczy różnią się całkiem między sobą. Coppée głównie jest przedmiotowym poetą, biegły kolorysta, maluje on po mistrzowsku sceny z codziennego życia, podnosi w nich rzeczywistość do ideału. W dramacie nie rwał się nigdy do wielkich utworów; ale jednoaktowe jego obrazki, jak: *Przechodzień*, *Skrzypek z Kremony* i t. d., oddają wybornie grę uczuć w sercu ludzkim i głęboko poruszają czytelników. W lirycznych zato pieśniach, Coppée dziwnie monotony i ekliwy. Charakter jego talentu wymaga koniecznie akcji dramatycznej; bez niej gubi się w mglistych mrzonkach.

Sully Prudhomme przeciwnie, lirycznym jest poetą w pełnym znaczeniu słowa. Nigdy nie próbował sił w dramacie; obrazy z życia zewnętrznego nie przystają do rodzaju poetycznej jego zdolności, ale głęboki psycholog, umie sięgnąć do dna duszy własnej i wydobywać z niej słowicze dźwięki. Dwa tomiki ulotnych poezyi rozślawiły imię jego w Paryżu i zjednały mu wieńce akademickie.

Młodzieńcze te zwrotki podzwaniają krzepką i samodzielną nutą. Pełen wiary w przyszłość, poeta śledzi dumnym okiem wszechstronny postęp wiedzy ludzkiej. Szczęśliwy, że się urodził w czasach wielkich wysiłen, kiedy ramiona pracowników, sprzężone w olbrzymi łańcuch, ułatwiają życie jednostkom; wyraża tę myśl w sonecie, który osmielał się przytoczyć, lubo tłómaczenie odbiera mu siłę i urok.

Rolnik rzekł do mnie we śnie: ja nie dam ci chleba,
Karm się sam; czas mi spocząć: weź lemiesz do ręki;
Rzekł mi tkacz: oto krośna, oto włókna pękł
Rzekł murarz: weź sam kielnię, gdy ci domu trzeba.

Patrzę wkoło, cierniskiem najeżona gleba;
Drzę jak liść i okropne czuję głodu męki,

Wyciągam obie ręce o litość do nieba.
 Wtém lwy zaszyły mi drogę z strasznomi paszczęki!
 Rankiem przetarłem oczy, smutno jeszcze marzę,
 Słyszę pieśń, po drabinach biegają murarze.
 Warczą koła warsztatów, wieś ze snu się budzi.
 Faluje kłosem niwa, brzmia fletnie pastusze;
 Wielka radość w zboliałą wpłynęła mi duszę
 I odtąd całym sercem ukochałem ludzi!

Na tenże sam ton nastrojony piękny wiersz do Musseta, poety przesiąkniętego Byronizmem, który, targany rozpaczą, szukał odurzenia w bezzrządach i swawoli. Pełen zapału młodzian, gromi surowo skłóconych z życiem, niewierzących w przyszłość poetów. W pięknym obrazie stawia im przed oczy to wszystko, co człowiek dokonał, co dokona jeszcze w tym świecie, tak przez nich wyszydzonym, tak smagającym piorunami ich klątwy. Oto początek poematu:

Widziałeś płaskorzeźby ryte mistrzów dłonią,
 Co wskazują początek i postępy sztuki?
 Tu roje pszczół; tam woły pod jarzmo się kłonią,
 Wobec poważnych starców, orzą ziemię wnuki.
 Gdzie rzucić okiem: na łąkach podzwania kłosa płowy,
 W sadzie zgina się jabłoń owocem bogata,
 Dziarski łowiec gna zwierza przez ciemne parowy,
 Junak pochwyca w arkan krnąbrny kark bachmata;
 Mędrzec tajemne zgłoski nakreśla na piasku,
 Żeglarz rozwija żagle, porywa za wiosła:
 Wyrasta pod obłoki wieżycza wyniosła;
 Spiż pod młotem nabiera oglady i blasku,
 Twarda bryła się zmienia w tarcze i topory;
 Niewiasta w krośnach tkanę wyrabia we wzory,
 Rzeźbiarz skrę duszy własnej zaklina w marmurze,
 A pasterz na śpiewaka namaszczonego w duchu,
 Swoje żale i troski zawiesza tam w górze,
 Wśród eterów powietrznych na dźwięków łańcuchu!
 Piękny obraz! dziś jeszcze przedstawia go życie,
 Zmieniły się zdobycze, lecz trud się nie zmieni;
 Ojcowie go podjęli przy zorzy rozświcie:
 My pracujemy przy blasku słonecznych promieni!

Ulotne pieśni poety wytworną formą i pełnym wdzięku urokiem, przypominają cudne dźwięki Bogdana, którego Mickiewicz nazwał słowikiem ukraińskim. Z nieśmiałością dajemy w przekładzie trzy dumki, wybrane z dawniejszych utworów Sully-Prudhomme'a. Pierwsza z nich nosi tytuł: *Wazon rozbity*.

Kwiat werbeny, tam, w wazonie
 Zwinął listki, padł bez siły:

Nieostrożnie białe dłonie,
Szkło wachlarzem potrafiły.

Ledwie rysę dojrzy oko,
Lecz ta rośnie coraz szerzej;
W kryształ wgrzyza się głęboko,
Dno wazonu w krąg obieży.

I usycha w nim pomału,
Kwiat wilgoci nie dość syty;
Woda sączy się z kryształu,
Nie dotykaj!... on rozbity!

Ukochana czasem ręka
Zrani serce mimowoli;
Potém samo serce pęka:
Kwiat w niém uczuć schnie powoli.
Świat nie dostrzegł nawet zmiany,
Łzy i bóle przod nim skryte;
Ale w sercu ład stargany:
Nie dotykaj!... bo rozbite!

Inna piosenka: *Mysł zgubiona*, równie rzewném nacechowana
uczuciem:

W myśli słodkich czarów tyle!
Ach! najcudniej nęci ona,
Gdy zabłyśnie nam na chwilę,
I uleci niewyśniona!

Puste serce tęskni do niej,
Za ubiegłą dąży skrycie;
Czarodziejka w duszy dzwoni,
By ją schwycić dałbym życie!

Próżno pytam, gdzie, do czego,
Mysł rączemi pędzi loty?
Czemu z powiek łzy mi biegą?
Gdzie mi zniknął sen mój złoty?
Połysek szczęścia zgasł mi wcześniej,
Znów go roztilić w sercu trudno;
Znałem radość tylko we śnie:
A sen tylko... marą złudną!

Oto trzecia jeszcze dumka: *Tu i tam*, jój najstrój dziwnie idealny.

Tu jesienią wędnie kwiecie,
Z gniazd się ptastwo już zerwało:
A ja marzę o tym świecie,
Co trwać będzie wieczność całą!
Miłość w sercu gdy zagości,
Drga w niém ledwie chwilę małą;
A ja marzę o miłości,
Co trwać będzie wieczność całą!

W krąg tu groby i omentarze,
 Ileż ziemię leż oblało!
 O tém życiu błogo marzę,
 Co trwać będzie wieczność całą!

Liczba tych dumek bardzo wielka; przed laty piętnastu młody lirnik rozsiewał je wkoło, niby kwiaty technące przezystą wonią. Zobaczmy jak sam ocenia one młodzieńcze zwrotki. Zapytany przez Mouny-Sullego, jaki ma wybór zrobić z jego poezji na publicznym odczycie, odpowiedział mu listem wysokięj wartości krytycznej.

„Nie łatwo mi przyszło, mówi on, uczynić wybór wśród moich poezji; przerzuciłem wszystkie zbiory od najpierwszych do ostatnich i wyznam ci szczerze, mało z nich dzisiaj mnie zadawalnia. W wieku, gdy wrażenia poetyczne tryskają z duszy naszej, pełne życia i naiwnej prostoty, nie zdobyliśmy jeszcze tajemnicy wytwornego wierszowania; później, kiedy ją posiadamy, wysycha źródło świeżych natchnień. W początkach brak nam artyzmu, później sztuka zabija w nas poezją. Ilekroć odczytuję pierwsze moje pieśni, ubolewam nad nieświadomością moją w chwili kiedy je pisałem; ostatnie zaś mniej poruszają mnie, lubo więcej pieścżą ucho, i lepięj zadawalają smak estetyczny.”

I dlaczegoż to, zapytamy, źródło natchnień wyczerpało się w dwudziesto-kilkoletniej piersi? czemu? bo wyschła w niej wiara wysana z mlekiem pobożnej matki. W jednym sonecie poeta opiewa tę chwilę strasliwego przełomu. Napróżno klęka, wyciąga ręce, pragnie się modlić; niestety! słowa *credo* konają mu na ustach. To okropne! okropne! woła uniesiony rozpaczą.

Odtąd poeta szuka innych źródeł natchnienia; spotyka je na polu nauk i abstrakcyi filozoficznych. Zobaczmy jak ten zwrot określa w powyżęj przytoczonym liście:

„Zamiłowany w naukach ścisłych i filozofii, mówi on, zapragnąłem gorąco wprowadzić w dziedzinę poezji cudowne zdobycze naukowe i wysokie syntezy spekulacyi nowoczesnej. Możnaż naprzykład mieć ogólne pojęcie astronomii, a nie odrzucić mrzonek mitologicznych, z których składa się głównie poezja starożytna?

„O ileż to wóz Apollina, złote strzały i rozhukany pęd jego biegunów, zdają nam się nikczemne, w porównaniu z przerażającym blaskiem i strasliwym ogromem słońca, jakim je dziś poznaliśmy? Myśl tę oddałem w poemacie *Wschód słońca*, chciałem wyświetlić w nim poezją wiecznego ruchu ziemi. Ileż ta nowa hipoteza ewolucyi i świeże odkrycia geologiczne rozszerzyły nam widnokrąg ubiegłych czasów?

„W skutek postępu wiedzy ludzkiej, mnóstwo przedmiotów, które dotąd nie potraciły nigdy estetycznego zmysłu człowieka, stały się dziś przedmiotem poezji! Homer zapewne godzien jest uwielbienia, ale wyznać muszę, żaden ustęp z jego poematów nie przeniknął mnie takim dreszczem zachwyty, jaki uczułem, gdy poraz pierwszy wyobrażenia moja w trop za myślą, rzuciła się w nieskończone przestrzenie,

zasiane miriadami gwiazd, których prawa określił Newton. Podziwiam głęboki geniusz Szekspira, kiedy jedném słowem objawia nam najgłębsze tajniki serc ludzkich, lecz i to wyznam: że jeżeli przepaścią jest serce, inną przepaścią niebo, a palec Le Verriera wskazujący na niém miejsce planety, obliczonej tylko cyframi, niedostrzeżonej ludzkim okiem, większy obudza we mnie podziw i wydobywa z duszy mojej źródło poetycznych natchnień."

Wiedza w parze z filozofią, sprowadzają poetę z ubitych szlaków a wiodą go na chaotyczne bezdroża. Bolesć z powodu klęsk Francyi, czyni go nieprzebręganym pesymistą. Widok cierpień ludzkich przepętnia goryczą jego serce. Głuchy jęk płynący wiecznie z ziemi ku niebu, zamąca mu spokojność. Stanąwszy na tój pochyłości, poeta stacza się coraz głębiej w przepaść nirwanizmu. Zmordowany walką, pozbawiony wiary i nadziei, wyrabia w sobie chłodną rezygnacyą. Ztąd ostatnie jego filozoficzne poemata, mimo wytwornej formy, nie poruszają serca czytelników. Określił je wybornie znakomity filozof Caro, zawzięty wróg nihilistycznych teoryi. „Poezya, mówi on, powinna wierzyć; jeżeli nieszczęściem zwątpi, niechże przynajmniej szarpie się rozpaczliwie, a nie wdaje się w próżne *dilemma*. Zwątpienie Alfreda Musseta poetyczném jest, można je bowiem wyrazić temi słowy: chciałbym wierzyć, ale nie mogę! nie przypuszczamy tymczasem iskry poetycznej w stanie duszy, godzącej się z chłodną rezygnacyą."

Sciągnął na siebie tak surowy sąd filozofa, poemat niewielkich rozmiarów p. t.: *Le Destin* (Przeznaczenie). Sully Prudhomme pokazuje w nim walkę dwu potęg: *Zła i dobra*, toczącą się wiecznie w przyrodzie i ludzkości.

Ostatni poemat: *La Justice* (Sprawiedliwość), nie tyle już nihilistyczny; poeta bowiem czepia się wiary w postęp nauk, który pogodzi kiedyś uczucie z rozumem i sprowadzi na świat złąconą harmonią. Poemat to szerokich rozmiarów; obejmuje tom cały. Forma wiersza wytworna, ale styl ciemny, czasami prawie niezrozumiały. Oto treść w kilku słowach.

Spragniony wiedzy poeta, odrzuca precz dawne ułudy zmysłów, chwyta pochodnią wiedzy, szuka na ziemi sprawiedliwości bezwzględnej. Nie widzi jój w przyrodzie; tu siła jedyném prawem; mocny pochłania wciąż słabego. W stosunku człowieka do człowieka, osobistość przemaga również nad uczuciem sprawiedliwości: mocny czerpie siłę w samolubstwie, słaby szuka bezpieczeństwa pod tarczą mocniejszego. Toż samo widzi poeta we wzajemnym stosunku państw, jak i w wewnętrznym ich ustroju. Sprawiedliwość nie istnieje na ziemi; wątpić należy aby inne światy, związane prawem fatalności, w przebiegu swym po niezmiernych przestrzeniach, lepiej były uorganizowane od naszego.

Poeta szuka zatem sprawiedliwości w własném sercu, lecz i tu nowy spotyka go zawód. Niegdyś wiara usuwała trudności, goiła rany serc, odganiała z nich rozpacz. Pozbawiony dobroczynnej busoli, pe-

symista błąka się w pośród filozoficznych systematów. Teorya *ewolucyi* budzi w nim nakoniec otuchę: wsparty na niej, nie wątpi, że pojedna rozum z uczuciem i znajdzie sprawiedliwość!

W takichto chaotycznych pojęciach, utonął dziś jeden z najzdolniejszych poetów francuzkich. Ma on około lat czterdziestu; w tym wieku umarł Bajron. Mickiewicz wyrzekł niegdyś z katedry kolegium, że gdyby wieszcz Albionu przeżył był lata chorobliwych szałów, byłby niewątpliwie powrócił do wiary, i z całą wtedy potęgą rozwinął twórcze skrzydła. Zwolennicy talentu Sully-Prudhomme, ubolewając szczerze nad dzisiejszym obłędem, stosują do niego prorocze słowa naszego filozofa-poety.

Smutny wpływ Schopenhauera oddziaływa na Francuzów, mimo że profesor filozofii Caro silnie walczy przeciw niemu z katedry sorbońskiego. W tych dniach właśnie ma wyjść z druku książka p. Bourdeau: *Mysli, maksymy i fragmenta Schopenhauera*, zebrane z rozmaitych jego dzieł. Są to rozprawy o niedoli świata, o człowieku, o życiu, o społeczeństwie, polityce, sztukach pięknych, religii i t. d. Poprzedzi rzecz obszerny życiorys filozofa niemieckiego.

Pisma francuzkie przytaczają wyjątki z nieogłoszonej jeszcze pracy. Zobaczmy jakim okiem pesymista pogląda na kobietę.

„Inteligencya człowieka, mówi on, obłąkana miłością, musiała dziwniej uledeć ślepotcie, kiedy nazwała piękną pćią te istoty małe, wązkie w ramionach a szerokie w biodrach. Należało raczej nazwać je pćią nieestetyczną.

„Kobieta niema poczucia ani zrozumienia muzyki, równie jak poezyi i wszelkich sztuk pięknych. Zachcianki jój w tym kierunku są prostym małpiarstwem, kłamliwym pozorem, dla zjednania sobie oklasków. Niezdolną jest do bezstronnego działania w jakiejkolwiek bądź sprawie; czemu? zaraz to zobaczymy.

„Mężczyzna usiłuje bezpośrednio panować, czyto inteligencyą, czy też siłą fizyczną. Kobieta tymczasem, wszędzie i zawsze panuje tylko w sposób pośredni, to jest przez mężczyznę. Dlatego wrodzony instynkt popycha ją do chwytania wszelkich środków jakimi może go podbić. Rzeczy zewnętrzne nie budzą w niej żadnego interesu, używa ich tylko za przynętę. Rousseau nie napróżno powiedział: „kobiety w ogólności nie lubią żadnej sztuki, nie znają się na żadnej, brak im twórczego geniuszu.” Ktokolwiek nie patrzy na rzeczy powierzchownie, może łatwo to sprawdzić. Przypatrzmy im się naprzykład na koncercie, na operze lub komedyi: w najpiękniejszych ustępach arcydzieła, gotowe zawsze szczebiotać między sobą. Jeśli to prawda że Grecy wzbraniali kobietom wstępu na widowiska, mieli w tém wielką słusność. W naszych czasach do znaniej sentencji: *mulier taceat in ecclesia*, wartoby dodać: *taceat mulier in theatro*, i wyrok ten wielkimi wypisany literami zawiesić na kurtynie.

„Ale czegoż można spodziewać się po kobietach, gdy rozważymy, że na świecie całym ta płeć nie wydała ani jednego wielkiego umysłu, ani jednego dzieła oryginalnego w sztukach pięknych, słowem, ani jednej pracy znakomitęj, na jakimkolwiek polu. Weźmy oto malarstwo: Strona techniczna dostępna przecież dla nich, oddają się pilnie téj sztuce, a jednak nie poszczycą się żadném arcydziełem, gdyż brak właśnie ich umysłom téj obiektywności, potrzebnej koniecznie malarzowi: nie potrafią wyjść same z siebie. Kobiety nie zdolne nawet ocenić piękności pędzla. Słynny uczony hiszpański Huarte w dziele p. t: *Examen de l'ingenios para las ciencias (Badania nad geniuszem)*, napisaném trzysta lat temu, odmawia kobiecie wszelkiej wyższej zdolności. Pojedyncze wyjątki niczego nie dowodzą. Kobiety wzięte razem, są i będą zawsze nieuleczonymi *Filistynami*.

„Dzięki naszej społecznej organizacji, niedorzecznej w najwyższym stopniu, która pozwala kobietom dzielić tytuł i położenie mężów na jakimkolwiek one stoją szczeblu, podbudzają zawsze najmniej szlachetne uczucia. Skutkiem tego *absurdum*, przewaga ich psuje dzisiejsze społeczeństwo. Należałoby przyjąć sentencyą Napoleona I: „Kobieta niema rangi.” Chamfort słusznie téż powiedział: „Wpływ kobiety działa na słabości, na szaleństwo nasze, lecz nie działa na rozum. Sympatya między nią a mężczyzną, trzyma się całkiem na powierzchni; mało sympatyi w rozumie, w duszy i w charakterze. Kobiety stanowią zaiste, płeć drugorzędną pod każdym względem; miejsce ich na uboczu, na drugim planie. Trzeba zapewne mieć wzgląd na ich słabość, ale śmieszna rzecz oddawać im hołdy, bo to poniża nas w ich oczach. Przyroda rozdzielając ród ludzki na dwie kategorie, nie obdarzyła obu stron jednakowo.

„Tak po wszystkie czasy myśleli starożytni i w ogólności ludy wschodnie. Lepiej tamci pojmowali rolę kobiet, niż my z naszą galanteryą, według mody staro-francuzkiej i z niedorzeczną *weneracyą* germańsko-chrześcijańską.

„To właśnie wzbilo je w impertynencką pychę. Nieraz patrząc na nie, myślę o małpach ubóstwianych w Benares, które w przeświadczeniu o swęj godności, wszystkim sobie pozwalają.

„Kobieta na Zachodzie, czyli tak zwana *dama*, fałszywe zajmuje stanowisko; u starożytnych kobieta nie wymagała przecież poszanowania, ani hołdów, nie zadzierała głowy, nie myślała porównywać się w prawach z mężczyzną. Dziś skutki fałszywego położenia aż nazbyt są widoczne. Należałoby w Europie postawić na swoim miejscu ten *drugi numer* rodu ludzkiego i usunąć całkiem *dame*, przedmiot sztychów Azyi całej, *dumę*, z której Grecy i Rzymianie sztychiliby zarówno. Reforma ta, ze względu społecznego i politycznego, byłaby prawdziwem dobrodziejstwem. Zasada salickiego prawa, tak słuszna, tak niezaprzeczona, że nie trzeba jej formułować. To, co zwiemy *dumą* europejską, istniećby nie powinno. Na świecie powinny być tylko gospodynie zajęte domem i młode dziewczyny, sposobiące się do tego

przeznaczenia, zaprawne od młodu nie do arogancyi, ale do pracy i uległości. Ponieważ istnieją *damy* w Europie, ztąd właśnie kobiety niższych warstw społecznych, tworzące większość, nieszczęśliwsze tu, niż na Wschodzie."

Pomijamy dalsze wywody, wypowiedziane z grubiańskim cynizmem, których powtarzać nam niepodobna; wstrzymujemy się też od własnych uwag, oddając rzecz pod sąd czytelnikom. Przytoczymy jeszcze zdanie Schopenhauera o Francuzach i Niemcach.

"Inne części świata, mówi on, posiadają małpy; Europa ma Francuzów, dobra to dla niej kompensata."

Sąd o ziomkach wcale nie względniejszy.

"Wymawiają powszechnie Niemcom, twierdzi filozof pesymista, że naśladową to Francuzów, to znów Anglików; słusznie to czynią, bo zostawieni własnemu przemysłowi, nic mądrego nie pokażą światu.

"Lichtenberg liczy sto przeszło orzeczeń niemieckich na wyrażenie pijaństwa: i cóż w tém dziwnego? albowż to od czasów najdawniejszych Niemcy nie byli zawołanymi pijakami? Lecz co mnie zadziwia, to to, że język niemiecki, słynny z uczciwości, posiada więcej niż inne, wyrazów określających oszustwo, a w niektórych podzwania nuta tryumfalna.

"W przewidywaniu rychłej śmierci, mówi dalej autor, wyznaję, że gardzę narodem niemieckim, z powodu jego niesłychanego głupstwa, rumienię się, że należę do niego."

Tą pogardą ziomków, Schopenhauer przypomina zupełnie Woltera, który plugawił własne gniazdo, wyrzucając tylekroć Welschom ich wady i tradycyjną głupotę.

Wielki hałas w świecie literackim sprawiła przedmowa Aleksandra Dumasa, do dramatu: *Cudzoziemka*, pomieszczonego w VIII tomie świeżo wydanych dzieł dramatycznych. Autor silnie uderza na tak zwaną szkołę naturalistów. Nie wymieniając nazwiska Zoli, chłoszcze go do żywego. "Potrzeba być szaleńcem, mówi Dumas, aby marzyć o rewolucyi w literaturze i mienić się naczelnikiem nowej szkoły. W sztuce, a szczególnie w sztuce literackiej niema szkół, niema rodzajów, niema form, niema prawd, jest to tylko, co zapewnia jej powodzenie i trwałość."

Sentencja według nas bardzo paradoksalna; pomijamy szkoły i rodzaje, ale jak tu pojąć sztukę bez formy? Dumas rozumie dobrze potrzebę formy, nawet konwencyonalnej, w innem miejscu bowiem, opierając się na Szekspirze i innych dramaturgach, utrzymuje wbrew naturalistom, że są rzeczy nawet prawdziwe w gruncie, których na scenie wypowiedzieć ani przedstawić niepodobna. Nie myślimy przeczyć zasadzie, ale dziwno nam, że ją głosi tak śmiało autor, który wypowiedział i przedstawił tyle rzeczy obrażających smak i uczucie powszechne. Wprawdzie język jego wytworny, daleki od cynizmu naturalistów, ale trucizna niemniej jadowita, przeciwnie, jeszcze niebezpieczniejsza,

gdy podana w kryształowym puharze. Z tych wszystkich pseudo-moralnych wywodów widzimy tylko, że laury Zoli zganiają sen z powiek Dumasa.

Potrąca on z kolei o mnóstwo przedmiotów. Wniosek Naqueta, co do sprawy rozwodów, znajduje w nim gorliwego obrońcę. Nie żali się jednak dramatyczny autor, że prawo to dotychczas nie istniało. Gdyby wolno było mężom odtrącać niewierne żony, wówczas zbrodnia zabójstwa byłaby zbyt częstą, a niejeden dramat obu Dumasów, pozabawiony rozwiązującej go katastrofy, straciłby cały efekt.

Rozwód w pojęciu słynnego dramaturga, dobroczynny dla porządku społecznego, gdyż usunie domowe skandale, niekorzystnym będzie dla sztuki, czyniąc jej pole jałowem i bezbarwnem. My nie podziwiamy tej obawy. Otello był małżonkiem Desdemony, przecież ją zamordował. Społeczeństwo zresztą, wychowane pod wpływem dzisiejszych moralistów, długo jeszcze dostarczać będzie wątków skandalicznych nowym Zolom i nowym Dumasom.

W teatrach francuzkich głucha cisza, we wszystkich prawie grają znane sztuki, wydobyte z dawnych repertuarów, podniesione tylko świetniejszą wystawą. Pisma zapowiadały tryumfalnie nowy dramat Legouvego, z czasu wojny wandejskiej. Ukazał się nakoniec i zawiódł powszechne oczekiwanie. Siwy akademik, uchodzący za głębokiego moralistę, nie umiał wydobyć się z zakłętą koła, w jakim szamocze się i dogorywa dramat dzisiejszy. Treścią sztuki: wiarołomstwo małżeńskie. Nie myślimy poruszać tych skandalów, powiemy tylko, że *Anna Keroiller*, przez wzgląd na autora, tolerowana jeszcze na deskach teatru francuzkiego, upadnie wkrótce, jak na to zasługuje.

Więcej spodziewamy się po zapowiedzianym dramacie Henryka Borniera, autora *Córki Rolandowej*, znanéj u nas w przekładzie Lucyana Siemieńskiego. Nowy czteroaktowy dramat wierszem, pod tytułem: *Weselne gody Atyli*, przenosi nas w epokę najburzliwszą w dziejach świata. Rzecz dzieje się w Panonii, pomiędzy Dunajem a Cisą. Dwie galskie branki, ujęte w niewolę przez Hunów, głównymi są bohaterkami dramatu. Oczekujemy niecierpliwie pierwszego przedstawienia w teatrze odeońskim.

Pod tytułem *Melidona*, Edward Schure wydał zajmującą powieść, wprost przeciwną dążeniom szkoły, tak zwanych *impresjonistów* dzisiejszych. Młody Szkot, rozmaitowany w archeologicznych badaniach spotyka w Capri piękną Melidonę; widzi w niej żywe uosobienie Grecyi starożytnej. Autor maluje uczucia Szkota i Greczynki z byronowskim zapamiętaniem. Malowniczo skreślone krajobrazy urozmaicają opowieść; dramatyczny ustęp z powstania Kreteńczyków, pełen życia i prawdy, podnosi znaczenie fantastycznego utworu. Każda scena głęboko obmyślana. Idealny świat grecki oddany z pełnym wdziękiem. Wymowna

to odpowiedź realistom, którzy utrzymują, że chcąc złapać życie na gojącym uczynku, trzeba go szukać w karczmie, lub po rysztołkach.

Ważne odkrycia archeologiczne na polach Maratonu zajmują dziś świat naukowy. W miejscu tém, według tradycyi, stała świątynia bogini Nemezys, zbudowana po sławnym pogromie Persów. Podziwiano w niej posąg téj bogini, wykonany dżutem Fidyasza. W pobliżu Ateńczykowie wzniesli tryumfalny pomnik, na cześć zwycięstwa. Odkopano dziś mnóstwo posągów i płaskorzeźb, między innymi statuę kolosalnych rozmiarów, dobrze zachowaną. Byłoby to dzieło Fidyasza? uczeni dotąd nie wyrzekli stanowczego sądu. Konserwator starożytnych pomników greckich chciał przenieść te drogocenne zabytki do muzeum w Atenach, ale mieszkańcy gminy Maratonu sprzeciwili się temu na mocy prawa, że wydobyte z ziemi dzieła sztuki, mają pozostać w miejscu, gdzie odkryte zostały. Pisma greckie żywo poruszone tą sprawą. Według litery prawa, Maratończyki zupełną mają słuszność. Ateny nie przeczą im tego, żądają tylko w imię sztuki, aby zbudowali odpowiednie muzeum i utrzymywali konserwatora własnym kosztem, na co ubogi Maraton zdobyć się w żaden sposób nie może. Niewiadomo jak się rzeczy rozstrzygną. Prawo zachowania pomników w miejscu postanowioném było głównie, aby położyć tamę grabieży cudzoziemców, a szczególniej turystów angielskich.

Wśród dzieł, poświęconych archeologii, znajdujemy jedno bardzo ciekawe, pod tytułem: *L'Habitation à toutes les epoques*. Autor dzieła, Karol Lucas, opisuje mieszkania ludzkie od najdawniejszych czasów; przechodzi kolejno jaskinie i pierwotne budy na palach, wydobywane z głębi jezior, później rezydencje królewskie, według Homera, pałac grecki w Palatitsy, w Macedonii, dom w starożytnych Atenach, siedzibę zamożnej rodziny w Rzymie, willę grecko-rzymską w Pompei. Następują potem zamki i dworce średniowieczne. Do każdego typu dodane historyczne objaśnienia i praktyczne skazówki, o ile dzisiejsza architektura skorzystać może z tych starożytnych wzorów.

Znany ekonomista Le Play, autor wielu dzieł tyjących się najważniejszych zagadnień społecznych, wydał w tym czasie ostatnie wyniki badań swoich, w obszernej publikacyi pod tytułem: *Les Ouvriers Européens*.

Dzieło to w nierównie szczuplejszych ramach, wydane poraz pierwszy w r. 1856, pod opieką Akademii nauk, zjednało autorowi nagrodę *Monthion*. W rok potem cały nakład wyczerpany został. Od-tąd przez lat dwadzieścia Le Play rozszerzał pracowicie swoje ramy, stosownie do nowych potrzeb społecznych; ogromna publikacya obejmuje dziś sześć tomów in 8-vo. Nie biorąc żadnego udziału w podniesionych obecnie walkach, wytrawny autor wziął sobie za cel, przyczy-

nić się do uspokojenia umysłów i przywrócenia porządku społecznego, zagrożonego w całej Europie.

Paryż zajął się pilnie odnowieniem przepysznój biblioteki narodowej, fundacyi kardynała Richelieu'go; prace w wielkiej części ukończone zostały. Według powszechnego uznania, na całej kuli ziemskiej niema podobnego księgozbioru. Podajemy w krótkości bogaty jego inwentarz.

Oddział druków mieści się na żelaznych półkach, otaczających ogromną pięciopiętrową salę, oświetloną wyłącznie z góry. Długość tych półek wynosi pięćdziesiąt kilometrów (8 mil polskich). Liczba książek 2,200,000 tomów.

Rękopisy, zebrane w wielkich woluminach, tworzą dział osobny. Jest ich do stu tysięcy.

W galerii, zwanój Mazaryniego, urządzono historyczną wystawę pisma i druku od czasów najdawniejszych. Mistrzowskie freski i gobeliny zdobią tę wspaniałą galeryą.

Sala do czytania otwarta dla publiczności, obejmuje 20,000 tomów. Osobny dział tworzą niezliczone mapy i plany.

Oddział rycin liczy 2,500,000 sztuk, zgromadzonych w 15,000 woluminach i 4,000 portofoliach.

Wystawa nauk geograficznych zajmuje osobne sale. Inne znów przeznaczone na archiwa.

W ogromnej sali mieści się sławny globus Coronellego, oraz przyrządy kosmograficzne i astronomiczne wielkiej wartości.

Oddział medalów składa się z 150,000 okazów.

Z końcem dnia zamykają się drzwi biblioteki; sztuczne światło wcale w niej nieznane. Sale zimą ogrzewane rurami.

Pisma francuzkie rozpiśały się dosyć obszernie o jubileuszowój uroczystości Kraszewskiego, nie zrozumiały jednak wielkiego jój znaczenia. Literatura polska mało wogólności znana Francuzom; przytoczymy na to świeży dowód.

W jednym z przeglądów (*Revue Politique et Litteraire*) czytamy, że dla uczczenia Jubilata, poeta Słowacki przetłómaczył na język francuzki poemat Kraszewskiego p. t.: *La Peste au Desert!*

Przekład *Ojca zadżumionych* ukazał się w rzeczy samój, poświęcony jubilatowi przez tłómacza, p. Wacława Gasztowtta. Krytyk francuzki podziwia piękność przekładu; utrzymuje najszuszniej, że czytelnik gotówby wziąć poemat za oryginalne arcydzieło, gdyby okładka nie oznajmiała, że jest tłómaczeniem. Okładka ta, z wypisaném nazwiskiem tłómacza, nie była jednak dla krytyka dostateczną skazówką. Skoro w jego mniemaniu Kraszewski miał być autorem poematu, a Słowacki tłómaczem, czémże był Wacław Gasztowtt? chyba owym starym Arabem, ojcem zadżumionój rodziny.

Dzięki naszemu utalentowanemu ziomkowi, który tak dzielnie włada francuzkim językiem, świat pozna wreszcie niezrównane arcydzieła wieszczów naszych. Mamy już poemata Słowackiego, przełożone świetnym jego piórem na prozę francuzką, mamy również cudny poemat Brodzińskiego: *Posłanie do braci*, najpierwszy z jego przekładów. Obecnie p. Gasztowtt rozpoczął przekład *Pana Tadeusza*.

Na zebraniu Towarzystwa dawnych uczniów batiniolskich, w rocznicę śmierci Mickiewicza, tłumacz odczytał pierwszą pieśń, tak po polsku jak po francuzku ¹⁾. Podziwialiśmy wyborny przekład, w którym pod osłoną obcego języka, czuć balsamiczną woń litewskich lasów. Jakim sposobem tłumacz, urodzony daleko od ojczystego gniazda, potrafił tak do gruntu przesiąknąć duchem narodowym, tak zrozumieć najdelikatniejsze odcienia mowy naszej, tak odczuć cały urok rodzinnej poezji, trudnoby to pojąć zaprawdę, gdybyśmy nie wiedzieli, jakie cuda spełnić może praca, ożywiona talentem, podniecona miłością, wsparta żelazną siłą woli. Z pierwszej pieśni *Pana Tadeusza* wnosimy, czém będzie cały przekład; wnosimy to zarówno z dziwnie pięknego sprawozdania, zaimprovizowanego w języku francuzkim. Mówca przesunął przed nami cały szereg mistrzowsko wyrzeźbionych

¹⁾ Na próbę wierności i piękności przekładu, przytaczamy początkowy ustęp, wezwanie do N. Panny.

Transporte, en attendant, mon coeur rempli d'amour
 Dans ces bois montueux, dans ces vertes vallées,
 Aux bords du bleu Niemen largement étalées.
 Dans ces champs par les blés teintes diversement,
 Par le seigle argentés, dorés par le froment.
 Où l'ambre du colza, l'orge à la tige blanche
 Et la luzerne en fleurs qui rougit et se penche
 D'un ruban verdoyant sont comme emprisonnés
 Et de poiriers épars tristement couronnés!

Zobaczmy jeszcze śliczny obrazek Zosi.

Il relève les yeux... sur le mur du jardin
 Ciel! une jeune fille, en robe du matin,
 Qui dessinant sa taille et couvrant sa poitrine
 Montre son cou, ses bras aussi blancs que l'hermine.
 Jamais Lithuanienne en ce désabillé
 Aux profanes regards d'un homme n'a brillé.
 Et même sans temoins, elle cache inquiète
 De ses mains les appas que montre sa toilette.
 Ses cheveux sur son cou ne tombent pas bouclés,
 Mais dans du papier blanc savamment enroulés,
 Ils entourent sa tête... et le jour qui rayonne
 Comme aux portraits des saints lui fait une couronne.

typów, zacząwszy od *Wojskiego Hreczechy*, od *Jacka Soplicy* w bernardyńskim kapturze, do dziarskiego *Tadeusza*, uroczej *Zosi* i romansowej *Telimeny*. Słuchaliśmy wszyscy z najwyższem zajęciem, a kiedy mówca skończył wśród grzmiących oklasków, słuchaliśmy jeszcze...

I wszystkim się zdało,
Że to Wojski gra jeszcze, a to echo grało!

Wśród broszur tylko co wyszłych z druku, uderzyła nas jedna p. t.: *Monseigneur Vladimir Czacki, archevêque de Salamine, Nonce apostolique à Paris*. Jestto krótki życiorys nowego nuncjusza. Urodzony w Porycku r. 1835, wysoki dostojnik kościoła jest rodzonym wnukiem słynnego Tadeusza Czackiego, synem Wiktora i Pelagii z książąt Sapiehów.

Wąty z natury, w pierwszej młodości zagrożony piersiową chorobą, nie mógł znośić ostrego klimatu ziemi ojczyściej. Troskliwi rodzice wywieźli go zatem do Rzymu, w piętnastym roku życia; tu powierzony opiece blizkiej krewnej, księżnej Odescalchi z Branickich, czując od młodości powołanie do stanu duchownego, kształcił się w naukach teologicznych. W roku 1867 otrzymał święcenie kapłańskie, a zarazem urząd w sekretaryacie stanu. Później Pius IX mianował go przybocznym sekretarzem, a następnie poruczył mu organizacją uniwersytetów katolickich, we Francyi i szkół duchownych w Rzymie. Wówczas to ksiądz Czacki zajął się gorliwie urządzeniem seminarium polskiego, pod szczególną opieką Piusa IX. Szkoła ta, kwitnąca dziś w Rzymie, wydała już wielu doktorów teologii i prawa kanonicznego, a między nimi jednego z profesorów wszechnicy krakowskiej.

Postępując na coraz wyższy szczebel, młody prałat został sekretarzem Świętej kongregacji do nadzwyczajnych spraw duchownych. Po śmierci Piusa IX, papież Leon XIII równo okazywał mu względy. W roku bieżącym mianował go arcybiskupem Salaminy i nuncyuszem swoim w Paryżu. Pierwszyto raz Polak takie otrzymał dostojeństwo.

W tutejszym świecie bibliograficznym, od lat kilkunastu wyrobił sobie stanowisko i zaszczytne uznanie p. Gustaw Pawłowski. Czytamy właśnie imię ziomka naszego, w liczbie świeżo ogłoszonych laureatów w Akademii napisów i literatury. Przysądzono mu nagrodę fundacji Brunet'a, za konkursową rozprawę o produkcyach, wierszem francuzkim, z epoki średniowiecznej, z dokładnem wskazaniem rękopisów, według których były drukowane.

Na ostatniem posiedzeniu téjże Akademii, członek Delisle przedstawił nową publikację p. Pawłowskiego p. t.: *Prace bibliograficzne od r. 1867 do 1878*. Dzieło to obejmuje sprawozdanie ze wszystkich prac wykonanych tak we Francyi, jak w innych krajach w ciągu lat jedenastu, na polu bibliografii. Akademik, przedstawiający rzecz, za-

leca ją w najchlubniejszy sposób. „Uwagi p. Pawłowskiego, mówi on, pokazują w nim doświadczonego bibliografa i na pilne zastępują zbadanie.”

Czyto w naukach, czy w sztuce, polskie imiona corazto częściej zyskują w świecie rozgłos. W początku roku ubiegłego wspominaliśmy o koncercie panien Balewskich w Paryżu, wróżąc im świetne powodzenie; i otóż rok nie upłynął, a chlubne świadectwa dobiegające nas kolejno z Londynu, Brukselli i Niemiec, pokazują, że nadzieje te zupełnie się spełniły. Ramy nasze nie wystarczyłyby na powtórzenie gorących pochwał, głoszonych w Stutgardzie, w ciągu listopada. Przytoczymy tylko znaczące wyrazy, zamieszczone w stutgardzkim *Neues Tagblatt*.

„W szczególny sposób, mówi sprawozdawca, uderzył nas silny zakrój smyczka panny Jadwigi Balewskiej. Trudno byłoby nam zrozumieć taką energią, przy delikatnej postawie artystki, gdyby nie tłumaczyła tego jej narodowość, którą łatwo też odczuć w bogactwie fantazyi i w przeciągłym oddawaniu elegijnych tonów.” Tento rys charakterystyczny odznacza kompozycyę Chopina.

Jestże większa pochwała dla artystki, nad uznanie, że umie być wyrazem geniuszu narodowego?

Profesor języków i literatur słowiańskich Aleksander Chodźko, dziś właśnie otworzył kurs swój w Kolegium Francuzkiem. Za przedmiot tegorocznego wykładu obrał powieść historyczną i humorystyczną. Rozpoczyna kurs od ostatniej powieści Deotymy *Zwierciadlana zagadka* i od historycznej powieści Danielewskiego p. t.: *Mirowie*.

Lekcyą dzisiejszą poświęcił profesor uroczystości krakowskiej, z powodu jubileuszu Kraszewskiego. Pokazał wielkie zasługi Jubilata, położone w ciągu pięćdziesięcioletniego zawodu. Zakończył odczytaniem jego mowy, wyrzeczonej przy uczcie w Sukiennicach w dniu 3 października.

KORRESPONDENCYA.

Do Redakcyi Biblioteki Warszawskiej¹⁾.

Na łaskawe uwagi szanownego krytyka, w interesie rzeczy, kilka swoich uczynić pozwałam sobie.

Kto tłumaczy Greków z oryginałów, przyzna mi łatwo, iż niepodobna mu, przy geniuszu nawet, nie poddać się tu i owdzie wpływowi ducha, który te dzieła tworzył. Nie trudno byłoby mi przywieść ku stwierdzeniu zdania, przykłady z dzieł Cycerona, żywcem z pierwowzorów helleńskich latynizowane. Wszak wpływ ten może i *pozornym* tylko być, gdy się przenosi dzieła filozofów, którzy nie inną logiką powodowali się w myśleniu od téj, która naszym dziś rozumowaniem przewodniczy. Jednak nie przeczyłem i nie przeczę, iż niejedno w tłumaczeniach moich mogło być łatwiej oddane, toż że niejedno bez potrzeby w kształt starożytnéj dykcyi wciśnięte zostało. Nie powołam nawet ku obronie „ogromu pracy, przy stosunkowo szczupłym do jój wykonania wymiarze czasu,“ tudzież „nacisku gotyckiej atmosfery, wszelkie komórki jestestwa przenikającej, gdyż tylko pod jój sklepieniami władac piórkiem dozwoliły tory.“ Ale „zniewolony“ już jestem zwrócić uwagę szanownego krytyka na wszystko to, co tylekroć uprzedzająco wypowiadałem, a co (widzę) jednak nie zostało uwzględnioném, niestety!

Na zapytanie któregoś z uczniów, nie pomnę w którym z Dyalogów Platońskich (podobno w Theatecie czy Filebosie) „co to jest myślenie?“ odpowiada Sokrates, iż „jest cichą rozmową duszy ze sobą.“ Zaprawdę, nie zdołamy nic pomyśleć, czegobyśmy w wyrazach nie myśleli, ni téż odwrotnie, nic nie wypowiemy, coby jakiejbądź treści pustém było. Kiedy więc tak ścisły zachodzi związek pomiędzy myślą a jój słowowym wyrazem, wyjawy jednéj i drugich u Greków na najbaczniejszą zasługują uwagę tłumacza, któren pochod obojga uwidomić w kolei duchowego rozwoju ludzkości usiłuje następnym. Chyba zaprzeczymy, iżby ten duch, nad inne wysoko, zmanifestował swą ewolucyą w Helladzie, czego przecież nikt świadom rzeczy nie uczyni. Prócz pomienionych powodów, nie mogłem nie uwzględnić także i tego, że styl Platona stosuje się do materji także, a nietylko do osoby Sokratesa. W ogóle tłumaczy się Sokrates prosto, rozwlekłe ponieważ, jakby rozsądnie pragnący usilnie pokazać każdemu, że „nie tylko nic sam nie wie,“ ale i że wypowiedzieć tego czego nie wie, nieposiada najmniejszej zręczności. Najwybitniój odznamięnował to Platon w *Apolo-gii*, ale i indziej wszędzie mniej więcéj. Proszę porównać dykcya

¹⁾ Patrz *Bibl. Warsz.*, t. IV z roku zeszłego, str. 483.

Sokratesa we wszystkich *Rozmowach* z dykcją *Atheńczyka* w *Prawach*, którego sam przedstawia.

Oceniając więc przekłady Platona, proszę uwzględnić to, co nadmieniałem—wszystko. Zamieniwszy dykcją grecką na naszą dzisiejszą, a więc ogółociwszy ją i z partykuł na jakie nasze języki stać, robi się luźną mowę rzymską, o potocznych rzeczach zwykle, a o subtelnych z natężeniem wszędzie widomém, rozprawiającą. Treść dzieł Platona jest niekiedy zawiłą, wszak w szczupłych tylko już punktach, i dość już ciemną; ogół zaś dostępnym uczyniono oddawna tłumaczeniami Cousina, Schleiernachera, Hieronima Müllera. Słusznie nie słusznie, o to posprzeczać się warto. Ja utrzymuję, że umysłowość nasza nie w górę się wznosi, ale w poziom zniża, od punktu kulminacyjnego, który w Grecyi zajęła, gdzie umysł ludzki zdobyć przeznaczony był to, co sam zdobyć może, wskazując oraz, dokąd nie podniesie się nigdy o własnej tylko sile. Z tego wychodząc przekonania, uważałem za surowy obowiązek swój jako tłumacza, aby okazywać na przekładzie, nie jedno: *co* ta wielka przeszłość mówiła; ale oraz: *jak* ona to w najściślejszem słowa znaczeniu, wypowiadała ustami najpierwszych swych przedstawicieli.

Upraszałbym nareszcie panów na mnie łaskawych, aby sądów swych nie ograniczali kilku przytoczeniami, toż z jednego tylko Dyalogu wyjętymi. Język Lachesa, Protagorasa, Euthydemę, Alcybiadesa, a nawet Menona zadowoliliby, przekonany jestem, nawet tak ścisłego lingwistę. Czemuż z jedyne go Gorgiasza zaczerpywał strofujące przykłady, jeżeli są niemi?

Kończę gorącą prośbą, aby tłumaczeń moich nie puszczano mimo ucha, lecz rozbierano ściśle „wszystko to co dawniej i świeżo ku uzasadnieniu wznowień językowych przytaczam, jeżeli tak rażącym to jest, czemu przeczę. Bez takiej krytyki nie posuniemy się o krok naprzód. Panowie! powoływać nie będę do trzymania się skrupulatnie toku mowy, jaki myślenia rzymskie, francuzkie, niemieckie, wytkoczyły na jej postaci, a ja wciąż odbijać będę, że samoistnego myślenia i stylu żądam, a jeżeli i sam go wynaleźć nie zdołam, to przenoszę naśladownictwo wzorów, które tak samodzielnie uczynić się umiały, iż na każdego słowa głosu tę samodzielność wykazują, nie ukrywając żadną co wyrazić chciały.

Ostrów, 2 stycznia 1880 r.

Antoni Bronikowski.

PIŚMIENICTWO

KRAJOWE I ZAGRANICZNE.

Herman Hettner. *Historja literatury angielskiej od czasu przywrócenia królestwa aż do drugiej połowy XVIII wieku. Od r. 1660-1770.* Przekład podług 3-go wydania niemieckiego przez Piotra Chmielowskiego i Edwarda Grabowskiego. Nakład i druk Lewentala. Nowy Świat 39. 1879.

Prześwietne, bo tak je nazywać mamy, prawo piśmiennictwo angielskie, obok niesłychanych zasobów w dziedzinie myśli i natchnienia, posiada jeszcze wyjątkowy wdzięk dla badacza. W żadnej innej literaturze spójność ogniwi dziejowych do tego stopnia nie jest widoczną, w żadnej innej utwory literackie nie były tak dalece wskazówką względnej dojrzałości całego społeczeństwa. Przy tém zamilczeć niepodobna jeszcze o jednem znamieniu, ściśle związaném ze względami osobliwszego bogactwa mowy angielskiej: że oto ten doskonały całokształt porusza się wszystkimi naraz składowymi żywiołami. Jestto dosłownie—zjednoczone królestwo jak kultur tak i języków z zachowaniem ich pierwiastku a nawet i samego ustroju wyrazowego i ich własności dźwiękowych. Zgoła przezroczystość składowych warstw mowy, cywilizacji a więc i literatury dochodzi do takiego stopnia, że prawie dzień jej urodzenia oznaczyć można. W chwili zmęczenia i wysoko wyrobionego taktu, jakie do dziś umysłowość nasza zdobyła sobie wobec umysłowości obcych, studia dotyczące ich są już i prawowitemi, i koniecznymi. Pożądaném jest tylko, aby zaznajomienia nas ze stanem i dziejami piśmiennictw zagranicznych dokonywał umysł rzutny, szeroko poglądowy, doskonale oswojony z bitami i niebitami drogami obszaru; aby obok powagi wykładu, z zachowaniem kolejności dziejowej, zajmując umysł czytelnika, zostawił mu w możliwym stopniu rozkosz *używania* widoków przesnuwających się w pochodzie przed oczyma. Rola dziejopisarza literatury, tak postawiona, wymaga połączenia w jednym ręku warunków uczonego i artysty; dzieło Hettnera bez zaprzeczenia stoi na téj wysokości, bo i wtajemnicza w plan ogólny przedziwnego gmachu i pojedyncze jego wdzięki wskazując, budzi silne wrażenia coraz to innej sfery, zgoła daje *użytkowość* na wielką skalę. Pod tém też ostatniém godłem zamierzaliśmy obecną sprawozdanie, ufni że nam czytelnik, pew-

nych wycieczek, w związku z głównym ciągiem zostających, za złe nie weźmie.

Już w wieku XIV ukazują się poważne zawiązki literatury angielskiej. Pracownicy drugiej połowy owego stulecia już mieli poza sobą znaczące, jeżeli nie studia piśmiennictwa ściśle narodowego, to przynajmniej pomniki ogólnych wysiłków umysłowych. W r. 1362 poraz pierwszy posiedzenie parlamentu zagajonem zostało w języku angielskim. Właściwym jednak patryarchą piśmiennictwa angielskiego jest Chaucer.

Geoffrey Chaucer (urodzony około r. 1328—1400), którego utwory poetyckie wyobrażają ducha dwu epok: romantycznej, już dogorywającej, i epoki odrodzenia: Chaucer już nie zastał Dantego, który umarł prawie w roku jego urodzenia. Współcześni Chaucerowi: Petrarka i Boccacio odumarli go również. Tak więc przez ostatnią ćwierć wieku XIV był on, powiedziecby można, królem w poezyi na całą Europę. Jako mąż wysokich zdolności, przez Edwarda III wysłanym był w poselstwie do Francyi i Włoch, a wiedza zdobyta przez te wycieczki na ląd stały, wyprowadziła go z błędnego kółka średniowieczności ku nowym ogólniejszym widnokregom. Oprócz wybornych poezyi pisał i podróże. Do najpiękniejszych utworów jego zaliczają się *Romanse Róży* (*Romanuls of the Rose*) i *Śmierć księżny Blanki* (*Death of Blanche the Duchesse*). Obok Chaucera, ale w nieskończenie mniejszym blasku, stoi jego współczesny i przyjaciel: John Gower, autor trzech poematów: łacińskiego, francuzkiego. i angielskiego, wszystkich jednak z tytułami łacińskimi: *Zwierciadło Rozmyślanego*, *Głos wołającego*, *Spowiedź kochającego*, (*Speculum Meditantis*, *Vox Clamantis*, *Confessio Amantis*). Resztę imion, jako podrzędnych pomijamy.

Czternaste stulecie od imienia przodownika swojego nazwano wiekiem Chaucera.

Okres następny, od śmierci Chaucera do czasów królowej Elżbiety, przedstawia się nam, jako chwila mniej produkcyjna; kiedy polskie piśmiennictwo stoi w pełni złotego wieku Zygmunów, twórczość w Anglii pochłaniają walki *Dwu Róż* i pasowanie się szczątków ustroju średniowiecznego ze swobodami municypalnemi oraz: reformacja. Główną zasługą tego okresu jest wytworzenie prozy.

Caxton wprowadza druk w r. 1491. Spory religijne wprawiają w ruch siłę rozumowania, ukazują się pisma religijne i filozoficzne; z jednej strony padają ofiary nietolerancyi, z drugiej strony budzą się uczucia własnowolności przekonań. Kanclerz Tomasz More występuje ze zdumiewającą jak na czasy Henryka VIII śmiałością w swoim romansie politycznym *Utopia*; Wilson pisze wyborną Logikę i Retorykę. Poezya, stosunkowo do czasów Chaucera, nadzwyczaj się słabo przedstawia. Wyjątkowo uprawianą tu była liryka i w tym względzie przewodzi Szkocya. Jakób I, książę szkocki, jako więzień sprowadzony do Anglii, wychowuje się tam przez ciąg panowania Henryka

IV i V i jako więzień, wypowiada cierpienia swojej ciężkiej samotności w rzezonych pieniach. Również synem Szkocyi był Robert Henryson, pierwszy autor ballad. Ale najważniejszą może spuścizną jaką zostawił po sobie ten okres, są stare „ballady” pochodzące przypuszczalnie z XV i XVI wieku, których gniazdem był brzegowy pas ziemi pomiędzy Anglią a Szkocją, będący przez wieki widownią walki wrogich sobie plemion. Pomiedzy bohaterami tych ballad najgłośniejszy imieniem i najczęściej opiewany, jest sławny Robin Hood. Zebranie staro-angielskich ballad winniśmy biskupowi Percy, z którego skarbnicy czerpali natchnienia poeci okresu romantycznego, a szczególniej Walter Skott.

Stabą stosunkowo płodność pomienionego okresu, dziejopisarze literatury angielskiej tkómaczą sobie ze stanowiska *psychologii narodu*, a to w ten sposób, że przeciąg stu osiemdziesięciu lat przedstawia im się jako doba nabierania sił i rozpędu na wytworzenie wiekopomnej i jedyniej może w dziejach, epoki Elizabetyńskiej.

Epoka ta (III z kolei od czasu zawiązków piśmiennictwa angielskiego), jest tyle znaną ogółowi czytelników, a szczególniej z imion Szekspira, Spensera, wiekopomnego życiem i zgonem swoim Filipa Sydney'a w poezyi; Raleigh'a w dziejopisarstwie; Hobbesa i Bakona w filozofii, że nad nią rozszerzać się nie będziemy.

Otóż z chwilą zamknięcia się tego prześwieatnego cyklu, rozpoczyna się zadanie pracy Hermana Hettnera, z którą postanowiliśmy zapoznać czytelnika.

Jak wszelką zbiorową działalność ludzką, tak przedewszystkiem działalność duchową, uważać potrzeba jako posuwającą się w kierunku od źródła ku ujściu. To podobieństwo, powiedzmy raczej, tożsamość mechanizmu w sprawach przyrody i sprawach umysłowości ludzkiej, która ani zasmucać, ani upokarzać, ani odwagi odbierać nie powinna, w szczególnie prosty sposób tkómaczy nam ważne w dziejach literatury zjawisko: że od chwili ukonstytuowania się życia umysłowego w narodzie, rozmiary tego życia rozgałęzają się coraz widoczniej i coraz rozleglejszą sferę zagarniają pod bieg swój; jeżeli jego wzrostowi i rozrostowi jakaś wyjątkowa sprężyna w drodze nie stanie.

Cykl, podjęty przez naszego autora, obejmujący nie więcej jak trzecią część ciągu czasów, pomiędzy Chaucerem a Restauracją, dostarczył mu treści do bogatych, w najwyższym stopniu zajmujących obrazów. Tak więc literatura angielska w rozwoju swoim, nigdy i nigdzie stanowczo powstrzymaną nie była. Nawet częściowy zastój okresu II-go było jedynie fakt fluktuacyi, wewnętrznej, naturalnej, a jak dzieliśmy, poniekąd nie bezowocnej.

Przy podobnym, coraz szerszóm rozgałęzianiu się zakresu piśmiennictwa, trudnym było a koniecznym, upatrzeć pewne stałe prądy, któreby i czytelnikowi ułatwiały rozejrzenie się w faktach i ogólnie dziejowe tych faktów znaczenie wskazywały. Hettner wiernie dokonał pod tym względem zadania; książka jego jest wzorem metody. Mamy tu przed sobą prawdziwy *system dziejów* piśmiennictwa angielskiego.

skiego danej epoki. Drugą jego książki zaletą jest umiejętna kwiecistość wykładu. Nie czujemy tu ciężkiej ręki gotyckiej, pod którąby osoby działające wykonywały tylko mechanicznie narzucone sobie ruchy lub przybierały postawę, dogadzającą samowoli poglądów pisarza. Przeciwnie, autor oprowadza nas po obszarze stu dziesięciu lat najżywotniejszej epoki, wskazując każdą osobistość w chwili, gdy jej myśl albo fantazya pracuje.

Przewodniem hasłem autora jest ta myśl Goethego, że dzieje umiejętności przyrównać się dają do fugi muzycznej, gdzie głosy ludów nie odrazu, lecz jedne po drugich słyszeć się dają. Tego rodzaju kolejność w udziale trzech wielkich narodów cywilizacyjnych (Anglików, Francuzów i Niemców), szczególnież charakteryzuje piśmiennictwo ostatnich stuleci w ostatecznym sformułowaniu: sama działalność ta pojmowaną być winna, jako „boje o oświecenie.”

Dziejami literatury, ze stanowiska poglądu na kulturę powszechną, jak dotąd, zajmowali się tylko pracownicy: Villemain i Schlosser. Otóż wypełnienie zarysów, rzuconych przez owych wielkich myślicieli (Villemain bowiem pominął zupełnie literaturę niemiecką, w Schlosserze znów żywioł polityczno-dziejowy przeważa nad literackim) uważa nasz autor za zadanie pożyteczne, na co się bezwarunkowo zgadzamy.

W obranym do opracowania cyklu, Hettner upatruje trzy doby, a to odpowiednio trzem politycznym zwrotom dziejów Anglii:

1. *Czasy ostatnich Stuartów*, 1660—1688 r. (księga I).
2. *Czasy królowej Anny*, 1688—1727 r. (księga II).
3. *Czasy Jerzego II i Jerzego III*, 1727—1770 r. (księga III).

Niepodobnym jest wprowadzać tu poszczególne wszystkie postaci, jakie od czasu ostatnich Stuartów, aż do zakończenia cyklu, przeszły po przestworzu świata angielskiego, zabudowawszy je dziełami lub arcydziełami. Z rozkoszą i wzniosłym pożytkiem czytelnik pod przewodem autora przyjrzy się z kolei każdemu z wielkich pochodów, twórczości i wiedzy, prowadzonych równolegle z rozwojem politycznym narodu angielskiego.

Opisując każdą z trzech epok podług działów piśmiennictwa: umiejętności, poezyi, dramatu, na samym téż wstępie autor mówi o Newtonie i naukach przyrodniczych, w których Anglia, zostająca przez długi czas poza badaniami i odkryciami stałego ładu, w drugiej połowie wieku XVII zajęła stanowisko przodownicze. W r. 1645 zawiązuje się „kolegium niewidzialne” (*the invisible college*), ukonstytuowane następnie w „Towarzystwo królewskie w Londynie” za Karola II. Dalej występuje Izaak Newton, odkrywa prawo powszechnego ciężenia, a przez nie daje na zawsze ostateczne wykończenie przyrodnictwu mechanicznemu.

Wspaniały wiersz Halley'a wypowiada wrażenia hołdu, z jakim już współcześni przyjęli odkrycie Newtona:

..., Wstańcie, o śmiertelni! i troski ziemskie porzućcie,
Znajcie i śledźcie odwieczną myśl niebieskiej potęgę,
Chwalcie wielkiego odkrywcę boskiej prawdy, Newtona,
Tego muz kochanka, największą ludzi ozdobę;
Bliżej niewolno śmiertelnikom do bogów przystąpić."

Newton więc przedewszystkiém stoi na czele owych walk o swobodę myśli: które wiek XVIII uczyniły wiekiem oświecenia.

Następują początki deizmu, inaugurowane w poczty jeszcze przez Szekspira, którego poglądy autor uznaje protestanckimi z gruntu; w nauce zaś przez Hookera, Bakon występuje tu dwulicowo. Jaskrawiej już przemawia Browne. Zpoza kanału zawiewać poczyna wpływ Spinozy, (za czasów Jerzego I występuje czysty ateizm).

Z powodu teoryi politycznych w okresie tym, autor, przedstawiając Hobbesa, modyfikuje przesadzone pojęcia o jego dogmacie, jakoby wyłącznie podnoszącym absolutyzm.

Dział poezyi rozpoczyna się od Milтона; na czele mamy znakomicie skreślony obraz sytuacji, jaką zastała młodość poety. „Jan Milton, mówi Hettner (str. 40), stoi na punkcie zwrotnym dwu okresów. Można go jeszcze nazwać współczesnym Szekspira, gdyż urodził się w r. 1608, a jednak mógł z wszelką słusnością często a gorzko uskarżać się na to, że przyszedł na świat o całe pokolenie zapóźno.

„Jakże szybko i przelotnie przebrzmiały złote dni poezyi angielskiej. Szekspir dlatego tylko był tak wielkim, jak to wybornie zauważano, że księżyc romantyczności świecił jeszcze na niebie, chociaż już jaśniało słońce oświecenia. Ta średniowieczna atoli romantyczność bladła coraz to bardziej; jój miejsce zajmowały rozumne, ale trzeźwe formy i urządzenia państwa nowożytnego, życie i obyczaje straciły powabną swą świeżość i pełnię. Poezja ucierpiała na tém niezwłocznie. I ona stała się chłodną i trzeźwą, uczoną i sztuczną... Nakoniec muza zamilkła prawie zupełnie wśród wrzawy wojennej „długiego parlamentu” i rzeczypospolitej. Ponure nabożnisiostwo Purytanów nienawidziło sztuki piękne, a walki polityczne powołały wszystkich znakomitych ludzi na widownię państwową.”

Wybornie określa autor stosunek wewnętrzny pomiędzy dwiema epopeami Milтона: *Rajem utraconym i Odzyskanym*.

„Jeżeli *Raj utracony* był okrzykiem boleści nad tym nikczemnym światem, który się toczy *wrogo* dla dobrych, *uprzejmie* dla złych, stękając pod własnym swym ciężarem; to *Raj odzyskany* jest głośnym napomnieniem do oczyszczenia się i odkupienia samego siebie, do dumnego odparcia wszelkich zaślepiających powabów i pokus ziemskiej wspaniałości.”

Na ostateczny wywód autora o znaczeniu i poetycznej wadze *Raju utraconego* zgadzamy się. Strona dydaktyczna rzeczywiście przemaga tam i *Raj utracony* raczej za teodyceą poetyczną, aniżeli za epos religijny uważanym być może. I to prawda, że zasadniczą myślą jego

jest ulubiona naówczas kwestya bieżąca: o *początku* złego. Ale niezupełnie podzielamy to zdanie Hettnera, jakoby Milton założył sobie podźwignąć dogmat własnowolności ludzkiej, na przekór predestynarystom. Owszem, popod całą budowę epepei Milтона zdaje się być podłożoném wierzenie Kalwina, ale z pewnym dyalektycznym odcieniem, z pewną subtelnością, która jednak mówiąc nawiasowo, rdzenia rzeczy nie zmienia.

Nie jestto wybór téj, a potępienie innéj jednostki ludzkiej, ale mądre przejrzenie wszechmądrości Bożej, jéj przewidzida o wszelkich zgoła możebnościach, tak przestrzeni, jak i czasu (mówimy tu w domyślnym duchu poety). Główne wady organiczne *Raju utraconego* Hettner sprowadza do tego, że Milton nie potrafił zawrzeć bez cielesnéj postaci Boga i aniołów, w granicach widoméj plastyki, która przecież (w poezyi) ma być zdaniem autora *nieodzowną*. Dlaczego? Nic-że to autor nie liczy na symbolizm? W takim przypuszczeniu w cóż się obróca arcydzieła innych, nowszych poetów tego kierunku? czy *Mesyasz* jest rzeczywiście poematem chybionym? Zresztą odwołujemy się do jednéj z najświeższych powag, do Marka Pattisona, o którym wzmiankowaliśmy już kiedyindziej. „Poezyą, mówi on, okreśają zwykle, jako źródło szlachetnych wzruszeń, a czyliż istnieje w świecie epos, któreby mogło współzawodniczyć z *Rajem utraconym*?... Widnokrag *Raju utraconego* jest nieciaśniejszy, jak wszechprześczeń, jego chronologia nie krótsza, jak wieczność.” Takimto jest pogląd najznakomitszego dziś badacza dziejów umysłowości angielskiej i trudno nie uchylić przed nim czoła, jakkolwiek zastanawia nas, że Pattison nieco za lekko zbywa ową wielką myśl Keble'a, że: „poglądy katolickie, oparte na symbolizmie sakramentalnym, są nierównie poetyczniejszemi, aniżeli inne.”

Pod „tragedyą” mamy podany obraz wpływów francuzkich i wspomnień staro-angielskich. Okres Purytański zgnębił scenę prawie na śmierć. Prawdziwe tragedye i komedye, mówi współczesny pisarz Dryden, obudzały zgrozę w owych poczciwcach, co to łatwiej potrafili zabić swego prawowitego władzcę, niż znieść żart wesoły. Karol II, który wróciwszy na tron w r. 1660 znalazł był scenę w stanie ucisku i wykoszlawienia, zamyślił o jéj podźwignięciu i obdarzył przywilejem dwa towarzystwa aktorskie. Ale nie było to podźwignięcie twórczości dramatycznój. Uczucie piękna do tego stopnia stępiało, Szekspir w oczach tłumu spadł tak nisko, że ówczesny kronikarz, Samuel Pepys, nie waha się nazwać *Otella* sztuką mierną, *Sen nocy letniéj* i *Jak się wam podoba* największém bzdurstwem, jakie kiedykolwiek widział na scenie.

Jakkolwiek tradycye staro-angielskie odzywały się jeszcze ciągle, była to przecież smutna dla poezyi dramatycznój epoka; garnąc się ku szkole francuzkiej, a odsuwając od pojęć złotych czasów Elżbiety, epoka ta, jak mówi nasz autor, nie mogła współzawodniczyć ani z Szekspirem, ani z Corneillem, gdyż ani jednego, ani drugiego nie ro-

zumiała dostatecznie. Jedynie poważniejszą postacią tego okresu jest Jan Dryden, któremu też obszerny ustęp poświęca Hettner. Komedia również popadła w stan zdziczenia. Nie pocieszający też widok przedstawia poezya liryczna. Zgoła wszystkie prawie sprężyny twórczości w dziedzinie fantazy uległy zepsuciu, również jak i sama społeczność.

Z tego, może zbyt obszernie przez nas dokonanego streszczenia okresu ostatnich Stuartów, czytelnik miał sposobność zapoznania się z tokiem i metodą pisarską naszego dziejopisa. W dalszém prowadzeniu treści ograniczać się musimy a tém mimowolniej, że w miarę postępu czasów opisywanych, interes coraz żywiej się wzmacza. Jednakże wypada zaoszczędzić sobie miejsce na okres ostatni, trzeci. W końcu epoki Stuartów, spotykamy się z dwoma pisarzami komedii: Wycherley'em i Congreve'm; ostatniego jednakże zdaniem naszym pod tą epoką wspominać nie należało, gdyż jako autor dramatyczny, występuje on dopiero za czasów Anny, a jego nowela, od której rozpoczął zawód piśmienniczy pod przybraném nazwiskiem *Cleophil'a*, jest utworem bez wartości. Zresztą jako dramaturga i autor nasz następnie rozbiera go obszernie w okresie Anny.

Jego *Narzeczoną w żałobie* (*The mourning bride*), Johnson uważa za najlepszą tragedję angielską: pełna jest dowcipu. Zarzucano mu wprawdzie i słusznie, że swemi utworami podnieca do rozpusty i tak już zachwianą w zasadach społeczność, że ma zawiele dowcipu, ale Horacy Walpole, najsprytniejszy obserwator ówczesnego świata, odpowiada na to: „wielka szkoda, iż żaden inny poeta komiczny w ten *sam błąd nie popadł*.”

Następują czasy Wilhelma Orańskiego i królowej Anny. Konstytucjonalizm odnosi zwycięstwo, myśl swobodna zyskuje potężną siłę i znaczenie. Hallam miał prawo odezwać się: „Czujemy dumę i godność republikanów, a zarazem tę tęgość i spokojną trwałość, która zkadınad bywa zazwyczaj właściwą tylko jedynowładztwu.” Z rozszerzeniem się widnokregu politycznego, wzmacza się i życie wewnętrzne. Powstają organa opinii publicznej. W r. 1666 założono *Gazetę Londyńską*, która początkowo wychodziła dwa razy na tydzień, pół arkusza *in folio*. Nowy rząd utworzył sobie organ własny: *The Orange Intelligence*. W r. 1709 założono *Kuryer Codzienny* (*Daily Courant*). Najznakomitsze talenta (Defoe, Swift, Bolingbroke, Steele, Addison) na tém wyrobiły się polu. I owa to społeczność, której lordowie niegdyś nie umieli się podpisać na karcie króla Johna, teraz oto wstępuje na pełne morze umysłowości, dokonywa przebudowania filozofii z gruntu, zawiązuje ogniska teoryi społecznych, etycznych, wydaje Locke'a, Rowego, Southerna, Addisona i w ogóle poważną, przy całym naśladownictwie i dydaktyzmie, literaturę poetyczną.

Jak w tamtym okresie Newton, tak w tym okresie Locke występuje na pierwszy plan w dziejach umysłowości angielskiej. Autor po-

święca mu cały rozdział, nader charakterycznie streszczający ducha jego filozofii, która odtąd została bezwarunkowo panującą w Anglii. Podnosimy nader udatny rys, zestawiający tych dwu olbrzymich myślicieli. „Jeżeli Newton przemienił astronomią fizyczną w mechanikę nieba, to Locke z logiki i metafizyki zrobił naukę o wrażeniach zmysłowych człowieka. Jeżeli wolno tu użyć wyrażenia technicznego, to można powiedzieć, że co u Newtona jest mechanizmem, to u Locke'a jest sensualizmem.“ Równie udatnie ocenia autor polityczne, religijne i wychowawcze poglądy Locke'a.

Z powodu daleko sięgającego wpływu Locke'a na umysły pokolenia, w rozdziale p. t.: „Deiści, moralisci i wolnomularze,“ szczególniejszym zajmującym jest ustęp poświęcony Shaftesbury'emu i Mandeville'owi, moralistom, oraz obrazek Wielkiej Łoży.

W dziale o poezyi mamy obszerny ustęp o Pope'm, następnie dramat moralizujący (Southerne, Rowe, Addison) i komedią (Cibber, Stelle i Gay, utwórca *Opery żebraczyj*).

Charakterystycznymi w tej epoce były *tygodniki moralne*, z dążnością satyryczno-obyczajową, wymierzone przeciw rażącemu zepsuciu. „Anglia zawdzięcza im najzbawienniejsze przekształcenia zarówno smaku artystycznego, jak i całego sposobu myślenia obyczajowego i politycznego.“ Tak się o nich wyraża Natan Drake.

Świetnym zamknięciem okresu są dwie kolosalne postaci: Daniel Defoe (autor nieśmiertelnego dzieła *Robinson Krusoe*), którego sam żywot przedstawia w sobie niemal coś epopeicznego i z prawdziwą werwą jest tu odmalowany, — tudzież Jonatan Swift, książę humorystów, dotąd jeszcze żadnym piórem niedościgniony. Słusznie powiada Hettner, że najlepszym probierzem wartości jego *Podróży Gulliwera* jest to, że zachowały one cały urok aż do dzisiejszej chwili, choć czas zatął barwę na rozrzuczonych tam osobistych napomknieniach i aluzyach.

*

*

Z początkiem drugiej ćwierci XVIII wieku dzieje Anglii wstępują w pełnią dojrzałości społecznej, politycznej i literackiej, przed którą najobojetniejszy widz czoło pochylić musi. Niedziw więc, że i w opowiadaniu autora, tak zakochanego w swoim przedmiocie, co chwila czuć się daje wrażenie wielkości. Na scharakteryzowanie głównych działaczy tego okresu już pędzel mu nie wystarcza, i zastępuje go dłuto. Bolingbroke, Stern, Adam Smith, Thomson, Richardson, Goldsmith, nawet Samuel Johnson, tak dziś zapomniany, są to bohaterowie zaiste godni rzeźby, od których cień rozłożył się przestrono na czasy przyszłe.

Okres ten przedstawia widok rozgałęzień i głębi i rozsuwania się sprzeciwieństw na wielką skalę.

I tu więc spotykamy powtórzone też działy pojedyncze: umiejętność i poezyą, ale w nieskończenie wydatniejszym ucłunkowaniu. I tak: z etyki jakoby z pnia głównego wychodzi nowa odrośl — estety-

ka psychologiczna, nietylko wysnuwająca teorye piękna niezależnie od systemów stałego ładu, ale owszem nadająca kierunek teoryom niemieckim (Burke, Gerard, Home). W filozofii znowu mamy tu: religią naturalną i filozofią moralną (Tyndal, Morgan, Chubb), a wreszcie lockianizm rozwinięty materyalistycznie (Hartley, Priestey). Obszerniejszy ustęp zajmuje „krytyka S. Johnsona,“ po którym następują oguiwa zwrotu ku samorodnej twórczości na gruzach klasycyzmu.

Z poetów autor również udatny zrobił wybór, umieszczając na czele romansistów Richardsona, nad którym długo i z gorącą sympatyą zatrzymuje oko; za nim mamy romans komiczny Fieldinga, Goldsmitha, Smolletta i rysunki satyryczne Hogartha, romans humorystyczny Stern'a. Z tego powodu czytamy tu ciekawą wycieczkę autora w kwestyi o „humorystyce“ (str. 39—40). Pod dramatem mamy Jerzego Lillo, Edw. Moora, Cumberlanda, Garricka, Goldsmitha i Sheridan; w dziele liryki i eposu występuje Thomson i Young; a wreszcie po wzmiance o tak zwanéj *Forgery* (Kuźnia, t. j. podrabianie mniemanych starożytności), Cowper i Burns zamykają ostatnią część znakomitej pracy Hettnera.

Najgłówniejszą jéj zaletę stanowi ściśle utrzymanie od początku do końca wątku genetycznego, szczęśliwe pochwycenie łączności pomiędzy dwoma czynnikami postępu: umysłowością i ruchem form państwowych w Anglii. Nie utrzymujemy bynajmniej, aby autor pominął w tym przeglądzie którąkolwiek z imponujących osobistości. Jednakże nie zbyteczném będzie zwrócić uwagę czytelników na pewne punkta, zdaniem naszém, zasługujące na zaznaczenie. Mamy tu na myśli Akenside'a, Shenstone'a, Younga, oraz jedną ze stron dopełniających charakterystykę Smollett'a.

Marek Akenside chronologicznie wchodzi całym żywotem swoim w ramy okresu Jerzych, rodzi się bowiem 1721 r., a zgon jego zbiega się w zupełności z rokiem zamykającym ten okres u autora († 1770). Co do ducha, jako najgorliwszy bojownik, dotrzymujący pola w obrobie wyobrażeń starego porządku, klasyczny jak nikt, wyjąwszy chyba Milтона, z którym spokrewnia go także purytański duch opozycyi,—Akenside jednakże dwoma znamionami zachodzi w sferę nowych prądów: nastrojem idealistycznym i poetyckim zamiłowaniem przyrody. Pod tym względem wysoko stawiamy jego obszerny poemat p. t.: *Rozkosze wyobraźni (Pleasures of Imagination)*.

Gorącą téż jest jego pieśń p. t.: *Filipika Brytańska (the British Philipie)*, napisana w 17 roku życia poety, powodem: zniewaga wyrządzona Anglii przez Hiszpanią, w chwili kiedy właśnie czyniono przygotowania do wojny. Już tu Akenside staje z gotowym programem, jakiego trzymać się miał przez całą przyszłość: „honor ojczyzny, autonomia ducha i osoby, opieka nad zgnębionymi—oto moje godła!“

I, rzecz dająca wiele do myślenia, człowiek, dla którego nie zdawała się przygnębiającą bezwarunkowa zależność od klasycyzmu starożytnego, wzdrygał się na widok smaku francuzkiego, który był

owładnął sceną. Z powodu przybycia do Londynu trupy francuzkiéj w r. 1749, wygłosił w teatrze królewskim piorunującą odę p. t.: *Głos przestrogi od Szekspira*, w której pomiędzy innemi, tak przemawia do zfrancuziałych potomków: „Jeżeli, pamiętając o ziemi ojczystéj, raczycie jeszcze rozumieć mowę starego Szekspira, oto z błogosławionych przybytków, jakiemi niebo nagradza mędrców budujących ducha a bardów niepokalanych, zstępuję do was ja (Szekspir), starożytny założyciel sceny, ze słowem przestrogi. Przebóg! prawdażto, że przejmując się stopniowo wzgardą ku żywiółom rodzimym, chcecie zedrzeć z mojej skroni wieniec laurowy, a ukoronować nim współzawodników sławy naszéj ojczyzny? Nie, mężowie Anglii! dla upiększenia życia marnemi barwidłami, nie pożyczajcie wy sromotnych nauk od téj rasy chełpliwej, którą straszliwe fatum, którą sędzia losów ziemi na to przeznaczył, aby i na polu bitwy, i na wiecach, i w zawodzie sztuki wrogiem była waszym“ (księga II, oda 1). Co zaś w jego *Rozkoszach wyobraźni* szczególniej chwytą nas za serce, to wespół jeszcze senne przedchwyty odrodzenia się w przeczystéj duchowości, odgrzebania popiołów upadłego platonizmu, owéj iskierki, którą, przed wiekiem już prawie, nasz Kochanowski odświeżył był widnokrag, kiedy opisawszy majestat rzeczy widomych, dodaje: „takim to jest świat ziemski, a cóż dopiero być musi tam,

gdzie nasze oczy

Dosiądz nie mogą? gdzie myśl, która niebem toczy,
Gdzie sama piękność świeci i kształty wszechrzeczy?
Nie może tego pojąć mdły umysł człowieczy.

Również za właściwe uważamy wspomnieć dodatkowo o poważnej osobistości trzeciego okresu: o Wiliamie Shenstonie.

Shenstone (urodzony r. 1714 † 1763) był w swoim czasie jednym z najpopularniejszych poetów. W jego utworach idyllicznych czuó dotknięcie czarodziejskiéj dłoni Spensera, poprzez dwa oddzielające ich stulecia. W najpobawniejszym może ze wszystkich poemacie swoim: *Ochmistrzyni* (*The Schoolmistress*) sam zapowiada naśladowanie mistrza XVI wieku, tego, powieździéby można: Kochanowskiego Anglii. Ton i układ poematu, jego posągowy dziewięciowiersz, urok melodyi, wymownie pokazują, pod czyim był wpływem Shenstone. Co ważniejsza, w okresie klasycyzmu, wysilającego się ostatecznie na ocalenie wszechwładztwa, które wkrótce runąć miało, Shenstone, obok hołdu Apollinowi, obok nieustannych umizgów do Fillidy, zbacza chwilami do ballady. Na nieszczęście, serdeczne te instynkta dalszéj drogi torować sobie nie śmiały, i zagasły pod mitologią grecką, moralizmem i dydaktyką. Ocalała jedna tylko ze sprężyn zbliżającego się odrodzenia: duch zamiłowania przyrody. Shenstone rozkrzewiał nawet praktycznie to zamiłowanie, bo utworzył i wprowadził nowy styl urządzania ogrodów w stylu narodowym, usuwając styl francuzko-włoski i holenderski. *Ochmistrzyni* jest wyrazem téj idei. Zaczna, domoro-

sła bohaterka, zna każde ziółko i kwiatek i roślinę w swoim rajskim zaciszu, o każdym bławatku, balsaminie, nagietku, bluszczu, umie coś powiedzieć. Doprawdy, doznajemy tu wrażenia przedwstępu do Mickiewiczowskich opisów, majestatycznie spokojnej melodyi i harmonii kwiatu i roślin. Niema tu jeszcze tak upragnionej dla naszego studium podmiotowości, niema symbolu, ale jest zdrowa i czerstwa wonność natury. Na „pierwiosnek” jeszcze to było zawcześnie.

W *Sądzie Herkulesa (The Judgment of H.)* Shenston wpada znowu w nieubłaganą moralistykę; Pany, Alcydy i Filomele wracają znowu na porządek dzienny. Ale w każdym razie oszczędniejszy jest nasz poeta w aluzyach arkadyjskich i olimpijskich od klasyka czystej wody, Akenside'a. Nic rzewniejszego, jak jego ballada *Jemmy Dawson*, której bohater serca ginie, jako ofiara wstrząśnień państwowych. Usłyszawszy wyrok śmierci na swego oblubieńca wydany, Jemmy zwraca się z błaganiem do króla: „o Jerzy, władco mój! gdybyś tchnął miłosierdziem, gdybyś go ocalił, ach! jabym nigdy nie kończyła pacierzy bez modlitwy za ciebie.”

Teraz słów kilka o ocenie Younga. Hettner za główną—prawie za jedyną podstawę sławy Younga uważa jego *Rozmyślenia nocne*. Nic nad to sprawiedliwszego. Może jednak nazbyt solidaryzuje się Hettner z owym zdaniem Johnsona co do tragedji Younga że: „wolno jest o nich zamilcząć, gdyż i publiczność nigdy o nich nic nie mówiła.” Prawda, że *Zemsta* (tragedja z dziejów hiszpańsko-afrykańskich) grzeszy najistotniejszą wadą: luźnością węzła intrygowego. Wprawdzie podstępny Maur, Zanga, mocno jest skopiiowany z Jaga (w *Otelu* Szekspira); knowania, jakimi zamierza on zburzyć spokój swojego pana, z którym ma krwawe rachunki z przeszłości, knowania te rzeczywiście nie wiele są mocniejszymi w zawiązku od siatki pajęczej; ale intryga raz zadzierżgnąwszy się, snuje się już dalej energicznie.

Zanga, były książę, syn władcy afrykańskiego, dziś niewolnik Alonza, spoliczkowany przez niego, poprzysiągł zemstę; i rzeczywiście owoce intrygi do jakich w końcu dramatu dochodzi, są arcydziełem *Zemsty*. Tak między innymi ostatnia scena, a mianowicie głos Zangi nad zwłokami Alonza, (który się przebił z rozpacy po odkryciu niewinności żony) powinien był w oczach krytyka posłużyć za odkupienie dość licznych wad tej tragedji. W akcie piątym scenie pierwszej, scenie czwartej tegoż aktu, Young jest wprawdzie naśladowcą Szekspira, ale naśladowcą genialnym, jeśli tak wyrazić się wolno.

Autor nasz uważa i ocenia Smoletta głównie jako pisarza romansów i w tym charakterze porównywa go z Fieldingiem, jego poprzednikiem. Przyznając Fieldingowi wyższość artystyczną nad Smollettem, w nim zato podnosi bogactwo i dosadność malowidła. „Drastyczność i prawda, mówi Hettner (str. 336), rysy znamienite, które po dziś dzień tak korzystnie odróżniają romans angielski od romansu wszystkich narodów, dostrzegać się dają już u Fieldinga; daleko wszakże wyraźniej występują u Smoletta. Zwłaszcza w malowaniu życia

na morzu wszyscy nowsi poeci mogli się od niego wiele nauczyć. Romanse jego, zwłaszcza trzy najsłynniejsze: *Random*, *Peregrine Pickle* i *Humphry Clinker* wraz ze wszystkimi osobistościami, wypadkami i okolicznościami, zostały zaczerpnięte z przygód samego poety.

Pozwalamy sobie wszakże jednego pociągnięcia pióra dla dopełnienia charakterystyki Smolletta w okresie trzecim. Jeżeli Smollett jest utwórcą wybornych romansów, jest on przytém znakomitym poetą lirycznym. Hettner słusznie zaznacza ten fakt, że „Smollett pochodził ze znakomitej rodziny i że przeciwieństwo pomiędzy nim a Richardsonem, otrzymuje przez to głębsze tło dziejowe.” Otóż ten obiektywny warunek, ważny w zawodzie ówczesnego powieściarza, jako apostoła wyobrażeń towarzyskich, religijnych, lub politycznych; warunek ten może silniej jeszcze zaważyć na szali, skoro zużytkowanym zostaje z wysokości poezyi. Powołujemy się na jeden fakt, który nam wypowie zarówno jaskrawo obywatela jak i poetę.

Kiedy pod Culloden Szkocya została złamaną w wojnie domowej, z rozkazu księcia Cumberland rzucono na nią straszliwe klęski i okrucieństwa: Smollett pochodził z rodziny szkockiej, zaszczytnie znanej i starożytnego imienia; tam się wychował, tam wykształcił. Czyn tedy księcia nie mógł ujść bezkarnie przed sądem ducha poety: Smollett w uczuciu zgrozy i boleści napisał elegię p. t.: *Łzy Szkocyi (Tears of Scotland)*, w sześciu strofach, którą niżej przytaczamy, a za którą człowiek innego rodu i stanowiska mógłby być zmuszonym do długiego milczenia. Tymczasem dawane mu ostrzeżenia o przypuszczalnych skutkach, bynajmniej nie przejęły go trwogą; owszem, dodał jeszcze siódmą strofę. Oto jego pieśń zgrozy na owoce wojny domowej, w odrębnym przekładzie; wszędzie tu domyślać się należy imienia Cumberlanda.

Łzy Szkocyi.

(elegia z roku 1746).

Płacz Kaledonio, płacz o! nieszczęśliwa:
On skruszył twego spokoju ogniwa,
Starł przenaświętsze wawrzyny;
Głośnie ze zwycięstw przed ludy wszystkimi,
Krwiaź zbroczone twoje syny
Zwłokami kryją pierś rodzinnej ziemi.
Dach twój gościnnie w opiekuńcze progi
Już nie zawabi przychodniów zdaleka;
Gruzy się bielą i dymy pożogi:
Pomnik sromotny dzikości człowieka!

A smutny dziedzic spogląda zoddali,
Jak bój pochłania gniazdo w krwawej fali:
Wspomniał na matkę, na żonę, na syna
I piersi szarpie i żywot przeklina;
Głodna pasterka ucieka na skały

Gdzie wczoraj stada jój, trawkę szczypały;
 Jęczą two branki, Kaledonio święta,
 Giną mdlejące w stepie niemowlęta.
 Cóż, że synowie będą rozslawieni
 Po wszech granicach wieków i przestrzeni?
 Że do prawnuczeńj wieści się dochowa
 Niepokalana twoja cześć marsowa?
 Złamano w tobie olbrzymiego ducha,
 Kark przykuto do łańcucha:
 Ach! i nie horda najezdniczo zbrojna,
 Nie: bratobójcza zgubiła cię wojna.

Baśń dawna, piosnka przy pastuszym flecie
 Nie rozwesela cię o skwarném lecie;
 Nocy zimowych, ni to gra wesola,
 Ni gwar rodzinny rozjaśnić nie zdoła;
 Zamilkły śpiewy, tylko gdzieś tułaczy
 Snuje się pobrżek wspomnień i rozpaczy,
 Tylko po nocach, przez parów zielony
 Widen wybladłe koczują legiony.

Ha! wszak na ciebie, o! dniu wiarołomny
 Już tam z przekleństwem czeka wiek potomny.
 Wszak brat na brata kuł miecze ze stali,
 Ojcowie, dzieci swych krow przelewali...
 Ucichł bój—wrzawy ustały złowieszcze:
 Wściekłość zwycięzcy nie ostygła jeszcze;
 Jeszcze nad nagim i głodnym wciąż sterczy
 Mściwych płomieni snop i miecz morderczy.

Na śmierć skazana, w burzliwą zadymkę,
 Matka po wrzosach odbywa pielgrzymkę;
 Gdzie skroń jój wiatry smagają i śloty,
 Chleba wołają zgłodniałe sieroty;
 Tak noc za nocą, mrok zapuszcza sieci
 Na biedną matkę i łaknące dzieci,
 Aż się pod mroźném niebem rozciągniona
 Nad dziatki mdłemi zapłacze i skona.

Nie—póki ciepła krew bije tu w łonie,
 Póki szaleństwo myśli nie pochłonie:
 Nigdy, za wiary i czci stratowanie
 Zemsta w synowskiém sercu nie ustanie;
 Niech on wysiła się na sprosne czyny,
 Ja śpiewać będę: „płacz, płacz, nieszozęśliwa!
 On stargał twego pokoju ogniwa,
 Starł przenajświętsze wawrzyny.”

Odważyliśmy się na przydłuższą nieco wycieczkę do Smolletta, w ossyaniczny świat owęj górskiej poezyi, z której tyle nabrano pereł do dyademu poezyi angielskiej. Ale nie takto łatwo oderwać się od

wrażeń cudownego obrazu, któremu i nasz autor nie szczędzi hołdu, zamykając wspaniałą opowieść swoją. Ostatnią bowiem postacią w jego książce jest najzdolniejszy, najsympatyczniejszy poeta, Robert Burns, prosty wieśniak szkocki, w którego pieśni pod rosą ducha ludowego odmłodziła poezya angielska. Powtórzmy tu zdanie autora wraz z kilku dźwiękami trenu Burnsa nad zmarłą oblubienicą, w godnym pierwotworu przekładzie p. M. Gawalewicza:

„Zakres, w którym Burns się obraca, nie jest rozległy. Ale wszędzie spotykamy się z jasnym i bacznym okiem rzeńskiego dziecięcia wiejskiego. Miłość, górską natura i swoboda, która się tu istic patryarchalnie objawia, jako tęsknota za przywróceniem dziedzicznych Sturtów: oto i wszystko” (str. 379).

„Rym i rytm Burnsa, jak mówi Carlyle, nietylko do muzyki nagina się, ile raczej jest już samą muzyką. Wszędzie, gdzie tylko żyje mowa angielska, rozlegają się piękne jego pieśni. Na nim wspierają się i Walter Scott i Tomasz Moore, szkoła jezior, nawet Byron i Shelley. Dopiero od jego czasów można znów mówić o prawdziwej liryce angielskiej.”

Do Maryi wniebowziętej.

Ty blada gwiazdo za obłokiem,
 Poznaję cię, posłanko dnia —
 Świeciłaś równie tak przed rokiem,
 Gdy umierała Marya ma.
 O! drogi cieniu ukochanej,
 W światłości niebios gdzieżeś ty?
 Czy słyszysz tam mój głos złamany?
 Czy widzisz mój tęsknoty Izę?
 Jakże mi dziś przez wszystkie smutki
 Ostatniej schadzki świeci dzień!...
 Ten nad rzeczulką gaj cichutki
 Pelen rozkosznych wiosny tchnień.
 Jakże mi w duszy dotąd płonie
 Ostatni pocałunek nasz;
 Gdym z pożegnaniem ścisnął dłońie,
 Ostatni, ach! ostatni raz.

Z wysoką rozkoszą naukową i pożytkiem czyta się dzieło Hettnera; sumienny, życia pełny jego wykład, oprócz bezpośrednich zalet, wyświadcza nam jeszcze tę przysługę, że sięgając samego korzenia genezy nowoczesnego piśmiennictwa w Anglii, zaopatruje nas w klucz do wielu jego, dotąd ciemnych dla nas piękności. Obszerne wyjątki z najcelniejszych pisarzy, wyborne przekłady wierszem, podawane w odsyłaczach wiadomości o tłumaczeniach polskich, wreszcie wzorowe pod względem stylu spolszczenie, w zupełności uzasadniają *naczelny napis* w niniejszej publikacji: krzesło kurulne najstuszniej się jój należy.

F. Jezierski.

Z DZIAŁU EDUKACYJNEGO.

Algebra, przez G. H. Niewęgłowskiego profesora matematyki w Paryżu. Część pierwsza zawierająca algebrę elementarną. Paryż. Nakładem właściciela biblioteki kórnickiej, przewodniczącego w Towarzystwach naukowej pomocy i nauk ścisłych w Paryżu, 1879 r.

Dzieło to, znanego i zasłużonego pracownika na polu pedagogicznej literatury matematycznej, z 893 stronnic in 8-vo złożone, zawiera w sobie kurs algebry, wykładany w szkołach średnich. Składa się ono z dziesięciu rozdziałów i czterech not (przypisów), podzielonych na pięćset kilkanaście paragrafów. Oto tytuły rozdziałów: wiadomości wstępne i określenia, rachunek algebraiczny, równania pierwszego stopnia, zagadnienia pierwszego stopnia, o wyznacznikach, równania drugiego stopnia, maksimum i minimum niektórych wyrażeń, postępy i logarytmy, kombinacje i dwumian. W przypisach jest mowa o przenoszeniu wyrazów z jednej strony równania na drugą, o metodzie granic, o pewnych własnościach liczb i liczbie cyfr okresów dziesiętnych, wreszcie o pierwiastkach równania stopnia drugiego w pewnym przypadku szczególnym.

Dzieło, pod względem układu, jako téż sposobu i zakresu wykładu, jest zbliżoném do podręczników francuzkich. Obfitość zadań i zagadnień, szczegółowo w tekście rozwiązywanych i roztrząsanych, czyni książkę bardzo użyteczną dla tych, co bez pomocy nauczyciela pragną wykształcić się w algebrze elementarnej. Zaletę pedagogiczną książki stanowi należyta jasność i przystępność wykładu. Autor stara się o to, by w umyśle czytelnika nie pozostawić żadnej wątpliwości i każdy wywód, każde działanie szczegółowo objaśnia. Staranność autora pod tym względem dochodzi często do drobiazgowości, czyniąc wykład niekiedy zbyt rozwlekłym. Tak np. przy rozwiązywaniu pojedynczych zadań na równania, autor za każdym razem przypomina czytelnikowi, co i jak robić należy, chociaż po tém, co było poprzednio, każdy, najmniej nawet uzdolniony czytelnik, sam sobie poradzić powinien. Takie ciągłe przypominanie i powtarzanie w książce, zdaniem naszym, zarzuconém być winno.

Nie mogąc tu rozpatrywać szczegółowo wszystkich rozdziałów téj obszernéj książki, zatrzymamy się nieco dłużej nad początkowymi ustępami, ważnymi w książce do nauki szkolnéj, a następnie zwrócimy uwagę na wybitniejsze ustępy w innych rozdziałach,

Autor rozpoczyna w ten sposób: „w rozwiązywaniu zagadnień, aby ułatwić rozumowanie, przedstawia się ilości niewiadome, te, których się szuka, ostatnimi literami x, y, z alfabetu i dla zogólnienia wyników oznacza się pierwszemi literami a, b, c , ilości wiadome, jakimi są liczby, wyrażające rozmaite wielkości dane.” Po tych kilku

słowach następuje bezpośrednio zdanie: „Umiejętność ogólnych własności ilości i działań przedstawionych literami, stanowi część matematyki, która nazywa się *algebrą*.” Zdaje się nam, że określenie to, zaraz we wstępie pomieszczone, bez wyjaśniających przykładów, zrozumiałem dla czytelnika nie jest.

Na stronnicy znów 7-ój autor rozwiązuje w pewien sposób proste zadanie arytmetyczne. „Znaleźć dwie liczby, których suma czyni 15 a różnica 9,” dodaje, że użyty przezeń sposób rozumowania, stanowi tak zwaną metodę syntetyczną, na której stoi arytmetyka, a która gra przeważną rolę w geometrii; a o kilka wierszy niżej podając drugie rozwiązanie tegoż zadania, przy pomocy prostego równania stopnia 1-go, autor nazywa tę metodę analityczną, dodając w przypisku: „metodą analityczną szuka się prawdy niewiadomiej, metodą syntetyczną dowodzi się prawdy wysłowioniej.” Sądzimy, że to przejście od najprostszego zadania do ogólnego poglądu na metodę, jest za nagłym i dla czytelnika niejasnym. Zbyt też pośpiesznie autor wyprowadza wniosek następujący: „Jak widzimy (?) ta metoda polega na przekształceniach wyrażeń algebraicznych, idąc od zawiłego aż do najprostszego, które jest szukanym rozwiązaniem” i dodaje, zbyt pośpiesznie znowu, o ile nam się zdaje, rzecz uogólniając, że „algebra jest umiejętnością przekształceń.” Prawda to i piękna, ale potrafi ją zrozumieć ten, co gruntownie poznał już zasady algebry elementarnej i któremu nie jest obcą algebra wyższa.

Wprowadzenie ilości odjemnych do wykładu elementarnego jest, jak wiadomo, połączonym z trudnościami, z którymi walczyli nawet pierwszorzędni matematycy. Autor omija te trudności w sposób, który nie wydaje się nam dostatecznie umiejętnym i pedagogicznie uzasadnionym. Rozpoczyna on rzecz o ilościach odjemnych, mówiąc wprost: „Do rachunków algebrycznych wchodzi ilość, poprzedzone znakiem —, jako $-a$, $-ab$, -3 , które nazwano ilościami odjemnymi” i następnie objaśnia rzecz na prostym przykładzie. Uczeń nie widzi tu żadnej konieczności wprowadzenia nowych ilości, z jakimi nie spotykał się dotąd jeszcze, a których potrzeby zrozumieć nie jest w stanie. Wiadomo zresztą, że nie tyle potrzeby praktyki, ile teorii, były powodem uogólnienia pojęcia liczby. Autor na rzecz tę nie zwraca dostatecznej uwagi, mówiąc tylko, że „mnogie są przykłady użytku ilości odjemnych w rozmaitych gałęziach matematycznych, co popiera przykładami z mechaniki i trygonometrii, t. j. nauk nieznanych jeszcze czytelnikowi, zaznajamającego się z początkami algebry. Nie jasnym też wydaje nam się ustęp następujący: „Ale nie trzeba myśleć, żeby ilości odjemne były konieczne przeciwne dodatnym; nie szukając daleko i przestając na prostym przykładzie, powiemy, że jeden i ten sam kierunek przedstawia sieczną trygonometryczną dodatną albo odjemną według łuku.” W ogóle cały ustęp o ilościach odjemnych wymagałby, zdaniem naszym, nieco staranniejszego opracowania.

Dalsze rozwinięcie działań nad ilościami odjemnymi nie jest dostatecznie powiązanem w całość. Czytelnik tylko z trudnością może wyrobić sobie jasne pojęcie o nowych ilościach. Zasady działań z wielomianami są wyłożone najprzód w założeniu, że te wielomiany mają wartość dodatną, potem dopiero, w oddzielnym ustępie, zatytułowanym: „zogólnienie prawidła znaków,” autor mówi, że „prawidło znaków, które objawia się samo w mnożeniu wielomianów dodatnych, nie daje się dowodzić dla ilości osobnych sposobem samoistnym, dlatego, że nie można *a priori* określić, co znaczy mnożyć przez ilość odjemną. Ale to prawidło nie jest dowolną ugodą, ani zależy od wartości wielomianów. Jest ono konieczną ustawą znaków mnożenia ilości algebrycznych, która się sprawdza. rozwiązując następujące zadanie...” I autor na przykładzie wykazuje konieczność téj, jak ją nazywa, ustawy. Nie pojmujemy, dlaczego autor twierdzi, że mnożenie przez ilość odjemną określić się nie da; dlaczego, wedle słów jego, nie przedstawia samości logicznego sensu. Jeżeli tylko wprowadzenie nowych ilości, przy pomocy pewnego ścisłego ich określenia, zostało należycie uzasadnionem, to można w sposób również ścisły określić działania z niemi, bacząc, by to określenie nie było w sprzeczności z własnościami działań na ilościach dawnych, albo, innemi słowy, można rozszerzyć określenie działań w ten sposób, aby to uogólnione określenie, obejmowało w sobie przypadek ilości dawnych i nowych. Taki jest charakter wszystkich uogólnień w matematyce.

Podobny charakter ma wprowadzenie wykładnika zero i wykładników odjemnych; tę rzecz autor przeprowadza jednak racjonalnie.

Dobrze jest wyłożonym ustęp o dzieleniu wielomianów. Pożytecznym téż jest ustęp o średniej arytmetycznej i średniej. Rzecz o ilości nieskończenie wielkiej, powinna być, zdaniem naszym, pomieszczoną w dalszych ustępach książki; podane tutaj rozróżnienie między zerem *względem* i zerem *samoistnem*, z trudnością, może być pojętym przez początkującego czytelnika.

Ogólne zasady rozwiązywania równań są wyłożone z należytem rozwinięciem i uzasadnieniem. Toż samo powiedzieć można o rozwiązywaniu równań stopnia pierwszego i układu takich równań. Rozdział ten należy do najlepszych w książce.

Pożytecznym są ustępy o nierównościach zwykle zaniebdywanym w kursach elementarnych.

Uznanie należy się autorowi za wprowadzenie do książki krótkich wiadomości o wyznacznikach. Teorya wyznaczników, stanowiąca obecnie niemal samodzielną gałąź algebry, ważna i pożyteczna w wielu badaniach matematycznych, znalazła ostatniemi czasy wstęp i do kursów elementarnych. U nas pan Niewęglowski, o ile wiemy, pierwszy wprowadza ją do kursu elementarnej algebry, podając niektóre początkowe teoryi téj twierdzenia, wraz z zastosowaniami do rozwiązań ogólnych równań stopnia pierwszego i opierając na tych wiadomościach dyskusyą rozwiązań ogólnych tych równań.

Równie szczegółowym i zupełnym jest wykład teoryi równań stopnia drugiego wraz z zastosowaniami, po których następuje rzecz o równaniach, rozwiązujących się przy pomocy równań stopnia drugiego i o niektórych równaniach, tak zwanych dwumiennych. Rozwiązanie układów równań stopnia drugiego, daném jest w przypadkach najprostszych, w mierze wystarczającej jednak dla wykładu gimnazjalnego.

Zagadnienia stopnia drugiego ciekawie i trafnie dobrane, są podane wraz z roztrząśnieniem rozwiązań. Między innymi szczegółowo jest rozpatrzoném zagadnienie Pappusa: „przez punkt wzięty na dwójsiecznej kąta prostego, poprowadzić sieczną tak, aby jej część, zawarta między ramionami tego kąta albo ich przedłużeniami, miała długość daną.”

Następuje rozdział „o *maximum* i *minimum* niektórych algebrycznych wyrażeń,” zwykle opuszczany w podręcznikach elementarnych i nie wykładany w obowiązującym u nas kursie gimnazjalnym.

Po teoryi postępów, które autor *postępniami* nazywa, następuje teoria elementarna logarytmów, uważanych jako wyrazy postępu różnicowego, zaczynającego się od zera i odpowiadającego wyrazom postępu ilorazowego, rozpoczynającego się od jedności, —zwykle podawana we francuzkich kursach arytmetyki. Po zupełnym wykładzie teoryi téj i zastosowań logarytmów, autor podaje drugą zwykłą teorię logarytmów, uważanych jako wykładniki. Sądzimy, że ta druga teoria byłaby wystarczającą i odpowiedniejszą w podręczniku algebry, i że autor zbytecznie powiększył rozmiary książki, rozwijając pierwszą z nich.

Ostatni rozdział traktuje o teoryi przemian, kombinacyi i waryacyi z zastosowaniami i o dwumianie Newtona dla wykładników całkowitych dodatnich.

Oto mniejwięcej treść obszernéj książki, którą pan Niewęglowski wzbogaca naszą ubogą literaturę pedagogiczno-matematyczną. Wskazane przez nas niektóre usterki, nie zmniejszają w niczém uznania, jakie się słusznie należy szanownemu autorowi za jego staranną i mozolną pracę, owocem której jest bardzo pożyteczna książka szkolna.

Dodajemy jeszcze, że słownictwo autora różni się w wielu razach od powszechnie używanego. Autor mówi: *postępnia* zamiast *postęp*, *stosunkowy* zam. *wymierny*, *odciąganie* zam. *odejmowanie*, *wieloczyn* zam. *iloczyn*, *wielownik* zam. *wielokrotna*, *niezredukowny* zam. *nieprzywiedlny*, *eskont rozumowy* zam. *eskont matematyczny*, *algebryczny* zam. *algebraiczny*, *wskaz pierwiastku* zam. *skaźnik pierwiastku* i t. p. Pisownia téż autora różni się niekiedy od pisowni będącej w użyciu.

Samuel Dickstein.

Teorya wyznaczników (determinantów). Kurs uniwersytecki wyłożył Maryan Aleksander Baraniecki. Paryż. Nakładem właściciela Biblioteki Kórnickiej, przewodniczącego w Towarzystwach Naukowej Pomocy i Nauk Ścisłych w Paryżu. 1879, in 8-o, str. XXII i 600.

Nauka o wyznacznikach stanowi obecnie jeden z ważniejszych rozdziałów algebry. Prawdziwy rozwój téj nauki rozpoczyna się właściwie od Vandermonde'a (1771 r.), chociaż sam jój początek zawdzięczamy jeszcze Leibnitzowi (1693). W ostatnich czasach literatura dotycząca wyznaczników, wzbogaciła się znacznie pracami wielu znakomych matematyków, pomiędzy którymi w języku polskim zaznaczyć wypada prace pp. Babczyńskiego, Zajączkowskiego, Żmurki i Trzaski (Wł. Kretkowski).

W dziele, o którym mowa, p. Baraniecki założył sobie zebrać o ile możności wszystko, co dotyczy teoryi wyznaczników, ułożyć to w organiczną całość i utworzyć tym sposobem podręcznik dla młodzieży uniwersyteckiej. Dwuletni (1876—1878) wykład tego samego przedmiotu, prowadzony w uniwersytecie Warszawskim przez p. Baranieckiego, pomógł mu w znacznej części do wykonania tak zamierzonego celu. O ile jednak dobrze, a o ile źle wywiązał się p. Baraniecki z przedsięwziętego zadania, sąd o tém wydać stanowczy byłoby dzisiaj zatrudno; dopiero praktyka, której wyników przed upływem lat co najmniej dziesięciu spodziewać się nie można, mogłaby w tym względzie zawyrokować dokładniej.

Obszerność dzieła (str. 600) pokazuje już dostatecznie, że do napisania musiał być spożytkowany bogaty materiał; a jeżeli dodamy do tego brak jednostajności w rozrzuconych pracach, które służyły p. Baranieckiemu za materiał surowy, to przyjdziemy do jaśniejszego wyobrażenia o ogromie pracy, podjętej przez autora w tak krótkim stosunkowo czasie. Pod tym względem należy przyznać z całą słusnością wielką zasługę p. Baranieckiego, bo pominiawszy już trudy około wyszukania i zebrania samych materiałów, potrzeba było ujednostajnić metody wykładowe szczegółów w nich zawierających się, co przy tak obszerném dziele wymagać musiało wiele zachodu. Tak więc *Wykład wyznaczników* p. Baranieckiego należy do dzieł najpracowicijéj wykonanych w literaturze matematycznej polskiej.

Pod względem obszerności, dzieło p. Baranieckiego przewyższa nawet podręczniki obce, o czém najlepiej przekonywa spis treści rozdziałów, który tu przytaczamy.

Rozdział I. Określenie, rozwinięcie i zachowanie wyznacznika.—
Rozdział II. Przystawienie w systemacie elementów wyznacznika rządów równoległych.—Rozdział III. Rozkład wyznacznika według elementów rzędu. Szczególne przypadki.—Rozdział IV. Upraszczenie

i obliczanie wyznacznika.—Rozdział V. Mnożenie wyznaczników.—Rozdział VI. Rozkład wyznacznika według wyznaczników częściowych pewnej kombinacji jego rzędów równoległych. Dodawanie i odejmowanie wyznaczników. Szczególne rozkłady wyznacznika.—Rozdział VII. Różniczkowanie wyznacznika. Wyznacznik systematu dołączonego. Rozdział VIII. Wyznacznik układu równań liniowych.—Rozdział IX. Wyznacznik przekształcenia liniowego.—Rozdział X. Wyznacznik symetryczny.—Rozdział XI. Wyznacznik skośny. Pfaffian.—Rozdział XII. Wyznacznik funkcyjny. Dodatek I. O wyznacznikach sześciennych i wyznacznikach porządku wyższego.—Dodatek II. Zastosowania wyznaczników do geometryi (wyjątki z prac: Joachimsthal'a, Mertensa, Trzaski i Brioschi'ego).

Każdy z przytoczonych rozdziałów jest wyczerpująco opracowany, w wykonaniu czego autor nieszczędził sobie trudu, jak to widoczne z przypisów świadczących chlubnie o jego erudycji. Często nawet ta chęć wyczerpywania przedmiotu przechodzi w przesadę i wtedy autor stając się zbyt drobiazgowym, robi swe dzieło miejscami nużącym dla czytelnika i być może z tego powodu mniej jasnym dla umysłów niedostatecznie przywykłych do rozumowań matematycznych. Pomimo tej staranności, nie ustrzegł się autor pewnej nieściśłości w paru miejscach. Lecz czy istnieje dzieło ludzkie wolne od błędu? Dlatego też zarzutu z tego powodu p. Baranieckiemu nie robimy, ale przeciwnie przyznajemy mu wielką zasługę za wykonanie pracy, trudnej przedewszystkiem ze względu na swój ogrom.

Warszawa, dnia 11 stycznia 1880 r.

W. Gosicwski.

Biblioteczka ludowa.

Pod powyższym tytułem księgarnia Gebethnera i Wolffa rozpoczęła pierwsze w tym rodzaju wydawnictwo. Ma to być bowiem w sześciu książeczkach streszczenie i wybór całej rodzimój literatury naszego ludu, uskuteczniiony przez Zygmunta Glogera, a przeznaczony zarówno dla klas wszystkich, przedewszystkiem jednak dla ludu. Materiał do tej pracy znalazł się obfity, bądź w dziełach Wojcickiego, Paulego, Wacława z Oleska, Konopki, Kolberga i wielu innych, bądź po czasopismach rozrzucony, bądź przez Glogera w różnych okolicach kraju zebrany.

Najpierw nakładem firmy wzmiankowanej wyszły *Starodawne dумы i pieśni*. Książeczka ta na 152 stronicach, obejmuje 112 klejnotów poezyi starodawnój gminnej a właściwie narodowej, bo cóż może być więcej narodowego nad płody umysłu, który nie wykarmił się na wzorach zagranicznych. Są tam wybrane spośród niezliczonych

waryantów te pieśni, w których zachował się najczystszy język, najcharakterystyczniejsze pojęcia i najpoetyczniejsze wyrażenia. Niektóre pieśni są nieznanne w innych zbiorach a ważne dla etnografii. Tak np. spisana przez Glogera w Tykocińskim (nr. 43) zaczynająca się od słów „A w sadeńku dwie drożeńki a trzecia miedza,” przechodziła się także dotąd na oazie słowiańskiej wśród morza germanizmu u Serbów łużyckich, co daje świadectwo jej odległej starożytności.

Drużga z kolei wydana książeczka obejmuje *Krakowiaki*, to jest 657 śpiewek ludu krakowskiego, zebranych ze źródeł etnograficznych i własnych notat przez Glogera, który powiada we wstępie: „Nad brzegami płowej Wisły, w pięknych dolinach Chrobacyi a w sercu staréj Słowiańszczyzny, wykwitła najbujniéj pieśń wesela i miłości. Pieśń ta przy krótkiéj formie uderzająca żarem uczuć, głęboką znajomością serca ludzkiego, żywém obrazowaniem, szczerością, dowcipem staropolskim, siłą słowa i dosadną melodyą, zajmuje wybitne stanowisko w samorodnéj literaturze ludów słowiańskich. Krakowiak rozbrzmiewał ongi zarówno w zamku pańskim jak dworcu szlachcica, domu mieszczanina i chacie kmiecia, a rozplenił wśród ludu wszędzie jako piassek w morzu i gwiazdki na niebie.”

Trzecia książeczka mieści w sobie *Kujawiaki, mazurki, wyrwasy, i dumki pomniejsze* w liczbie 180. Jest tu serdeczna wesołość przeplatana rzewnym smutkiem, po okrzyku tanecznym żal za swobodą i krasą dziewiczą, poetyczne myśli splatają się z westchnieniami tęsknoty lub niedoli. A w tém wszystkim innóstwo klejnotów czystej wody i wszystkie uczucia wykołysane z krwi i kości nad falami modrego Gopła i na zielonych niwach Mazowsza.

Czwarta książeczka *Biblioteki ludowej* zawiera kilkanaście *Basni i powieści*, mających przedewszystkiém znaczenie moralne a wybranych lub skompilowanych z tysiąca klehd i legend starodawnych, drukowanych już dawniéj lub nie drukowanych nigdzie.

Jak słyszeliśmy, to w mającéj wyjść piątéj książeczce Gloger zebrał i uporządkował *pieśni weselne*, stanowiące piękny poemat z życia rodzinnego przodków naszych, pełen scen rzewnych i dramatycznych. W książeczce szóstéj, która ma zamknąć cykl utworów ludowych, pomieszczone zostaną, *gry i zabawy*. Tu więc znajdują się opisy i odwieczne śpiewy sobótkowe, dożynkowe, przy rozmaitych zwyczajach dorocznych i tradycyjnych zabawach ludu używane.

Biblioteczka ludowa ma ważne przeznaczenie. Dla oświeceńszych ma służyć jako podręcznik do poznania staréj rodzinnej literatury. Lud ma ujrzeć w niej sumę rodzinnych estetycznych pojęć, czysty język starodawny i cały obraz własnej poezyi idącej dziś u mędrków przebierających się w paltoty i tużurki, w pogardę i zapomnienie. Książeczki, które sprzedają się oddzielnie po cenie bardzo uuiarkowanej, służyć mogą za najlepszy dla czeladzi i prostaczków podarek. Dziś właśnie kiedy chodzi o uczciwe, powszechne zastonienie ludu przed paczającimi się pojęciami o moralności, o prawie własności i przy-

rodzonych stosunkach społecznych, *Biblioteczka ludowa*, jako pokarm najzdrowszy, domowy, nawracający umysł ku pojęciom etycznym, ku poezji ginącej, ku czystej, zacnej uczuciowości serca i tradycyjnej miłości Boga i ludzi, spełnić może przy współdziałaniu ludzi dobrej woli, ważne, zacne zadanie obywatelskie. Szczęść jój Boże!

X.

WIADOMOŚCI BIEŻĄCE,

NAUKOWE, LITERACKIE I ARTYSTYCZNE.

WARSZAWA.

Styczeń 1880 r.—W Poznaniu nakładem i drukiem N. Kamieńskiego i spółki, wydana została książka, prawdziwą rzadkość dziś stanowiąca: *Zygmunt Krasiński. Grób rodziny Rejchstałów*. Powieść oryginalna z dziejów wojny trzydziestoletniej, 1880 r. Wydawca p. B. T. prawdziwą wyświadczył przysługę naszej społeczności, składając jój do rąk niejako nową książkę, bo rzeczywiście za taką prawie uważać ją można wśród młodego pokolenia. Jeżeli z zapałem rozchwytywano kartony, pozostałe po wielkich malarzach, tedy niewątpliwie ciekawemi są i kartony poetyckie. Przyszły wieszcz zamierzając napisać tę powieść „miał zaledwie lat 15,” t. j. mało co był starszym niż Bajron w chwili tworzenia rzewnej elegii, na widok byłego gniazda swojego. Im wcześniejszy utwór, tém więcej przedstawia interesu dla czytelnika, doszukującego się genezy talentu. Przytém *Grób rodziny Rejchstałów* podobno był drugim utworem Zygmunta Krasińskiego. Nie powiemy, aby ta powiastka (stronnic 88) zapowiadała ów przeciętny kierunek, jaki się z późniejszych arcydzieł wieszca naszego wyformułować daje. Owszem, jeżeli poza obrazami opowiadania można tu wypatrzeć skazówkę jakiej przedmiotowości ducha, to będzie ona raczej natury ujemnej, raczej będzie zapowiadać poetę krytycyzmu i przeczenia, anizeli geniusz pokoju i wszechmiłości. Piszemy się na to zdanie wydawcy p. B. T., że znajdują się tu już ustępy i myśli, które zapowiadają przyszłego twórcę Irydyona. Zwracamy uwagę czytelnika na pewien fakt, który posłuży nam za wskazówkę, pod jakimi to wpływami rozpocząć się mogły dzieje rozwoju poetyckich zdolności pieśniarza: oto z jedenastu rozdziałów tej powieści, w pierwszych pięciu godła brane są z Mickiewicza (ze *Switezianki*, z sonetów, z *Grażyny* i w. i.). Co szczególniej uderzyć musi czytelnika w utworze, sięgającym zaledwie dopięro pierwiosnkowego okresu przyszłego

mocarza, to wyjątkowy nad wiek obiektywizm, fakt niesłychanie rzadki w psychologicznym porządku rzeczy!

Na dowód, pomiędzy innymi, prosimy czytelnika o wpatrzenie się np. w opis nastroju duszy Wallenstejna, w chwili, kiedy nic nie wiedząc o krwawej katastrofie na ucztach Butlera, zatapia się w obrazach majestatu, jaki go czeka po strąceniu Ferdynanda: „Dumne widoki, obrazy sławy i nieśmiertelności stawiała mu gorejąca wyobraźnia. Już lud i kapłani, witając go z drżeniem, stali u stóp zwycięzcy” i t. d. (str. 83, 84). W samym znowu zakończeniu mamy wymowne napomknienie o nadziei i wierze w metafizyczną przyszłość istoty ludzkiej, którym na chwilę w sercu swoim zachwiać się nie dozwolił. „Już dzisiaj niema na wzgórkach domu Rejchstalów. Ale mieszkańcy Ery twierdzą, że grób ich rodziny zachowuje się dotąd we wnętrzu ziemi i że tam Adalbert, otoczony rodziną we śnie śmierci, oczekuje na dzień, w którym trąba anioła, wskrzeszając śmiertelnych, ma uwieńczyć cnotę lub ukarać zbrodnię.”

— Stanisława Wegnera: *Życie literackie w starożytnym Rzymie*. Lwów. Nakład księgarni N. Kamińskiego i spółki, w Poznaniu 1880 r. Nie znaczna objętością (str. 29), ale na wyjątkową specjalność swoją obszerna monografia ta ma za cel wytłómaczenie, w jaki sposób dzieła pisarzy starożytnych, bez pomocy druku, dochodzić mogły do upowszechnienia i rozgłosu wśród ówczesnej publiczności. Środkiem zastępującym druk były odczyty. Autorowi słusznym dajemy wiele do myślenia ta okoliczność, że Rzym tak ogromną wydał literaturę i o równie olbrzymie rozpowszechnienie jej płodów postarał się, gdy tymczasem literatura i bogactwo książkowe innego wielkiego narodu, Chińczyków, którzy już w owym czasie znali drukarstwo i w użyciu je mieli, dotąd jeszcze pozostaje w niemowlęctwie.

— Ograniczamy się tymczasowo na wzmiance o pracy p. Stanisława Grabowskiego, o tragedji Eurypidesa *Medea*, przełożonej wierszem miarowym. Eurypides najmniej u nas jest znanym z trzech wielkich tragików greckich. Przekład więc, dokonany piórem tak gorliwego czciciela starożytności, jak p. Stanisław Grabowski, jest faktem zasługującym na uwagę. O wartości jego, w stosunku do pierwowortu i do sztuki wogóle, później pomówimy.

— Zaszczynie znany z literackich utworów swoich, Pr. Bronisław Grabowski, współpracownik naszego pisma, wydał pięcioaktowy dramat: *Królewicz Marko*, osnuty na podaniach południowo-słowiańskich z wieku XV-go. Warszawa, 1880 r., druk Ungra. Autor przypisał go Strossmayerowi, biskupowi bośniackiemu i sriemskiemu w Dżakowie. Utwór ten, świadczący o poważnym wzroście talentu autora i gorliwie prowadzonych studyach w obranym kierunku, zasługuje na obszerniejszą ocenę, której też podać nie omieszkamy.

— W swoim czasie zwróciliśmy już uwagę czytelników, na zamierzoną, wysokiej ważności publikacją: *Słownika Geograficznego*. Pierwszy jej zeszyt, który nie wątpimy, znajduje się w rękach każde-

go miłośnika tak żywotnego działu wiadomości, daje wymowne świadectwo o godnym pojęciu zadania przez wydawcę i sumienném wykonaniu. Obok wyczerpująco rozległych artykułów, dotyczących miejscowości historycznych (jak np. Babin i t. d.), spotykamy tu wiadomości o możliwie wszystkich miasteczkach, wsiach i osadach kraju, w których niejeden z czytelników przypomni sobie z uczuciem rzetelności gniazdo urodzenia swego. Ponawiając gorące wezwanie do popierania tej publikacji, pozwalamy sobie powtórzyć tu głos jej kierownika, w którym ponownie zaprasza czytelników i korespondentów, aby mu podawali, każdy ze znanéj sobie sfery, materiały (opisy gruntów, jezior, rzek, lasów, stawów i t. p.).

„W połowie grudnia, mówi p. Filip Sulimierski, gdy już miał wydrukowane trzy arkusze pierwszego zeszytu *Słownika Geograficznego*, posłałem je pod opaską do Drezna, Czcigodnemu Jubilatowi J. I. Kraszewskiemu, w tej myśli, żeby je przedstawić najpierw Mężowi, którego niespożyte zasługi literackie i obywatelskie czyniły najodpowiedniejszym do pobłogosławienia swoją ręką dzieła, podjętego i wykonanego w duchu literackich i obywatelskich potrzeb ogółu. Nie zawiodła mnie nadzieja. W dniu 28 grudnia otrzymałem z Drezna list, a w nim następujące wyrazy, które tu z chlubą powtarzam:

Drezno, 26 grudnia. „Wczoraj odebrałem z łaski pańskiej pierwsze arkusze tak pożądanego *Słownika Geograficznego* i śpieszę z wyrazami wdzięczności, wielce uszczęśliwiony, że ta olbrzymia praca już na świat wyszła. Można jej Panu Dobrodziejowi z całego serca powinszować: brakło nam jej, będziemy winni Panu ten nadzwyczaj ważny materiał dla wszystkich. Z najszczerzszym: Szczęść Boże, pełen szacunku, sługa wierny *J. I. Kraszewski.*”

Przytaczając te słowa, pisane ręką najznakomitszego z naszych nietylko powieściopisarzy, ale i krajoznawców spółczesnych, nie mogę, zwłaszcza w chwili, gdy pierwszy zeszyc *Słownika* wyszedł już z pod prasy, nie mogę się wstrzymać, żeby nie złożyć na tém miejscu wyrazów wdzięczności panu Władysławowi Walewskiemu, obywatelowi z okolic Kutna, który przez spółudział swój w wydawnictwie dał mi możność poświęcenia się tej pracy, przybrania pomocników, rozpoczęcia druku i stał się poważną rękojmią wykończenia dzieła w terminie zapowiedzianym, przy regularném wydawaniu zeszytów. Jeżeli dzieło to, jak się spodziewam, w literaturze naszej krajoznawczej pozostanie, to w szeregu zasłużonych opiekunów naszego piśmiennictwa pozostanie też winno imię Władysława Walewskiego, który tak pięknie podtrzymuje zasługi obywatelskie swojej rodziny i wstępuje w ślady nieodżałowanego brata swojego, ś. p. Cypryana, niegdyś spółredaktora *Biblioteki Warszawskiej.*”

— Zarząd główny Towarzystwa pedagogicznego we Lwowie, ogłosił „Sprawozdanie z czynności swoich za czas od 10 lipca 1878 r., po tenże dzień 1879 r.,” podane do wiadomości członków na 13-ém walném zgromadzeniu tegoż Towarzystwa, odbytém w Brodach, w dniu

21, 22 i 23 lipca 1879 r. Dział I sprawozdania zawiera czynności zarządu głównego, II-gi podaje członków honorowych, zarządy oddziałów i ich czynności, tytuły rozpraw, mianych na posiedzeniach, liczbę walnych zgromadzeń, daty utworzenia oddziałów, ich fundusze, biblioteki, kółka pedagogiczne. W dziale III-im mamy sprawozdanie ze stanu wyższych szkół żeńskich, założonych i utrzymywanych staraniem Towarzystwa pedagogicznego, przedłożone przez zarząd główny na 13-tém walnem zgromadzeniu. Dział IV zawiera zamknięcie rachunków za rok szkolny 1878/9. Zamyka sprawozdanie alfabetyczny spis członków.

— Sala rysunkowa wkrótce otwartą będzie w Lublinie. Zaopatrzone już ją we wzory potrzebniejsze, modele gipsowe i oświetlenie dla zajęć rysunkowych wieczornych, które rozpoczęły się w dniu 14 z. m. Opłata za lekcye wieczorne ustanawia się na rs. 6 miesięcznie, od rzemieślników zaś na rs. 4. Oprócz lekcyi wieczornych, zamierzone są w téjże sali lekcye dzienne w niedziele i święta, głównie dla klasy rzemieślniczej, za opłatą rs. 2 kwartalnie. Kierunkiem naukowym zajmie się p. Witold Urbański, malarz.

— Henryk Jarecki, dyrektor opery lwowskiej, uwieńczony podwójną nagrodą na konkursie muzycznym w r. 1871, napisał pięcioaktową operę *Mindowe*. Tekst dorobił sam kompozytor ze znanėj tragedyi Juliusza Słowackiego.

— Niedawne, ale oddawna pożądane u nas pismo, poświęcone *Ogrodnictwu* doznało jak wiadomo, życzliwego przyjęcia ze strony ogółu. Mamy w téj chwili przed sobą I i II zeszyt *Ogrodnika Polskiego*. W słowie wstępném „do Czytelników“ wyczytujemy budzącą otuchę myśl, że przyjdzie ta chwila, „kiedy po kraju rozbiegną się wykształceni, młodzi ogrodnicy, jak pochodnie nauki, które światłem sobie właściwém oświecą każdy jego zakątek; kiedy nie tylko można założą sady i o parkach pomyślą, lecz kiedy i kmiotek w hodowli drzew i kwiatów zasmakuje; gdy każdy mieszkaniec ziemi naszej zapragnie otoczyć się pięknymi darami Bożemi, których pielegnowanie jest zadaniem sztuki ogrodniczej. Czy chwila ta nadejdzie za rok, za dwa lub dziesięć, nieumiemy powiedzieć; lecz sądząc po roku upłynionym, który znaczne zasługi dla ogrodnictwa polskiego położył, wnosząc po ogólném zainteresowaniu się naszą piękną nauką, mniemamy, że czas ten nadejdzie prędzej niż się spodziewamy.“

Do każdego zeszytu *Ogrodnika* dołączany jest jeden arkusz *Biblioteki*; pierwszą książką, jaką utworzy ta dodatkowa publikacya będzie *Teorya Ogrodnictwa* przez Maksymiliana Kolba; dwa pierwsze zeszyty zawierają właśnie dodatkowo dwa pierwsze jój arkusze (prenumeratorem *Ogrodnika* pragnący otrzymać *Bibliotekę* opłacają przy wnoszeniu rocznej prenumeraty jednorazowo 1½ rs.). Po gorącej odezwie do ogrodników krajowych, aby zebranemi w swoim kółku faktami i spostrzeżeniami dzielili się z Redakcyą, a przez nią po-

średnio z ogółem, wstępne słowo kończy się wyrazami dowodzącymi prawdziwego poczucia literacko-obywatelskiego:

„Pragniemy służyć krajowemu ogrodnictwu i zespolić wszystkie siły jakimi ono dziś rozporządza, żeby śpiesznie pójść naprzód i zając pod względem ogrodniczym to stanowisko wśród innych narodów, które nam się z powodu naszej cywilizacji ogólnej z prawa należy.

Niechże w tem szlachetném współubieganiu, każdy zdolny do walki stawia się z orężem jaki mu jest dany: zdolności, nauki lub praktycznych spostrzeżeń.”

— Wymieniliśmy już poprzednio studjum niemieckie: „*Kraszewski in seinem Wirken und in seinen Werken* v. S. v. Bohdanowicz.“ Obecnie poczuwamy się do obowiązku podzielenia się z czytelnikami wiadomością o wrażeniu, jakie wywarło to studjum na publiczności niemieckiej. Oddając sprawiedliwość pismu p. Bohdanowicza, z punktu ogólnie literackiego, gazeta literacka *Magazin für die Liter. des Ausl.* (nr. 48) oznajmia wdzięczność autorowi: „Poczytujemy to panu B. za zasługę piśmiennictwu powszechnemu wyświadczoną, że publiczności niemieckiej nastęrczył sposobność *poznania bliżej i pokochania* najznakomitszego z pisarzy polskich, szlachetnego męża i gorącego miłośnika tego, co swoje.“ Szczególniej sympatyczną wydała się część studjum zawierająca *pokłosie* z dzieł Jubilata, majestatyczna skromność, jaką tchnęła przemowa.

— W pierwszych dniach bieżącego roku otrzymaliśmy sprawozdanie z czynności Biblioteki polskiej w Rumunii za r. 1879. Pośpieszamy więc z jój streszczeniem, w przekonaniu, że czytelnikom miło będzie dowiedzieć się, jak szlachetnie, bo pożytecznie, wpływają dni i lata ziomkom naszym wśród obcych:

„Sprawozdanie z czynności Towarzystwa Biblioteki Polskiej w Rumunii za rok 1879. Rok czternasty istnienia Biblioteki Polskiej w Rumunii pozostanie dla jój członków na zawsze pamiętnym. Był to rok powszechnej a rzewnej radości, rok uroczystego uczczenia 50 letniej pracy najulubieńszego z naszych pisarzy, który mimo tysięcznych mozolnych zatrudnień, naszą skromną instytucją wiernie od 9-ciu lat się opiekuje. Wprawdzie już w r. z. złożyliśmy Jubilatowi hołd należny, atoli dla tem trwalszej pamiątki zawiązaliśmy Towarzystwo Bratniej Pomocy imienia Kraszewskiego.

Zakład ten filantropijny, zaledwie od kilku miesięcy powstały liczy 68 członków i zebrał franków 232 wydawszy zaledwie franków 14.⁵⁰.

Prócz tego posunęliśmy sprawę szkółki polskiej naprzód o tyle, o ile było możebném.

Mamy przyobiecana pomoc kilku mężów w kraju, staraliśmy się drogą prywatną zjednać zwolenników; dotychczas o skutku naszych zabiegów sądzić nie wypada: jest to rzecz nieustannych a cierpliwych starań, które może w kilka lat rachować będzie trzeba. O ile bowiem pojmujemy niezbędność szkółki polskiej w Jassach, o tyle zale-

camy oględne postępowanie, aby gorączkową porywcznością wszystkiego niepopsuć. Dopóki niebędziemy posiadali najmniej 12,000 franków żelaznego funduszu, dopóty o *trwałem* istnieniu szkółki ani marzyć nam nie wolno. Przy pomocy kraju i własnej naszej ofiarności kapitał ten, którego już posiadamy $\frac{1}{3}$ część, w krótkim zbierze się czasie, zwłaszcza że opiekun nasz Kraszewski udzieli nam moralnego poparcia." (Tu następuje obraz funduszów który pomijamy).

„Dziękując wszystkim za życzliwe poparcie instytucji narodowej, która na obczyźnie służy rozpierzchłym za punkt zborny i ognisko, odwołując się z dusznym zadowoleniem a pewną chlubą i z czystym sumieniem na to, cośmy w ostatnim roku zdziałali, prosimy ludzi dobrej woli w kraju, aby nas i nadal wspierali radą i uczynkiem, członków zaś Biblioteki wzywamy, aby mieli przedewszystkiem dobro publiczne, dobro instytucji na oku, przed którą wszelkie prywaty i osobiste widoki zamilknąć powinny, aby postępowali jak dotychczas: zgodnie, wytrwale, solidarnie.”

Jassy, dnia 31 grudnia 1879.

Zarząd Towarzystwa Biblioteki Polskiej w Rumunii.

Przewodniczący

Dr. Łukaszewski.

Sekretarz

P. Miziński.

Członkowie: Gąsiorowski, Grimm, Dr. Lippe, Turlinowski, Zwas.

— Wydział czytelni akademickiej we Lwowie, ogłosił *Sprawozdanie z czynności za rok 1879* (Lwów. Nakładem Towarzystwa. 1879). Ku wielkiemu zadowoleniu dowiadujemy się ze sprawozdania, że pokonawszy wiele trudności, jakie zwykły towarzyszyć z natury rzeczy wszelkim poważniejszym zadaniom, wydział nie tylko nie zraża się nimi, ale coraz żywszą poczuwa w sobie otuchę do działalności na chwalebnym polu. Jak wszędzie, tak i tu objawia się duch ofiarności ze strony społeczeństwa miejscowego i zamiejscowego. Sprawozdanie zawiera obraz funduszu obrotowego, żelaznego i stan majątku wydziału; następnie stan biblioteki, spis odczytów i pogadarek naukowych w lokalu czytelni akademickiej, a mianowicie: I. *O stosunkach Leopolda II do Polski*, czytał kolega Emil Pelikan.—II. *Pierwsza księga Iliady*, własny przekład na język polski czytał kolega Oswald Balzer.—III. *Kazimierz Wielki, król polski, zrzeka się Szlązka na rzecz Czech*, czytał kolega Klemens Dzieduszycki.—IV. *O fałszywym pojmowaniu ideału piękna, dobra i prawdy*, czytał kolega Stanisław Sz wajkart.—V. *O oku ze stanowiska fizyki*, mówił kolega Józef Puzyna.—VI. *Rycerze, Arystofanessa*, akt I; własny przekład na język polski czytał kolega Franciszek Konarski.—VII. *Janusz Radziwiłł*, podług Rudawskiego, czytał kolega Władysław Menda.—VIII. *O panowaniu trzydziestu tyranów w Atenach*, czytał kolega Korneli Heck.—IX. *Rycerze Arystofanessa*, dokończenie, własny przekład na język polski czytał kolega Franciszek Konarski.—X. *Kilka uwag o Maryi Stuart, Schillera i Słowackiego*, czytał kolega Bronisław Lipiński.—XI. *O zjawiskach atmosferycznych*, mówił kolega Walenty Głowiński.

— Zanim książka poświęcona opisowi obchodu październikowego dojdzie rąk czytelników, pośpieszamy przedstawić im: *Zupełny spis darów złożonych Kraszewskiemu dnia 3 października r. z. w Sukiennicach w Krakowie* 1):

I. Wieniec.

1. Wieniec srebrny z inkrustowanemi na liściach tytułami dzieł Jubilatów. Dar miasta Krakowa.
2. Wieniec srebrny w pudle mozaikowanym. Dar Akademii Mickiewicza we Włoszech.
3. Wieniec olbrzymi z fiołków (sztucznych). Dar od Polaków z Tuluzy.
4. Wieniec z cierni i nieśmiertelników. Dar osoby prywatnej.

II. Medale i medaliony.

5. Medal odbity na cześć Kraszewskiego we Lwowie. Trzy egzemplarze: złoty, srebrny i brązowy.
6. Medal odbity w Poznaniu. Egzemplarz złoty.
7. Medal odbity w Belgii. Egzemplarz srebrny (unikat: matryca zniszczona).
8. Medalion z marmuru. Dar prywatny z Białej Rusi.
9. Medalion z brązu. Dar osoby prywatnej.
10. Medalion z cementu. Dar z Poznania.

III. Puhary.

11. Puhar srebrny. Dar artystów dramatycznych krakowskich.
12. Puhar srebrny. Dar od Polaków z Chicago.
13. Puhar srebrny. Dar z powiatu Brodzkiego.
14. Puhar srebrny. Dar osoby prywatnej.
15. Róg żubrzy, bogato oprawny. Dar z powiatu Białskiego.

IV. Różne drogocenne wyroby.

16. Pióro złote. Dar prywatny z Mohylewa.
17. Pióro srebrne. Dar Zgromadzenia krawców.
18. Kałamarz srebrny (dziewczyna z dwojaczkami). Dar pryw. z Mińska.
19. Kałamarz (Gładyator). Dar Tow. Hist. Lit. w Paryżu.
20. Kałamarz bursztynowy. Dar z powiatu Ostrołęckiego.
21. Żubr, przycisk srebrny. Dar prywatny z powiatu Prużańskiego.
22. Pieczęć srebrna (Minaret). Dar prywatny z Kamieńca Podolskiego.
23. Pieczęć z kryształu górnego. Dar prywatny z Infant.
24. Pieczęć. Dar osoby prywatnej.
25. Pieczęć (czwarta). Dar osoby prywatnej.
26. Lichtarz wielki srebrny (maszt). Dar młodzieży handlowej.
27. Posąg srebrny bogini Temidy. Dar prawników.
28. Grupa srebrna (wieśniaczka żniwiarka). Dar prywatny ze Żmujdzi.
29. Brama zwana Złotą, wielki odlew. Dar prywatny z Kijowa.
30. Gedymin. Odlew z brązu. Dar prywatny z Mińska.
31. Adres ryty na zwoju srebrnym. Dar Polaków ze Stokholmu.
32. Kolumna brązowa z podstawą. Dar przemysłowców lwowskich.
33. Bursztyn z orłem. Dar Polaków z Gdańska.
34. Pierścień ze świętym Józefem (po księciu Józefie Poniatowskim). Dar z powiatu Białskiego.
35. Dwie starożytne monety. Dar osoby prywatnej.

1) Dary (mianowicie dzieła dedykowane Jubilatowi), które złożonemi były nie w Sukiennicach, lecz wprost w mieszkaniu Jubilata, do spisu tego nie weszły.

V. Rzeźby i snycerszczyzna.

36. Dzieciątko Jezus, z marmuru. Dar przemysłowc. polsk. w Dreźnie.
37. Lew mały z gliny palonej (terracotta). Dar osoby prywatnej.
38. Popiersie Jubilata. Dar osoby prywatnej.
39. Popiersie Jubilata (drugie). Dar osoby prywatnej.
40. Popiersie Kronenberga w marmurze. Dłuto Rygiera. Dar osob. pr.
41. Przycisk marmurowy (winogrona). Dar prywatny z Ekaterynburga.
42. Dwie kolumny z wazonami z checińskiego marmuru. Dar z Kielc.
43. Talerz rżnięty z drzewa (pod chleb). Dar osoby prywatnej.
44. Kałamarz rżnięty z hebanu. Dar przemysł. polsk. we Wrocławiu.
45. Kropielniczka z drzewa. Dar osoby prywatnej.
46. Stolik drewniany z ozdobami. Dar osoby prywatnej.
47. Pięć drobnych przedmiotów snycerskich. Dar Zakładu snycerskiego w Rymanowic.

VI. Obrazy olejne i sztychy.

48. Zygmunt August w Lublinie, miedzioryt Henryka Redlicha.
49. Un Fiorentino, Krajewskiego.
50. Sieroty, Majewskiej.
51. Krajobraz podlaski, Bogusława Kraszewskiego.
52. Tadeusz Kościuszko, portret. Dar osoby prywatnej.

VII. Wyroby krajowego przemysłu.

53. Skarbczyk, inkrustowany numizmatami, medalionami i t. p. Dar subjektów handlowych wyznania Mojżeszowego.
54. Wyrób z soli. Dar z Wieliczki.
55. Olbrzymi chleb. Dar włościan wsi Prądnika pod Krakowem.
56. Wielki bukiet z jarzyn naturalnych. Dar z Czarnej Wsi pod Krak.
57. Olbrzymi tort. Dar cukierników.
58. Fotel. Dar osoby prywatnej.
59. Poduszka. ditto.
60. Pantofle. ditto.
61. Szkło powiększające. ditto.
62. Teka. ditto.
63. Bukiet wielki z kwiatów sztucznych. ditto.
64. Buty. ditto.
65. Nóż myśliwski. ditto.
66. Piórnik z piórami gęsiemi. ditto.
67. Tuzin chustek z rysunkami. ditto.
68. Kosz na papiery z metalu Brytania. ditto.
69. Burka Sławucka. Dar ze Sławuty.

VIII. Książki, druki, nuty i fotografie (bogato oprawne, z dedykacjami).

70. Wydawnictwa Akademii Nauk w Krakowie, tomów 3.
71. Wydawnictwa Towarzystwa Historyczno-Literack. w Paryżu, tom 1.
72. Książka Jubileuszowa, wyd. staran. red. „Kłosoś“ w Warszawie.
73. Wybór dzieł J. I. Kraszewskiego. Wydanie Ungra, tomów 15.
74. Upominek Wileński.
75. Życiorys Kraszewskiego przez Baranowskiego.
76. Meister Twardowski, des J. I. Kraszewski frei bearbeitet von Hans Max. Wien. 1879, tomów 2.
77. Stara Baśń, J. I. Kraszewskiego. Wydanie zbytkowe z ilustracjami Andriollego, Gebethner i Wolff w Warszawie.
78. Złote myśli z dzieł Kraszewskiego, wybrane przez Wegnera.
79. Życiorys Kraszewskiego, przez St. Kij.
80. Książka Sandomierska.
81. Wiązanka od Polaków z Australii i Nowej Zelandyi.
82. Hymny boleści, J. I. Kraszewskiego. Wydanie i dar drukarzy Krak.
83. Spis dzieł J. I. Kraszewskiego, przez Estreichera.

84. Spis dzieł J. I. Kraszewskiego, przez drukarnią Czasu. Jeden w formie wielkiej tablicy, drugi w formie wstęgi długości 9 metrów.
85. Album pomników na Wawelu, wydanie litografii Salba.
86. Ubiory dawne w Polsce, Walerego Eliasza.
87. Listy do pani Apatyi przez X. Siemińskiego.
88. Fizjologia, przez Jachimowskiego.
89. Z nadhoryńskich błoni, przez Jachimowskiego.
90. Zamek na Wawelu, przez Ziemęckiego.
91. Las w stanie natury, przez Henryka Strzeleckiego.
92. Obrazkowa nauka pisania, przez Promyka.
93. Dobry czyn, przez Ligonia.
94. Trzy egzemplarze wierszy X. Głodomanka.
95. Rozbiór Nieboskiej komedyi, przez Strokę.
96. Dwaj bracia mleczni, przez Leśniowską.
97. Sto figur mazura, przez Kar. Mestenhauzera.
98. Rys miasta Kołomyi, przez Weigla.
99. Statut posługaczy publicznych miasta Lwowa.
100. Mnohyja lita, wiersz Kosteckiego.
101. Pół wieku, wiersz Ilnickiej.
102. Czciogodnemu J. I. Kraszewskiemu, wiersz Maryi K.
103. Wiersz od Polaków z Górnego Szlązka.
104. Wiersz od księży unickich.
105. Pieśni etc. przez Prawdomówskiego.
106. Polonez jubileuszowy przez Dobrzyckiego.
107. Krakowiak przez Niedzielskiego.
108. Ustawa i sprawozdanie stowarzyszenia subiektów handlowych, t. 2.
109. Portret Kraszewskiego w ramach, drukowany czcionkami. Dar zecerów.
110. Pamiętnik Towarzystwa Tatrzańskiego t. 4.
111. Fotografia Drohiczyzna, w ramach. - Dar z Podlasia.
112. Fotografia Zamku Cieszyńskiego, w ramach. Dar z Cieszyna.
113. Fotografia pamiątkowa Szuberta (Kijów).
114. Heliominiatura Kraszewskiego przez Eli.

IX. Albumy i Adresy.

115. Album malarzy polskich (70 różnych prac).
116. Album muzyków polskich.
117. Album muzyczne (drugie).
- 118 i 119. Dwa adresy od dzieci polskich.
120. Album widoków miasta Łomży.
121. Album widoków miasta Piotrkowa.
122. Adres lekarzy.
123. Adres prawników.
124. Adres aptekarzy wraz z funduszem stypendyjalnym (użytym w następstwie dla Serbów Łużyckich).
125. Adres nauczycielek.
126. Adres uczniów szkoły rolniczej.
127. Adres uczniów szkoły muzycznej.
128. Album artystów dramatycznych.
129. Adres subiektów handlowych.
130. Adres zgromadzenia krawców.
131. Adres literatów.
132. Adres redakcyi książki Jubileuszowej.
133. Adres uczących się w wyższych zakładach naukowych.
134. Adres z mnóstwem podpisów wielbicieli talentu Kraszewskiego.
135. Album widoków Wołynia, z Łucka.
136. Takież album pamiątkowe z Żytomierra.
137. Album z Odessy.

138. Album (oprawne w malachit) z Charkowa i Nowo Czerkaska.
 139 i 140. Albumy (dwa) z Rygi.
 141. Album z S. Petersburga.
 142. Album z Pskowa.
 143. Album z Dorpatu.
 144. Album z Kamieńca Podolskiego.
 145. Album Dam Wielkopolskich.
 146. Adres drukarzy poznańskich.
 147 i 148. Dwa Adresy: „Towarzystwa przemysłowego“ i „Towarzystwa Oświaty“ w m. Pleszewie.
 149. Adres rękodzielników poznańskich.
 150. Adres Towarzystwa Naukowego w Toruniu.
 151. Adres Towarzystwa Przyjaciół Nauk w Poznaniu.
 152. Adres Wyższej Szkoły rolniczej w Dublinach.
 153. Album Muzeum przemysłowego Lwowskiego.
 154. Adres młodzieży Uniwersytetu Krakowskiego.
 155. Adres młodzieży Uniwersytetu Lwowskiego.
 156. Adres miasta Tarnowa.
 157. Adres Szkoły żeńskiej w Kołomyi.
 158. Album i Adres obywateli ziemi Przemyskiej i miasta Przemyśla.
 159. Adres Stowarzyszenia drukarzy Lwowskich.
 160. Album prac literackich i adres młodzieży Tarnowskiej.
 161. Adres młodzieży uczącej się w politechnice Lwowskiej.
 162. Adres Towarzystwa szerzenia oświaty wśród młodzieży starozakon-
 nej imienia Kraszewskiego, w Przemyśle.
 163. Adres i książka pamiątkowa Towarzystwa Pedagogicznego Galicyj-
 skiego we Lwowie.
 164. Album miasta Sambora.
 165. Adres miasta Tarnopola.
 166. Adres koła włościańskiego z WX. Poznańskiego.
 167. Album posługaczy Lwowskich.
 168. Album Towarzystwa Gimnastycznego „Sokół“ we Lwowie.
 169. Album Kasyna mieszczańskiego we Lwowie.
 170. Adres Stowarzyszenia „Gwiazda“ we Lwowie.
 171. Adres Rady miasta Kęty.
 172. Adres czytelnicy Ludowej w Wieliczce.
 173. Adres powiatu Lwowskiego.
 174. Adres miasta Stryja.
 175. Album widoków Tatrów i adres od Towarzystwa Tatrzńskiego.
 176—178. Trzy adresy z miasta Kołomyi.
 179. Adres posłów Sejmu królestwa Galicyi.
 180. Adres młodzieży uczącej się w Rzeszowie.
 181. Adres rady powiatowej Leżajskiej.
 182. Adres kongregacji kupców Krakowskich.
 183. Adres młodzieży handlowej we Lwowie.
 184. Adres muzeum przemysłowego w Krakowie.
 185. Adres drukarzy z Tarnopola.
 186. Adres Towarzystwa Ogrodniczego we Lwowie.
 187. Adres Szlązaków.
 188. Adres Czeski z Pragi.
 189. Album młodzieży uczącej się w Pruszkowie.
 190. Adres Czeski z Bielska.
 191. Adres Czytelnicy polskiej w Białej (na Szlązku).
 192 i 193. Dwa adresy z miasta Zgorzelca (Görlitz).
 194. Adres Serbów Łużyckich z Budziszyna.
 195. Adres studentów polskich w Berlinie.
 196. Adres kółka Akademików polskich w Gryfii.
 197. Adres uczniów szkoły Batiniolskiej w Paryżu.

198. Adres Studentów polskich z Lipska.
 199. Album polaków w Szwecyi (barona Engeströma).
 200. Adres stowarzyszenia „Ognisko“ w Wiedniu.
 201. Adres polaków z New-Yorku.
 202. Adres stowarzyszenia „Wzajemnej pomocy“ polaków w Szwajcaryi.
 203. Adres polaków w Rumunii.
 204. Adres stowarzyszenia niemieckiego dzieł sztuki w Frankfurcie nad M.
 205. Adres polaków w San Francisko.
 206. Adres polaków w Szwecyi.
 207. Adres stowarzyszenia „Przytulisko“ w Berlinie.
 208. (Anonim drukowany i bezimiennie nadesłany z Genewy).
 209. Adres z Podwołoczysk.

X. Dyplomy honorowe.

210. Dyplom na stopień Doktora filozofii *honoris causa* od Uniwersytetu Jagiellońskiego w Krakowie.
 211. Dyplom na stop. D-ra Fil. *honoris causa* od Uniwersytetu Lwowsk.
 212. Karta w księdze obywateli honorowych miasta Lwowa.
 213. Karta w księdze obywateli honorowych miasta Jarosławia.
 214. Dyplom obywatelstwa honorowego miasta Tarnowa.
 215. Dyplom obywatelstwa honorowego miasta Jasła.
 216. Dyplom honorowy Towarzystwa „Stella“ w Poznaniu.
 217. Dyplom honorowy Towarzystwa Strzeleckiego w Krakowie.
 218. Dyplom honorowy Towarzystwa Czytelni Akademickiej w Krakowie.
 219. Dyplom honorowy Towarzystwa Bratniej pomocy w Czerniowcach.
 220. Dyplom Salin Wieliczki z nadaniem nazwy szybowi J. I. Kraszewskiego.
 221. Dyplom honorowy Towarzystwa pszczolniczego we Lwowie.
 222. Dyplom honorowy Stowarzyszenia Rękodzielników Lwowskich.
 223. Dyplom honorowy Stowarzyszenia młodzieży handlowej Lwowskiej.
 224. Dyplom honorowy Towarzystwa Muzycznego we Lwowie.
 225. Dyplom honorowy Towarzystwa „Weteranów“ we Lwowie.
 226. Dyplom na członka honorowego Akademii w Sztokholmie.
 227. Dyplom od niemieckiego wolnego instytutu w Frankfurcie n. M.
 228. Zawiadomienie telegraficzne o wyborze na honorowego prezydenta w międzynarodowem Towarzystwie literackiem w Paryżu.

W spisie powyższym nie wymieniano bliżej ofiarodawców, nie można bowiem było przewidzieć, o ile odpowiadałoby to ich życzeniom. W każdym jednak razie, wedle możności, odróżniono dostatecznie dary instytucji publicznych, dary pojedynczych osób i wreszcie dary, składane przez grona wielbicieli talentu Kraszewskiego, zamieszkałych w różnych miejscowościach.

Spis ten, dokonywany nadzwyczaj pospiesznie, w Krakowie, może zawierać drobne usterki; jednakże, jako pierwszy spis zupełny, stanowi wskazówkę dla późniejszych opisów, z drugiej zaś strony, dostateczną ilustracją obchodu Krakowskiego.

Stanisław Jun Euniewski.

Redakcja Biblioteki Warszawskiej.

Redaktor odpowiedzialny **Feliks Jezierski.**

Wydawca **Józef Berger.**